

1-1

1-1

526

J. I. KRASZEWSKI

648

1156

OSTATNI

Z SIEKIERZYŃSKICH

SAMORZĄD UCZNIOWSKI

Państw. Koed. Gimn. i Liceum

Administracyjno-Handlowego

W OPOLU, ul. Kościuszki 39

HISTORIA SZKŁACHECKA



WARSZAWA, E. WENDE I S-KA

Poznań, Fiszer i Majewski. Łódź, Katowice,

Ludwik Fiszer. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis”

*Odbito w Zakł. Graficznych
„Drukarnia Bankowa”
Warszawa, Mo-
nuszki 11
1925*



Trzeba wiedzieć, że rodzina Siekierzyńskich tak dobrze jak inne szlacheckie, jeśli nie rodowodem nieprzerwanym, to herbem przynajmniej do XI wieku sięgnąć ma prawo... Na nieszczęście ksiądz Niesiecki dla zbytku familij o których pamiętać musiał, z powodu że były dobrodziejami oo. jezuitów, o Siekierzyńskich całkiem zapomniał i omyłki w tem nieprzebaczonej Bartosza Paprockiego i S. Okolskiego nie poprawił. Zaglądałem nawet do Suplementów i tam o Siekierzyńskich głucho; a że Bobrowiczowi nie było komu posłać wiadomości o zgasłej już rodzinie, odrodzony Niesiecki-Lipski zaniewał także o mojej pocziwej szlachcie. Co dziwniejsza herb ich nawet heraldykom naszym nieznanym, już to dlatego, że go z innemi łatwo pomylić było, już iż sami tylko Siekierzyńscy go używali. Mieli oni w czerwonym polu prostą siekierę, jaką dzisiaj stróż drwa rąbią; nie okszę i nie topór, które całkiem inaczej wyglądają, ale narzędzie to niezmiernie starożytne, bo jak wiadomo w grobach tysiąc-letnich jeśli nie żelazne to krzemienne znajdują siekiery. Nad hełmem unosiła się też sama siekiera...

Srogiej krzywdy, jaką heraldycy nasi wyrządzili

tej przezacnej i bardzo starożytnej rodzinie, inaczej sobie wytłumaczyć nie można, tylko później-
szem jej rozrodzeniem, i co za tem szło, ubóstwem;
a może niechęcią osobistą. Tymczasem wiem to
z pewnością od nieboszczyka pana Piotra Kornikowskiego, stolnika nurskiego, że Siekerzyńscy mieli się, nie bez słusznych racyj, za najstarszą moższlachtę w Polsce i swój klejnot zapomniany wyżej innych cenili. Powiadali oni, że pierwszy ich przodek Sobiesław Siekiera, za Bolesława Wielkiego, gdy z Pragi uchodzili w małym poczie przed powstaniem narodowem, z poduszczenia niemieckiego wszczętem, bardzo walecznie króla broił od Czechów i za owe męstwa dowody w herbie na polu krwawem siekierę otrzymał. Mianowany dowódcą, mając sobie nadane obszerne ziemie, założył miasteczko Siekierzyn i posiadał pięćdziesiąt wiosek, osadzonych jeńcami, z Rusi, Moraw, Łużyc i Niemców spędzonymi. Tenże nieboszczyk pan Piotr Kornikowski, stolnik nurski, który miał wielkie zachowanie u ostatniego z Siekerzyńskich i od niego to wszystko *directe* słyszał, opowiadał, że w familji ich zachowywało się nawet podanie, iż niegdyś tytułu książęcego używali, ale że *lapsu temporis*, przy rozdrobieniu majątku sami go dobrowolnie porzucili.

Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że w poczie znakomitych rodzin *inter Comites et Barones* zaliczali się już w XIII w., jako świadczy akt bolesławski, w którym *Comes Sulislaus Sziekiera* jest wymieniony.

Siekierzyńscy, jakkolwiek im później zubożec

przyszło, pamięć pochodzenia swego pielęgnowali starannie i stosowną dumą wieńczyli stronie. W domu ich widział pan stolnik nurski olbrzymiej wielkości, mocno szerniałe *arbor genealogiae*, na którym z lędźwi leżącego na ręku spartego, w zbroję żelazną skutego i siekierę w ręku piastującego rycerza, wyrastał dąb (symbol długotrwałości) mający na liściach swych imiona wszystkich Siekierzyńskich od owego Sobiesława alias Subislaus'a pochodzących. Byli tam między XI a XVI wiekiem żyjący mężowie wielkimi godnościami zaszczycony, takimi nawet o których dziś w historii nie słyhać, były koligacje jako konstelacje (wyrażenie pana stolnika nie moje) świetne, buławy, krzesła, pieczęci, mitry i infuły w niezliczonej mnogości.

Ale jak to zwykła kolej rzeczy ludzkich od XVI w. rodzina ta, dostarczywszy krajowi dosyć mężów godnych i niewiast płodnych, poczęła nachylać się ku upadkowi widocznie, tak iż ani lustr przedziwnych koligacyj, ani wysiłki jej członków podnieść jej *pristinam magnitudinem* nie mogły (wyrażenie pana stolnika Kornikowskiego). Znali urzędzeni Siekierzyńscy *instabilitatem fortunae* i zwykłej obrotu; poddali się woli Bożej, ale niemniej walczyli o sławy dawnej utrzymanie. *Eheu!* napróżno. Jako z góry staczający się powóz, zrazu powolnie się zsuwa, potem coraz naglej pędzi, wreszcie gwałtownie lecąc, o kamienie się rozbija, tak i wielkość, sława, znaczenie przezacnego domu z impetem runęły ku nieuchronnej rzeczy ludzkich kolei. (Zawsze słowa pana stolnika).

Jakgdyby nieprzyjazna fortuna szydzić chciała z upadających, w początku rozrodzili się niezmiernie, zwłaszcza mnogością córek, które substancją dziedziczną w rozmaite domy świeżo *ex obscuritate* wyrastające, rozniosły; wreszcie od kilku pokoleń, zeszli na jedną linię i jedną tylko męskiego reprezentanta. Bolało to Siekierzyńskich, ale w chrześcijańskiej pokorze powtarzali sobie *praeterita res-picientes* i pocieszając się wielkością ubiegłą. — *Sit voluntas Tua!* I nieboszczyk pan skarbnikowicz czerski, Longin Siekierzyński, mawiał przed stolnikiem nurskim, często tu wspominanym panem Kornikowskim: upadły państwa Assyryjskie, Babilońskie, runął Tyr i Sydon i Palmira i Troja, czemużby rodzina nasza losu wszystkich wielkości doznać nie miała.

A mówił to (jak opowiadał nieboszczyk stolnik) z takim przejęciem, z taką powagą, z taką wielkością tytaniczną, że częstokroć sam pan Kornikowski, zwłaszcza nie będąc na czczo, łzami się zalewał, słuchając. I stało się jeszcze, że uprzedzając grobowe zapomnienie i jakby dając go wcześniej Siekierzyńskim skosztować, los sprawił, że wszyscy prawie dawnej ich wielkości zapomnieli; owszem śmieli się z niej niedowierzliwie i szlachta nierównie świeższej daty często prym przed nimi brała, insultując upadającym...

Sąsiad pana skarbnikowicza czerskiego *ultimi descendentis prosapiae magnae*, niejaki Wichuła herbu Zabawa, (który jak wiadomo i nie tak stary w Polsce jest i *adrena* tylko), wbrew przyzwoitości, z in-

solencją wielką natrząsał się z Siekierzyńskich i w kościele, na sejmiku, na zjazdach szlacheckich wszędzie ich posiadał. Znosił to pan skarbnikowicz z wielkim animuszem, jakoby nie widział, nie chcąc zwady z podlejszym od siebie poczynąć, ale jak go to srodze bolało, nieraz sam na sam przed panem Kornikowskim się wynurzył.

— Patrzaj, waćpan,—mawiał—nie jestże to świat przewrócony, żeby Wichuła, który niewiedzieć z czego powstał i prapradziada swojego wskazać nie może, chodził przede mną, hetmanów i senatorów potomkiem! Ale taka rzeczy kolej i poganin Horacy niejedną aluzję do tego prawa powszechnego mieści w wierszach swoich, i pismo nam liczne stawia upadku rodów najświetniejszych przykłady. *Cadent quae nunc sunt in honore...*

Na te i tym podobne skargi pan Kornikowski, z którego ust to mam, moderując zawsze żal wielki pana skarbnikowicza, odpowiadał, stosownemi konsolując uwagami; i często wieczory całe zasłuchiwał się opowiadań o liściach dębowych owego drzewa, które na ścianie izby jadalnej wisiało. Oprócz pewnych i wypróbowanych powieści były tam i zajmujące podania z ust do ust *ab antiquo* podawane o Siekierzyńskich przed Bolesławem Wielkim, a nawet jedno dowodne bardzo, jakoby z Lechem przybył pierwszy przodek domu, i jeden z dwunastu wojewodów był tegoż sławnego rodu.

Tandem też, opowiadał mi pan stolnik nurski, XVI *saeculo decreasento*, Siekierzyńscy siedzieli na jednej wiosce tylko, która, *in vim* miasta ich Sie-

kierzyna, Siekierzynkiem się zwała; a leżała w Mazowszu. Używali oni jeszcze wziętości wielkiej i mieli przewagę między szlachtą, dla pamięci przodków, ale coraz ją z fortuną, jak to bywa, tracić poczęli. Wszelkiego rodzaju nieszczęścia zwały się na utrapioną rodzinę: ogień, nieurodzaj, źli sąsiedzi, procesa, dzieci stratne, starcy nieopatrzni, nieprzyjacielemożni... Walczyli panowie Siekierzyńscy do upadłego, ale siła złego wiele na jednego. Przyszło na to, że pan wojski Celestyn Siekierzyński już tylko na części wsi Siekierzynka gospodarzył, druga wyszła z imienia i, co gorzej, w podłe ręce. Ożenił się przecie, przestrzegając, jak wszyscy jego antecesorowie, by czystość krwi szlacheckiej zachować i nie łączyć się—jedno ze starą szlachtą; z ubogą ale *illustrae originis* łowczanką Izabelą Żmigrodzką, z której jednego tylko zostawił syna, pana skarbnika Sobiesława Zygmunta. Ten także wybierał długo, zanim znalazł sobie życia towarzyszkę, pannę Annę Korczycównę, ubogą też, ale wielkich cnót i wielkiej niegdy familji matronę, po której miał jednego też syna *saepe nominatum* skarbnikowicza czerskiego, Longina.

Część wioski Siekierzynka zawsze jeszcze pozostawała w dziedzicznej dzierżawie rodziny, ale obciążona długami i procesami to o granicę, to o sumy. Oprócz tego, po pradziadzie mieli Siekierzyńscy ciągle popieraną sprawę po trybunałach, wznowianą co sesja, o spadek znacznych bardzo dóbr, które była z domu ich wyniosła Agata Siekierzyńska *primo voto* Kossobudzka, *secundo* Lędzka,

która zmarła *sterilis*, a majątność ta *inipuo modo* zatachlowana dostała się w ręce Łędzkich i ich spadkobierców. Proces ten, na który się w części panowie Siekierzyńscy stracili i coraz go popierając a forytując do ostatka hartowali, trwał już lat przeszło stu, a upaść mu nie dawano, chociaż do czynienia było z możnemi rodzinami. W ostatku pan skarbnikowicz czerski wiedząc dobrze, że po kilkakroć *pars adversa* czyniła kroki do zgody, której dotąd przyjąć nie chciano; a razem rachując się z uszczuploną fortunką, skłonił się do układów, ale Łędzcy teraz ani mówić o nich nie chcieli. To było poniekąd powodem choroby i śmierci skarbnikowicza, który podówczas syna już mając, a przewidując jak przeciwne zagrażały mu losy, wielce się tem zgryzł, wziął do serca i od tej pory, jak uważano, cherlać i niedomagać zaczął.

Longin Sobiesław Siekierzyński, skarbnikowicz czerski, *haeres* na Siekierzynku, miał za sobą godną niewiastę, ubogich rodziców, ale starożytnej szlachty córkę, pannę Kunegundę Pilecką, z familji która z Jagiellonami jakoby miała nawet koneksję. Z tej to, jakeśmy mówili, Bóg dał mu syna Tadeusza Sobiesława.

Mieszkali naówczas potomkowie tej przezacnej rodziny w starym dworze siekierzynieckim, który, jak powiadał mi pan Kornikowski, podpierany, łatany, przybudowywany, podmurowywany, dokrywany, obmazywany, stał już blisko lat dwóchset. Sam też widziałem go i o wieku jego sądzić mogę: było to domostwo wprawdzie znacznie w ziemię zapad-

łe, tak że do sieni wchodziło się po dwóch czy trzech stopniach jak do piwnicy; okna jego ledwie na pięć nad ziemię się wznosiły, a ogromny, śpi-czasty, czarny dach widoczniejszy był zdaleka od ścian samych; przybudówki, podpory, dyle, w różnych kierunkach opasujące je, dziwnie się bardzo wydawały, ale zato miał dwór ów jakąś minę poważną, niby zgrzybiałego, starca w staroświeckim rozpartego krześle i otoczonego wnuczętą. Wnuczęta przedstawiały wspomniane podpory, dyle i belki, popodstawiane ze wszystkich stron pod chylące się i wypaczone ściany. Dach, niegdyś na dwie kondygnacje, tak osobliwszym sposobem pogarbił się, powychylał, połamał, a z gontów w skromniejszą i to już porośłą mchem przeszedł słomę, że cudem zdaje się trzymał się jeszcze na tej budowie. Okna poddasza, oprawne w drewniane wyrabiane wystawki, schylały się: jedno, jakby przychodzącym pokornie się kłaniało, drugie nawznak padając. Żadne drzwi wewnątrz nie zamykały się szczelnie i łatwo; jedne podpiłowywać musiano co lato, drugie sztukować co zima. Podłogi uchylały się pod nogami tak dziwnie, jakby je sztukmistrz na postrach gościom na sprężynach poukładał. Stare, ogromne piece kaflowe, niebieskie i zielone, reperowane cegłą i gliną, straciły także kształty pierwotne i podostawały niepotrzebnych brzuchów i garbów. Ale zato jak ślicznie rosły dokoła zamieszysto i bujno podnoszące się stare lipy, świerki, jabłonie i grusze!... ile cienia było w ogrodzie!

Wewnątrz domostwa ciemnego od otaczających

je drzew i krzewów, od znizenia ścian, wilgotnego i smutnego, czuleś, wszedłszy, ów zapach ruiny, ową woń ubóstwa zbutwiałą i przegniłą, która w starych budynkach jest zwiastunem upadku — swędem trupa. Ponuro wyglądały izby puste, zimne, milczące i po większej części nagie; budowała je zamożność, zamieszkał niedostatek.

Za każdym przechodzącym wlokło się podrzeźniające kroki jego echo, z szatańskim naigrawaniem powtarzając długo i przeciągle jego stąpanie. Wiatr świszcział nieustannie po kominach i jęczał w piecach, dzwoniły szyby okienek za najmniejszym wiatru powiewem, a w czasie burzy trząsł się dom cały, jakby się lękał zawalić. W ogromnej sieni z tych jeszcze czasów pozostałej, kiedy panowie szlachta przyjeżdżali z licznym orszakiem pachołków co ją napełniał, stały jakieś próżne i porozbijane skrzynie, połamane sprzęty, wisiały łachmany malowanego płótna, a parawan szary, kulawy, szeroko rozpościerał napróżno ramiona, by je ukryć przed wchodzącym. W pierwszej izbie na lewo, niegdyś najporządniejszej, sufit płótnem podbity, szczury i myszy, ścieląc gniazda, pociągały jak worki; w dwóch czy trzech miejscach rozdarły płótno, i czarna dziura zdawała się okiem ciekawem zaglądać na pustą komnatę. Jedno okno, nadbite, wieczne zasłonięte było okiennicą, przez której serduszko tylko wciskał się chorowity światła promień przez misterną siatkę pajęczyny; drugie, calsze ale skrzywione w spróchniałych ramach, miało szybki drobne bez poloru, zbielełe i jakby mgłą zaszele.

Kanapa odarta, stół chwiejący się i kilka krzeseł różnej wielkości, wybicia i kształtów, rozpięzchłe po izbie, stały bez życia, bez związku. Wielki komin przy piecu zamurowany był i zabieleny, stała w nim tylko beczułka octu i butel bibułą przytknięta. W rogu u drzwi stara szafa pusta, z poodmykanemi drzwiczkami, ukazywała głodne i zbrukane wnętrze, na którego jednej półce walał się talerz stłuczony. Pająk zasnuwał kąty, a myszy wcześniej gospodarzyły, przechodząc z dziury do dziury wśród białego dnia. Na ścianie wisiało ogromne owe drzewo genealogicznie w czarnych ramach, ale krzywo, na długim sznurku, jakby co chwila oberwać się miało i upaść. Z całego malowania tylko kilka jaśniejszych miejsc zbroi rycerza świeciły się jeszcze; resztę muchy zapstrzyły i pył zasunął gruby. Dwóch czy trzech przodków co najcalszych, bo podarte potrety wysłano na przeciwek, z poważnemi minami, podgolonemi czuprynami, ręką w bok lub na orężu opartą, dziwowali się nędzy, która ich otaczała. Znać było po ich twarzach, że za innych żyli czasów, że lepiej im było i zamożniej. Jeden pan cześnik zwłaszcza, któremu dziwna plama koło głowy nadawała wyraz szyderski, przerażający, miał minę, jakby chciał skoczyć i ryknąć zapytaniem: jakim prawem śmiecie być ubodzy, potomkowie moi? Drugi był chmurny i poważny jakby dumiał co poradzić; trzeci zdawał się gromić, a zapchnięta w ciemniejszy kąt matrona we wdowim stroju, z książką i paciorkami, modliła się... modliła już sto lat napróżno za powodzenie prawnuków.

Cóż powiedzieć o innych izbach, kiedy taką była najporządniejsza? Z dużego domu kilka tylko zajmował skarbnikowicz czerski z żoną, synkiem i nieliczną czeladzią; reszta służyła za składy rzeczy, których składać już nie było warto, za kurniki, drewnutnie i schronienie nocnych strachów, które tu na rachunek przodków chodziły, niepokojąc gospodynie i chłopców. Wszędzie też sama panowała dezolacja, zrujnowanie i smutne opuszczenie; a najzacisniejszy pokój skarbnikowiczowstwa winien był swe przymioty odwróceniu od wiatru, osłonie drzew i zapadnięciu w ziemię. Broń Boże ulewy, nie było kąta, gdzieby misek, hladyszek, neculek i garnków podstawiać nie potrzeba było; a z sieni często wynoszono wodę cebrami, gdy się jej z podwórza obficie nalało.

Taki to był dwór pana Longina-Sobiesława Siekierzyńskiego, z którego ubóstwa a dumy ośmielał się szydzić i drwinki sobie stroić pan Wichuła, nabywca części Siekierzynka i sąsiad o miedzę, a co za tem idzie, nieprzyjaciel. Ale żadne w świecie żarty i szyderstwa nie mogły upokorzyć człowieka tak pewnego swojej wielkości, tak przejętego dumą rodową, jak pan skarbnikowicz czerski. W ich krwi to uczucie godności własnej było, rzec można, dziedziczne, i skutkiem starannie dobieranych związków małżeńskich, szlachecka duma ich przelewała się w potomków, coraz w miarę zmniejszania fortuny wzrastając.

Skarbnikowicz, najuboższy z Siekierzyńskich, nie ustąpiłby był kroku żadnemu Lubomirskiemu, Po-

tockiemu, a cóż dopiero świeższym pansom z Rusi i Litwy, choćby z Jagiellonów pochodzącym? Mawiał z uśmiechem, że Czartoryjscy mają dwie genealogie, co znaczy, jakby żadnej nie mieli, a zresztą... piękne mi szlachectwo czy księstwo, co za XIII wiek wyjść się lęka, bo mu ciemno? Z Poniatowskich śmiał się razem z Radziwiłłem, ale i na Radziwiłłów głową kiwał, zowiąc ich popadiukami, od czasu jak kronikę Strykowskiego przeczytał i dowiedział się o ich pochodzeniu od Lezdejki.

Mało bardzo było rodzin, na którychby uznanie pięknego pochodzenia zezwolił; a za świeżo podniesionych miał wszystkich, co od XIV wieku głośniejsi być poczęli, nazywał ich nowemi sitkami. Zresztą drobnej ubogiej szlachcie chętnie wynajdywał Longin i przodków, i pochodzenie stare, i ilustracje; ale dla panów był nielitościwy, ruszając ramionami ile razy mu o nich mówiono. Wszystko to ludzie *ignoti nominis*, mówił, nie wiedzieć skąd to się pobrało, lepsze rodziny popadały, powymierały, pogaśły, a to robactwo na trupach wylęgłe... i kiwał głową i wargę spodnią odymał i chodził szerokim krokiem po skrzypiącej podłodze największej izby, z założonemi wtył rękoma. Skarbnikowicz był człowiekiem głęboko myślącym widocznie, całe bowiem życie spędzał po większej części na myśleniu: nie robił nic nigdy, tylko myślał i myślał. Postać jego zapowiadała sensata; słusznego wzrostu, szerokich ramion, senatorskiej postawy, nie otyły, ale w miarę krągły, na karku wyniosłym, miał głowę podługowatego kształ-

tu, z pięknem czołem wysokiem, którą nosił zawsze trochę na tył i ramię prawie zarzuconą. Oczy jego przykrywała powieka wypukła, długą rzęsą otoczona; usta miały budowę austriackich i dolna warga odymała mu się naturalnie, zwłaszcza gdy uczuł więcej, gdy był mocniej wzruszony. Na portretach starych można się było przekonać, że i przodkowie pana skarbnikowicza mieli też same rysy rodzinne, które on otrzymał po nich w spadku. Długi wąs jasny wśród wygolonej twarzy spadał mu na brodę owalną, jak gałęzie brzozy zawieszzonej nad pagórkiem. Mowa jego była powolna, umiarkowana, sentencjonalna, czasem trochę ironiczna, zawsze uczucia godności własnej pełna; spojrzenie zgóry i długie, chód wolny a majestatyczny; ręce zawsze złożone nosił ztyłu. Co do charakteru, nic mu zarzucić nie było można, uczciwości był nieposzlakowanej, dobroczynny i wspaniały nawet w miarę siebie aż do zbytku; cierpliwy bardzo na obelgi, dwie miał tylko wady: dumę przepotęzną i zbytek myśli, a brak ochoty do pracy. Co najlepiej lubił, to chodząc po izbie, cedzić po słówku, lub sam na sam ze sobą dumać a dumać. Czasem najszczęśliwsze myśli przychodziły mu do głowy, ale jak przyszło do wykonania... odkładał od dnia do dnia; zwlekał, przeciągał i wkońcu nic nie począł, bo gdy się zebrał do dzieła, już było po czasie. Naówczas mężnie zniósłszy *diram adversitatem*, jak mówił, westchnął i dumał sobie znowu, spokojnie, cicho, poważnie, jakgdyby nic nie stracił, a nade wszystko jakgdyby sam nic nie był stracie winien.

W panu skarbnikowiczu, acz upadłego, znać było możnych potonka; wzbudzał poszanowanie choć wzbudzał i litość razem, a źli ludzie, co słabości jego znali, często z niej korzyści dla siebie ciągnęli. Przez wrodzoną ową dumę nigdy wedle możliwości nie dał jałmużny, zawsze ją musiał sypnąć wspa- niale, a serce miało też udział w uczynku, bo był pocziwy i litośny. Ubóstwo swoje zakrywał i po- bierał jak mógł, bo mu go przy świetnem imieniu niezmiernie wstyd było; a że nie miał tak dalece czem przybrać nędzy, zataczał na nią dumę swoją, którą jak złocistym płaszczem się okrywał. Potrze- ba go było widzieć, gdy parą szkap kulawych i śle- pych, świeżo z pastwiska schwytyanych, powiazaną sznurkami i łykiem taradajką, w wytartym kontu- szu jechał do kościoła; rzekłbyś, że magnat w po- złocistej kolasie, tak pogodnie wysoko niósł czoło. A gdy jako kolator do pierwszej wchodził ławki i sunął przez środek nawy, ledwie racząc spojrzeć na zgromadzonych, nawet złośliwy Wichuła ustę- pował mu z drogi. Do ucałowania pateny i krzyża nikt też nad niego nie występował poważniej i uro- czyściej.

Sama jejmość, z domu Pilecka, imieniem Kune- gunda, wychowana w sąsiedztwie, a znając trady- cjonalny szacunek dla Siekierzyńskich, których wszy- scy jako kwiat *nobilitatis* uważali; poszedłszy za pa- na Longina, miała sobie za wielkie szczęście, że to imię nosiła i męża szanowała, czciła prawie ja- ko wyższą jakąś istotę. Sprzeciwienia mu się nie pojmowała, do porady nie ośmieliłaby się nigdy,

uważając je za uwłaczającą tak wielkiemu mężowi, i całe życie skinienia tylko jego i woli wypatrywała. Co było najprzykrzejszego w życiu to dla niej, co najlepszego to dla niego; starania około zdrowia, dostatku, wygod, spokojności ukochanego Longina, głównem jej godzin zajęciem. Cicha, pobożna, trwożliwa, potulna, na najmniejszą niecierpliwości oznakę drżała i przerażała się, a za największe miała sobie szczęście, gdy się jej raczył uśmiechnąć, gdy do niej dłużej przemówił. Walczyła ona pocichu z ubóstwem, z wytrwałością anachorety, z pracowitością niewolnicy, z przemysłem żyda; ale nacóż się to wszystko przydało, gdy z mozolnych trudów owoc, jeden występ, jedna jałmużna pańsko dana, jedno przyjęcie pożerało. Nie sarkala, widząc strwonione zabiegów swoich długich, często i ofiar osobistych zapasy; ale z cierpliwością anielską rozpoczynała na nowo jak mrówka szybko odbudowywać rozrzucone mrowisko.

Tymczasem dzień za dniem cięższe było w Siekierzynku życie: ów miły sąsiad Wichuła, że go skarbnikowicz przypuścić do siebie na stopie równości nie chciał, zajadły, chciwy zemsty, co godzi na srodzej dojadął, codzień nowe płatał figle, a siedząc o miedzę, miał tysiąc dokuczania zręczności.

Siekierzyński opędzał mu się z rodzajem wzgardy, jakby dojadającej muszce lub brzęczącemu komarowi, co to i gniewu nawet nie są warci. Ten animusz wyniosły najgorzej niecierpliwił szlachetkę i, zaciskając pięści, tupiąc nogami, przysięgał, że upokorzy dumę sąsiada, choćby, jak powiadał, miał

pójść z torbami, lub wieżę odsiedzieć. Znaczyło to, że się wydatku ani nawet odpowiedzialności osobistej nie zleknie.

Skarbnikowicz odpierał donoszone mu usłudze pogróżki, *mira cum superbia*, milczeniem; powiadał nieboszczyk pan Kornikowski. Kilkakroć pleban, pocziwy starzec, który z obudwu chciał żyć w zgodzie a nieustannie narażał się obu, usiłował napróžno pojednać zwaśnionych sąsiadów. Wichuła odpowiadał bez ogródki: — Kpię z tego hołysza! — a Siekierzyński najzimniej: — Ja się na niego nie gniewam, ale żyć z nim nie chcę.

Nazajutrz schwythane gęsi Wichuły w przenicy pana Siekierzyńskiego wisiały na długich tykach, a karmny wieprzak pani Kunegundy, podobno na ulicy złapany, zabity i w proso wciągnięty, leżał nade drogą w pokrzywach... A gdy taradajka skarbnikowicza przejeżdżała mimo dworku sąsiada, Wichuła wychodził umyślnie do bramy i siadał na ziemi w nieprzyzwoitej postawie... czego zresztą patrzący w górę Siekierzyński nie widział. Ludzie ich, nieustannie panów drażniąc, psoty wyrządzali niegodziwe, wojna wrzała nieustanna; w dodatku wywiązał się z niej proces brudny i nudny...

Wichuła, którego ojciec gdzieś na wielkim dworze niedawno marszałkował i dobrze się obłowił, zamożny, żądny, skąpy, z gębą wyszczekaną, z czołem wytartem, ale sprytny, zwinny i przebiegły, wiele łez panią Siekierzyńską kosztował. Z jej strony byłaby wszelka gotowość do zgody, ale śmiałaż ją nawet zaproponować mężowi?? On lepiej wie co

robi, mówiła, a już ciż musi się szanować i nie ustąpić szlachetce!

Więc w tąż grając, nie ustępowała kroku pani Wichulinie, ani na procesji, ani w kościele, ani u sąsiadów, jeśli się gdzie spotkały, i choć pokorna w duszy, musiała do góry głowę nosić, dla pana małżonka.

Wśród takich okoliczności, po kilku latach pożycia, pan Bóg z wielką radością skarbnikowicza, który się lękał, by na nim dom nie wygaś, i ślubował do wszystkich cudownych obrazów o syna, któremu niedostatek tylko i troski miał przekazać — pan Bóg dał mu płci męskiej potomka.

Wielkaż to była w Siekierzyнку radość! Sama pani, która się ciągle modliła, żeby jej Bóg dozwolił życzeniu męża zadość uczynić, tak była wzruszona swoim szczęściem, że je odchorowała; a skarbnikowicz latał po pustych izbach jak szalony, powtarzając sobie, portretom i stołkom:—Syn, chwała Bogu! syn! — Natychmiast postanowił, nie zważając wcale na stan kieszeni i spiżarni, nad którymi się nigdy nie zastanawiał — obchodzić huczniemi chrzciniami przyjście na świat potomka starożytnego rodu. Radby był wspaniałą ucztą na mil kilka wszystkich szlachtę braci u siebie zgromadzić; ale piwnica, zapasy domowe i pusty woreczek stawały na przeszkodzie; a oddawna Siekierzyński, choć bardzo słowny i uczciwy, kredytu nie miał, bo wiadano, że broń Boże na niego śmierci, mająteczek na długi nie starczy. Nie wstrzymało go to jednak od przyborów wielkich i zapraszania wszystkich znajomych.

Kunusia, tak nazywał żonę, leżąc w łóżku, płakała nad tem, wiedząc, jak znaczny dla nich uszczerbek te huczne chrzciny uczynią, ale jak zawsze, tak teraz, nie śmiała się męża woli sprzeciwić.

Proboszcz, jak się tylko o synie dowiedział, pośpieszył zaraz do Siekierzyńskiego w nadziei, że przy tej wielkiej radości potrafi go może nakłonić do zgody z Wichułą. Sąsiad stał właśnie jak był nawykł dnie całe, we wrotach dziedzińca, ręce za pasem, nogą na nogę założona, o słup oparty, poświśtując... Szkoda mówić, żeby był piękny: mały, krępy, zwięzły, dość tłusty, raczej szeroki niż długi, z włossem najeżonym czarnym, nisko zarastającym, z oczyma wilczemi, głęboko wpadłemi pod czoło, zawsze uśmiechnięty złośliwie, miał minę zbója, jak powiadał nieboszczyk Kornikowski, że trochę też po zbójceku obchodził się z ludźmi, z którymi miał na pieńku. Gwałt go nic nie kosztował i złe słowo także; bo nawet z przyjaciółmi waśnił się, a we dworze począwszy od żony, która się z nim ujadła dnie całe, nie było człowieka, z którymby się dwa razy w dzień nie skłócił, któregooby nie wytuzął. Pomimo tej prędkości, która go strasznym czyniła, nawet własni ludzie nie obawiali go się i nie szanowali jakby myśleć można; odpowiadali mu po grubjańsku i były wypadki gorsze jeszcze. Życie Wichuły schodziło na tuzaniach i łajaniach, to był jego właściwy element.

Proboszcz, zbliżywszy się do bramy, pokłonił się panu Wichule i z uśmiechem, który miał zawsze na ustach, bo to znów był człowiek aż do słabości dobry, rzekł

— Dzień dobry panu!

— A dzień dobry, mości dzieju! i dokąd-że to?

— Do Siekierzyńskich.

— Jak zwykle! ha! a do mnie to nie łaska! czy to ich spleśniały chleb smaczniejszy od mego?

— Naprzód — rzekł proboszcz, zastanawiając się — wiesz pan, że ja Bogu dzięki nigdzie dla chleba nie chodzę, bo mam swojego kawałek, a powtóre powiem otwarcie, że tam idę, gdzie mnie mile przyjmują.

— Wiem ja, wiem, mości dzieju! — odparł Wichuła — że nie mam łaski u proboszcza, a tamten hołysz bardzo blisko jego serca, a cóż robić, nie powieszę się z desperacji!

— A chcesz waść prawdy — dodał żywo proboszcz, — no to ją posłyszysz: tam ja gdy przyjdę, nie spotkają mnie w progu przekleństwami na ludzi, groźbami, djabłami, których u waści zawsze gęba pełna; ludzie z Bogiem żyjący.

— A ja to już bez Boga, mości dzieju?

— Nie ujmuję waści — kończył proboszcz, zażywając tabaki — ale gniew masz ciągle w sercu, a to nic potem.

— Pocóż mnie jątrzą, poco mnie do niecierpliwości przyprowadzają?

-- A waść sam?

— Któż począł? nie ja.

— Ot! co to gadać długo! poco darmo się rozwodzić. Pan Bóg dał syna Siekierzyńskim, pogodziłbyście się, zrób tylko krok ku temu.

— Ja! — wrzasnął Wichuła — ja! żebym ustąpił

temu hołyszowi, a! rychlej się, mości dzieju, ziemia pode mną zapadnie! o! co nie, to nie. — To mówiąc, splunął i rzucił się jak dzik skaleczony. — Zalał on mnie, zaleję i ja jemu za skórę gorącego sadła! a zobaczmy czyje będzie nawierzchu!

— A to po chrześcijańsku? — rzekł ksiądz.

— Już niech to sobie będzie, jak chce — odparł gwałtownie szlachcic — ale prędzej niebo się na ziemię zwali, niżeli ja podam rękę pierwszy Siekierzyńskiemu...

Nie było co mówić więcej, proboszcz pokiwał głową i poszedł do skarbnikowicza. Zastał go chodzącego wedle zwyczaju wielkimi krokami po pierwszej izbie, z głową do góry, z ręką na plecach jedną, za pasem drugą, z uśmiechniętą błogą twarzą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków, ojcze! a! a! wiecie wielką nowinę! Pan Bóg mi dał syna... myślę jakie mu dać imię, w samą porę przychodzicie.

— Winszuję i życzenia składam ze szczerym afektem, dla całego ich domu, jako sługa i Bogomolca...

Skarbnikowicz się skłonił.

— Błogosławieństwo Boże — kończył ksiądz; — warto szczęśliwą chwilę pięknym uczynkiem oznaczyć.

— Chrzcziny będą solenne...

— E! to nie o chrzcziny chodzi, skarbnikowiczu dobrodzieju... ale żebyś tak w imię Boże... pogodził się z Wichułą, toby to była w niebie radość, żeby się to zgorszenie ukróciło. — Twarz Siekierzyńskiego zasępiła się, milczał.

— Żebyś mu tak po bratersku — mówił ksiądz.

— Jak-to po bratersku? — przerwał urażony gospodarz.

— Alboż nie jesteśmy wszyscy braćmi w Chrystusie?

— Tak, tak, ale są starsi i młodszy i Kainy między braćmi... Ja się z nim nie kłócę — rzekł Siekierzyński — ale on ze mną! zresztą, mój ojciec, to dla mnie obojętny człowiek, a żyć z nim nigdy nie myślę i nie będę.

— Czemu?

— Bo, prawdę rzekłszy, znajdzie on sobie równych.

— Ej! duma, duma! skarbnikowiczu! nie chrześcijański sentyment! porzuciłby to, porzucić!

— Duma nie duma, ale kiedy kto zna swoją godność.

— Skarbnikowiczu, taki on szlachcic jak i wy — rzekł nieostrożnie ksiądz proboszcz.

Na te słowa jakby go sparzył, odskoczył Siekierzyński, zaciął usta, zgóry spojrzał i odparł z dumą wyrażną, krótko i sucho:

— Przepraszam, nie taki szlachcic jak ja... bo takiej szlachty jak Siekierzyńscy, mości proboszczu, w całym kraju jest tylko cztery familje... Zresztą, dajmy temu pokój.

Nie nalegał ksiądz więcej, bo widział, że i tego obraził, co zresztą najczęściej mu się trafiało, poszedł więc pokorny i cichy powinszować jejmości i pobłogosławić nowonarodzonego. Wślad za proboszczem przybyli i inni sąsiedzi, którzy kochali

i poważali skarbnikowicza i mój pan Piotr Kornikowski, stolnik nurski, który ze szczególną był czcią dla tej familji, a przyjaźnią poufałą Siekierzyńskiego się zaszczycał. Wszystkich na chrzciny, nieco odłożone dla przygotowań, pozapraszał gospodarz; jakoż w miesiąc potem odbyły się, jak można było, najuroczyściej, z wielkim natłokiem sąsiadów i powinowatych, których we wrotach stojący Wichuła liczył ze złością i zawiścią niewymowną; znajomych nawet usiłując odciągnąć, ale napróżno. Całą pociechą dla niego było, że się nałajał i nakrzyczał. A że chrzciny syna Wichuły, pomimo usilnych zaproszeń, ani przez połowę nie były tak ludne, bo się wszyscy obawiali tego człowieka, u którego nigdy bez awantury się nie obeszło, można sobie wyobrazić, jakim sercem patrzył na wózki, półkrytki, bryczki i taradajki do starego dworu ciągnące. Jejmość, choć w łóżku jeszcze leżała, bo się rozchorowała, potrafiła przecie tak wszystko urządzić, aby się skarbnikowicz przyjęcia nie powstydził, i było porządne, można powiedzieć wystawne, a jak na nich, to bez miary kosztowne. Wichuła, jak zwykle zawistni sąsiedzi, miał tak doskonałych szpiegów we dworze Siekierzyńskich, a tak był ciekawy wszystkiego co się tam działo, że nazajutrz mógł najdokładniej opisać: co jedli, pili, mówili, robili, co się stłukło, czego nie stało i jak się dla przyzwoitego przyjęcia sztukować musiano.

Po chrzcie Tadeusza-Sobiesława, gdyż takie imię nadano nowonarodzonemu, skarbnikowicz zapalczywiej niż kiedy począł chodzić, i myśleć a roz-

myślać, snąć o losach syna, którego przyszłość nie-
pokoić go mogła. W istocie interesa były bardzo
w złym stanie, niedostatek w domu tylko pracą
i przebiegłą troskliwością Kunegundy się ukrywał;
gospodarstwo szło opieszale i lichy, bo pan skarbnikowicz ani się na niem znał, ani je lubił. Całemi
dniami po wielkiej izbie pustej chodził zadumany,
aż kroków jego ścieżka w pokoju była widoczną.
W tej dziwnej, upartej przechadzce codzień rano
witał go biały grzyb ogromny, który z kilką mniej-
szemi w ocienionym kątku pokoju przez noc wy-
rastał, jak przepowiednia upadku domu, jak sym-
bol zniszczenia. Zaledwie go ujrzał skarbnikowicz,
leciał i dusił go nogą z całej siły, rozrzucając sta-
rannie szczątki nieprzyjaciela z wyraźnym gniewem
i zapalczywością; ale nazajutrz uparty grzyb odra-
dzał się znowu w tem samym miejscu i tak sto-
kroć gnieciony, powtarzał swoje nieme proroctwo.
Walka z tym grzybem rozpoczynała dzień każdy,
a wieczorem odchodząc na spoczynek, pan Sie-
kierzyński pilnie się przypatrywał, czy nieprzyjaciel
nie podniósł głowy; nie było ani śladu, dopiero
przez noc uwinął się tak, że zawsze dobrydzień
szyderskie gospodarzowi powiedzieć musiał. Grzyb
ten skarbnikowiczowi truł życie poczęści, ale nie
było na niego rady jak na Wichułę, i kto wie, czy
milczące przechadzki całodzienne nie z powodu
tego grzyba się odbywały? Skarbnikowicz cały
dzień prawie deptał chwiejącą się podłogę wielkiej
izby, czasem zajrzał do żony i syna, a gdy pod-
starości przyszedł wieczorem po dyspozycję i sta-

nał w progu z bałogiem, Siekierzyński popytał go tylko co robić myśli i na wszystko się zgadzał, co ten mu podsunął.

Z nałogowego milczenia i dumania wychodził tylko skarbnikowicz, gdy mógł mówić o upadłej wielkości swojego rodu, o jego dziejach i przeszłości. Naówczas stawał się wymowny, niewyczerpany, obfity, wesół, słowem, nowy człowiek; lecz zaledwie przerwano mu ten przedmiot jedyny i zwrócono ku innemu, wpadał w zaćmy znowu i martwiał.

Sądziła jejmość sama, że urodzenie syna doda mu ochoty do gospodarstwa, nakłoni do pracy i zajęcia interesami, ale wszystko się kończyło na dumaniach i odkładaniu na jutro. Kiedyś, później miało się wszystko najgładziej poułatwiać, i powinny były lepsze nastąpić czasy. Siekierzyńscy acz *lente*, jak powiadał Kornikowski, popierali od bardzo dawna proces ze spadkobiercami Łędzkich o posagową sumę bezpotomnie zeszej Agaty Siekierzyńskiej; przyszło i panu skarbnikowiczowi, aby rzecz nie uległa przemilczeniu, wnieść jakiś pozew na trybunale lubelskim; potrzeba było jechać do miasta. Długo się bardzo wybierał, odkładał, ociągał, ale w ostatku, gdy już zagrażały zwłoki, musiał ruszyć z trochę grosza do Lublina, pobłogosławiony na drogę przez proboszcza, z wielkiem podziwieniem jego wynurzywszy mu na odjezdnem, że byleby Łędcy okazali szczerą chęć układów, on także gotów na nie przystać.

— Widzisz, waćpan dobrodziej — rzekł skarbnik-

kowicz pocichu — nie mówiłem o tem nikomu, ani nawet Kunusi, ale postanowiłem, po dojrzałej refleksji, zostawić synowi raczej spokojny kęs chleba, niż olbrzymie nadzieje z kłopotami.

— Święte są słowa twoje, skarbnikowiczu do-brodzieju — odparł szybko proboszcz — godź się, godź, już ciż-cie się i tak na ten proces zrujnowali...

— I wygralibyśmy go, gdyby tylko trochę cierpliwości jeszcze, ale ja się starzeję, chłopcu potrzeba chleba, my trochę ścieśnieni w interesach, wolę ze stratą kończyć.

— Śliczna myśl, którą *omnimodo* pochwalam! tak! lepiej poły obciąć a od sprawy uciekać.

— Już ciż żeby jak — poważnie rzekł Siekierzyński — to wezmę więcej niż połowę mojej pretensji.

— Gdyby i czwartą część to dobrze! — powiedział proboszcz.

— O! co to, to nie! Posag Agaty Siekierzyńskiej *primo voto* Kossobudzkiej, *secundo* Łędzkiej, wynosił z wyprawą 50.000 złotych ówczesnych, a licząc procenta i co lat dwadzieścia tylko *alterum tantum*, należy nam jasno i oczywiście zgórą półtora miliona.

— Jeżeli na takiej stopie chcesz się waszmość układać — przerwał proboszcz — wątpię, żeby z tego co było.

— A na jakiej-że chcecie? — rzekł skarbnikowicz — już ciż to należność święta, a gdy jej połowę ustępuję dla świętej spokojności...

Ksiądz ruszył ramionami, a Longin Siekierzyński siadł na taradajkę i w głębokich rozmyślach

pojechał do Lublina. Tu znalazł prawników co mu głowę nabili, że z jego pretensją można się jeszcze sto drugie lat prawować; ale trwał w postanowieniu zgody i adwokatowi strony przeciwnej oświadczył gotowość do układów... Posłano do spadkobierców Łędzkich, ale ci *cum stupefactione* (powiadał Kornikowski) pana skarbnikowicza, rozśmiali się, ruszyli ramionami i odrzucili propozycje. Zaniósł więc pozew i manifest nowy, nazad do domu pociągnął, milczący, ale silnie przejęty i zmartwiony widocznie.

Jak wyjeżdżając nic żonie nie wspomniał o zamiarze kończenia zgodnego ze spadkobiercami Łędzkich, tak wróciwszy nic też jej o upokorzeniu swem nie mówił; a na zapytanie plebana, zbył go milczkiem i ruszeniem ramion. Wkrótce jednak i jejmość i proboszcz postrzegli, że się z nim coś osobliwszego działo: pospolicie bowiem był pogodnego choć zamyślonego oblicza, a teraz zasępił się codzien chmurniej, często nie słyszał, co do niego mówiono, trafiało się, że na pytania, których niby słuchał, nie odpowiadał i pogrążony w zadumie nietylko dnie całe, ale część nocy chodząc po izbie wzdłuż i wszerz, mrużąc coś niezrozumiałego, przepędzał. Nic go nie zajmowało, nawet to dziecię, którego przyjscia na świat tak oczekiwał; a łagodne prośby żony, ażeby się szanował, żeby rozerwać się starał, przyjmował jakby ogłuchł. Poczciwy proboszcz, który dawniej miał niezawodny sposób rozechocenia go, naprowadzając rozmowę na historję rodu Siekierzyńskich, teraz

nie umiał nic z niego dobyć, prócz kilku słów zimnych. Mówiąc, nie patrzył na niego jak przedtem, ale słupem oczy wlepił to w ścianę, to w podarty pułap, to w okno. Widocznie opanowała go melancholja, jak to podówczas zwano, czyli inaczej hipochondrja, wedle wyrażenia pana Kornikowskiego, z którego ust mam te wszystkie szczegóły.

Złękła się wielce jejmość, widząc ten stan umysłu skarbnikowicza, a co gorzej, że nagle chudnąć począł; była cicha narada z księdzem proboszczem i stanęło na tem, żeby doktora Niemca, niejakiemu Vogelwiedera, Szlązaka, zamieszkałego w pobliskiem miasteczku wojewody mazowieckiego, przywołać. A że nie chciano przestraszać Siekierzyńskiego i aprehensji w nim wzbudzać, udała pobożnie pani skarbnikowiczowa, że doktora tylko dla dziecięcia sprowadza. Pojechał tedy proboszcz sam po Niemca i przywiózł go do Siekierzynka; a stojący we wrotach Wichuła roześmiał się na całe gardło, widząc że go wieziono do sąsiada, i rzekł zajądło:

— Taki zagryzę bestję!

Ksiądz, słysząc to, aż się przeżegnał, jakby szatana spotkał.

Fyzyk Vogelwieder, bo tak podówczas zwano lekarzy jeszcze, był to otyły Niemiec, ubrany po swojemu kuso, śmiesznie w peruczce pudrowanej z ogromnym harbeutlem, z wielką trzcina w rękę, w kapelusiku; przystrojony łańcuszkami, dewizkami od ogromnego zegarka, mający kieszenie pełne leków, bo był razem doktorem, farmaceutą, chirurgiem, dentystą i apteką chodzącą. Niewiele umiał

i dlatego właśnie wyjechał do Polski, gdzie podówczas brak było lekarzy; śmiało leczył, dumny był bardzo ze swego głupstwa i narodem, który po niemiecku nie mówił, gardził, zgóry nań patrząc; zresztą lubił pieniądze nadewszystko, a kartofle i piwo kładł zaraz po nich. W młodości okulał był z przypadku, co nieuchronnem czyniło dlań użycie trzciny, a dla pospólstwa nóżka jego, przyszła i kopytkowej małości, do djabłej bardzo była podobna. I wyraz też twarzy miał coś szatańskiego: białobłada, pospolicie nieruchoma, gdy mówił konwulsyjnie wykręcała mu się na wszystkie strony, brwi tańczyły po czole, peruka ze skórą głowy chodziła po czaszce, oczy latały, usta gdyby ryjek wywracały się dziwacznie... po chwili wracały znowu do nieruchomości kamiennej. Dzieci jak strachu obawiały się Vogelwiedera, tem bardziej że miał szczególną pasją męczyć je, straszyć i do płaczu doprowadzać. Uniżony aż do podłości z wyższymi, przypadający przed panem, ze szlachtą obchodził się dumnie i bez żadnej grzeczności, z chłopem i żydem nieludzko...

Takiego to lekarza, w niedostatku innego, wioził proboszcz do Siekierzynka, całą drogę mu kładąc w ucho, żeby udawał, jakoby dziecięciu radził, a nie spuszczał z uwagi ojca i powiedział szczerze, co o jego stanie myśli. Zdawało się, że pan fizyk zrozumiał, bo ciągle powtarzał:

— Dobra! dobra! niek będzie spokojna! jak szylko wie i robi jak powinna! dobra! dobra!

Skarbnikowicz już był o przybyciu doktora uwia-

domiony i wcześniej talara ostatniego nagotował, uwinąwszy go w czysty papierek; zapowiedział tylko proboszczowi, że ręki nie poda szoldrze i że do stołu z nim nie usiedzie.

Jakkolwiek Niemiec zwykł był poczynać sobie ze szlachtą ubogą bez ceremonji, a dom w Siekierzynku nie zwiastował dostatków, ujrzawszy poważną postać Siekierzyńskiego, który i w wytartym makowym kontuszu miał minę pańską, fizyk ukłonił się pokornie i uczuł jakąś potrzebę obejścia się przyzwoitego.

Pod pozorem rozmowy wlepił oczy w skarbnikowicza, badał jego oddech, blasł jego oczów, ni by dla obejrzenia kształtów pięknej jego ręki pomacał puls, na co milczący gospodarz pozwolił choć ze wstrętem, bo nie lubił Niemców, mając ich wszystkich za nieszlachtę i wyrwigroszów; nareszcie poszedł do dziecka z proboszczem i tu, spytany przez jejmość o stan zdrowia męża, powiedział bez ogródki:

— Barzo zła! barzo zła! hypochondriacus! puls febryczny... ciężka sprawa! będzie bryk!

Tego bryk szczęściem nie zrozumiała skarbnikowiczowa, proboszcz zagadał i spytał co robić choremu. Fizyk Vogelwieder miał na wszystko trzy tylko lekarstwa: krwi puszczenie, pigułki czyszczące i womitif jak go nazywał, a że choroba była silna, zadysponował wszystko troje razem. Pozostawało przekonać Siekierzyńskiego o potrzebie użycia leków, o chorobie, której nie czuł, i skłonić go do posłuszeństwa. Różnych i wszystkiego rodzaju pró-

bowano sposobów, ale wszystkie napróżno: zaklinała i prosiła żona, prawil kazania proboszcz, na wszystko Siekierzyński odpowiadał krótko i stanowczo: Dajcie mi pokój, jestem zdrow!

Tymczasem w oczach niszczał, słabł, sechł i, wszystko składając na narodową słabość, z której jednego z królów straciliśmy, utrzymywał, że lada dzień zdrow będzie jak ryba. W ostatku do łóżka się zwlec musiał i zakaszlał, pokazała się krew, posłano znowu po Vogelwiedera, który nawpół przemocą upuścił talerz krwi, obiecując sobie najlepsze skutki. Ale w tydzień skarbnikowicz nie wstawał i proboszcz dysponował go na śmierć.

Biedna żona klęczała z dzieckiem na rękę u łóżka, płakała i modliła się, a rozpacz jej była tak straszna, że Niemiec nawet krzywił się na jej widok. Tymczasem Wichuła zawsze we wrotach dziedzińca stał i śmiał się, witając proboszcza, przechodzącego z najstraszniejszymi wiadomościami o zdrowiu skarbnikowicza.

— A co, diabli go biorą, jam mówił.

— Dałbyś pokój, człowiecze! — rzekł ksiądz, — upamiętałbyś się, jak ci nie wstyd zajadłości twojej? Przynajmniej na łożu śmierci chrześcijanin nie przyjaciela widzieć nie powinien.

— Ej! księżuniu, i na katafalku jeszcze mu będę dojadł! — odparł zajadły sąsiad, — żonie i dzieciom nie daruję!

— Waćpan jesteś szatan! — zawołał uciekając pleban, zatkawszy sobie uszy.

— Gardzi on mną, niechże wie kim gardzi i ko-

go ma za gorszego od siebie! — wołał Wichuła — ja mu i po śmierci spokoju nie dam...

Gdy się zbliżyła uroczysta godzina pożegnania, skarbnikowicz nie pokazał po sobie zbytniego wzruszenia, uważano to i wprzód że do stoicyzmu czuł się obowiązany i często powtarzał historję zgonu heroicznego Jana-Sobiesława, który od Turków na pal wbity, żył dwa dni w mękach, kląc niewiernych. Gdy otaczający płakali, on się pocichu i spokojnie modlił.

Potem obrócił się do żony i rzekł poważnie:

— Nie płacz asindzka, Kunusiu, nie rozpadać się, Pan Bóg nad nami, nad wdową i sierotą, a takiego wielkiego imienia dziedzica za zasługi ojców nie opuści. O jedno cię proszę, nie daj mu się walać i pilnuj, by przyzwoite stanowi swemu prowadził życie. Zostawuję ci w puściznie lepiej niżeli wielkie dobra, bo imię piękne, starożytne, na którym się muszą w świecie poznać. Edukuj Tadeusza jak mu przystało, a niech zawczasu albo do wojskowości, albo do gospodarki się sposobi, w ostatku z lichem do palestry, bo i tam szlachta, choć żaden Siekierzyński jeszcze nie mecenasował... ale pilnuj, jejmość, by nasza siekiera w błoto nie wpadła...

Gdy to mówił a głos mu słabnął i proboszcz do modlitwy wzywał, uśmiechnął się łagodnie, powieki zmrużył i Bogu ducha oddał. Lament i płacz rozległ się po pustym dworku, bo powiadał pan Kornikowski, i żona do niego bardzo przywiązana była, i ludzie też kochali nieboszczyka serdecznie, poważając go i szanując. Ale wprędce potrzeba za-

jęcia się wszystkim nie dozwoliła pani skarbnikowiczowej rozpadać się i płakać, musiała nieboraczka, acz chora i niedomagająca, myśleć naprzód o pogrzebie stanowi nieboszczyka przyzwoitym, potem o losie dziecka i swoim.

Wichuła, jak się o śmierci z powszechnego krzyku dowiedział, plunął tylko ze złości, widząc jak go żałowano i zawołał:

— Macie po kim się rozdzierać! Zdechł, to mniej jednym psem na świecie, a teraz pogramy z jejmością i synaczkciem...

Ludzie co to słyszeli, zgrozą byli przejęci i z przestachem poglądali na rozbestwionego gniewem człowieka.

We dworze Siekierzynka, w chwili zgonu dziedzica taki był niedostatek, że gdyby nie proboszcz i nie stolnik nurski, pan Piotr Kornikowski, nie byłoby za co przyzwoicie zmarłego pochować. Ale bracia szlachta i dalecy powinowaci Siekierzyńskich, dowiedziawszy się od księdza o biedzie wdowy, podesłali czego było potrzeba pocichu, tak, że i księży sprowadzić i katafalk piękny postawić i trumnę obić było za co galonem i stypę jeszcze sprawić sutą. Pocieszyła się tem żona, a zwłaszcza frekwencją wielką ludu zewsząd przybyłego, który, jak mówił pan Kornikowski, okazałości niemałej dodawał; a Wichuła o mało się, patrząc na to, nie wściekł ze złości, bo pogrzeb był przepyszny, jakby jakiego magnata. A gdy kondukt przechodził mimo dworku sąsiada, swoim zwyczajem stał we wrotach Wichuła, w czapce, w koszuli tylko i bu-

tach, urągając jeszcze zwłokom, tak był niepowściągliwy a głośno, nie zważając na wdowę, krzyczał... — Bywaj zdrów, sąsiedzie! dobranoc! dobranoc!

Nikt tam na niego nie spojrzał nawet, ale dziwnym trafem wóz żałobny, o coś zawadziwszy, podskoczył przeciwko samym wrót, wieko trumny źle umocowane osunęło się na bok i biała trupia ręka nieboszczyka jakby na zgodę wyciągnęła się ku Wichule, który zbladł i cofnął się, mruczając.

Żona, która to z ganku widziała, przybiegła i gwałtem prawie pociągnęła z sobą do dworku męża, który zdawał się jakby obłąkany i przerażony i śmiejąc się ciągle, powtarzał: — Nie da mi pokoju i po śmierci! nie da mi pokoju!

W kilka dni doktor Vogelwieder jechał na burłanym stępaku do pana Wichuły, który już w gorączce bредить poczynął; zobaczył mu język, pomacał puls i rzekł chłodno... *Caput!*

Jakoż się nie omylił, bo w kilka dni już i ksiądz proboszcz był u łóżka chorego i w imię Chrystusa ukrzyżowanego zaklinał go, by wszystkim przebaczył i że wszystkimi się pojednał. Wichuła mruczał tylko: — jeszcze po śmierci mi urąga, jeszcze po śmierci mnie prześladuje! Nie daruję żonie, nie daruję dzieciom!

— Proś lepiej Pana Boga, żeby tobie darował! — odrzekł proboszcz, — a nie myśl o starych waśniach.

Bredząc coraz dziwniej, klnąc i złorzecząc, bezprzytomny ciągle prawie zły sąsiad, w tydzień po skarbnikowiczu, o tej samej godzinie co on, ducha wyzionał; a wszyscy to zapewniali i pan stolnik

nurski na swoje oczy widział, że w izbie, w której skonał, sufit się nad łóżkiem zawalił. Na pogrzebie Wichuły mało było osób i pomimo zamożności, gdy się jejmość ze stypą wysadziła, nie było jej komu jeść, a podwójnych galonów na trumnie nikt prawie nie widział.

Poczciwa wdowa po Siekierzyńskim, za namową księdza proboszcza, dla okazania że nie chowała w sercu żalu dla sąsiada i przebaczyła mu po chrześcijańsku, poszła za pogrzebem. Ale jak to czasem najlepsze uczynki ludzkie opacznie sobie tłumaczą, brat pana Wichuły, pan Protazy z Wierzbołowa, zawadja jak oni wszyscy, (bo rodem kurki czubate) wziął to za insultę, powiadał Kornikowski i poprząsiął, że się pomści. Napróżno pleban, który tę myśl poddał, tłumaczył i okazywał, że to w duchu chrześcijańskim uczynione było, pan Protazy uparty i żąarty zaklinał się, że chyba żyć nie będzie, jeśli nie pokaże Siekierzyńskim co Wichułowiczom znaczą.

Otóż tak drobna ta napozór okoliczność stała się powodem nieskończonych dla wdowy utrapień. Jużemy to mówili, bo wiemy dowodnie z ust stolnika, że pani Siekierzyńska pozostała w bardzo przykrych *post decessum* nieboszczyka interesach, a to tak dalece, że i raty podatkowej i procentów różnych i sumek rękodajnych zalegało na Siekierzyńsku więcej, niżeli wioseczka była warta. A tu nikogo krewnego bliższego nie było coby poratował, bo wdowa, która była aż z krakowskiego, z tamtych Pileckich co około Kielc się gnieźdzą

antiquitus i tu nie miała prawie familji. Gdy ksiądz proboszcz zawezwał stolnika nurskiego dla przepatrzenia dokumentów i ułożenia *statum* długów, procesów, włosy na głowie powstały Kornikowskiemu, wejrzawszy na nieszczęśliwy stan wdowy i sieroty. Cudem tylko Siekierzynek trzymał się przy rich, bo ich rugować mogli wierzycciele w jednej chwili. Co tu było radzić? Stolnik życzył układy, przewłokę i nadzieję w Bogu i przyszłości; ale wściekły brat nieboszczyka Wichuły, któremu podobno i wdowa zmarłego smakowała, że się do niej rad był przybliżyć, począł nabywać długi na Siekierzyńsku z zamiarem wypędzenia Siekierzyńskich. Nie było na to sposobu ani ratunku, a stolnik, opisując to, powiadał, że mu się łzy w oczach kręciły, gdy na nieszczęśliwą wdowę i sierotę, *tam magni nominis haeredis*, spojrział, w ucisku, nędzy i co chwila zagrożonych, że ich z pod zbutwiałego dachu, pod którym od lat dwóchset pokolenia przodków mieszkali, wypędzą. Uwijał się młodszy Wichuła, że w kilka miesięcy już Siekierzyńskiej nie pozostało, tylko go prosić o folgę.

Poszła do niego z proboszczem i dla dziecka nie wahała mu się do nóg rzucić a błagać o litość, ale nietylko on, ale wdowa wybiegła do niej z wyrzutami, że nieboszczyk był przyczyną śmierci jej męża, że całe życie im dojadali i że teraz przyszła kolej na nich... pójść z torbami. Powstała więc z niejaką dumą prosząca i poszła w milczeniu do pustego dworu, który opuścić miała i poczęła z wielką umysłu stałością ostatek fantów sprzedawać, aby

jaki grosz zebrać na drogę do Lublina, gdzie dawniej kupiony dla pilnowania procesu z Łędzkimi, mieli jeszcze drewniany dworek na Winiarach, w którym osiąść z dzieckiem myślała. Szlachta okoliczna choć uboga, sprzyjając Siekierzyńskim, pokupowała wszystko aż do łomu krzeseł i kanap, pustych skrzynek i ladajakich sepetów, tak że się z tego kilkaset złotych *insperate* zebrało. Ludzie wiejscy płakali, przychodzili do dworu póki mogli, kto z kurą, kto z jajami lub prosięciem i tak ich do ostatniego dnia żywili. A gdy w połamaną taradajkę siadła skarbnikowiczowa ze starą Dorotą i synkiem, zegnając stary dom, w którym lat kilkanaście przeżyła, który widział jej szczęście i niedolę, gdy za łzami dojrzeć nic nie mogąc, tuliła dziecko do siebie, płacz całej gromady Siekierzynka rozległ się po dziedzińcu i wieśniacy przeprowadzili ją aż do krzyża za wioskę. Tam jeszcze natkali jej co kto mógł do taradajki i długo stali, patrząc drogą na odjeżdżających, dopóki Wichuła młodszy bizunem ich rozpędzić nie kazał.

Jako jedyną pamiątkę przy gratach swoich, wiozła do Lublina skarbnikowiczowa owe drzewo genealogiczne i wszystkie portrety dziadów, jakie tylko zebrać mogła gdziekolwiek; podarte, popalone, bojąc się, by Wichułowcie nie urągali im jeszcze.

Potrzeba było widzieć z jak złośliwym triumfem Wichulina ze swojemi dziećmi i bratem mężowskim, po odjeździe wdowy, wpadła do pustego dworu; z jaką radością szatańską przechadzali się wszyscy po izbach smutnych i ciemnych, w których

długo rozlegało się ich stąpanie. Nigdzie żywego ducha. . pustka i ruina! Włóczyli się tak do nocy, szydząc i opatrując komnaty, przypominając co ucierpieli od Siekierzyńskich i pocieszając się zemstą nasyconą. Czyto zrządzeniem Bożem, czy złych ludzi sprawą, ledwie za próg wyszli ze starego dworu, domostwo, które jakby cudem dotąd się trzymało, runęło na ziemię. Było z tego wielkie badanie, podejrzenia różne, długie sądowe śledztwa, ale z nich nic się nie okazało; bo żadnego nawet dyla podpierającego oddawna dwór nie brakło, i nigdzie śladów ani podpiłowania ani podkopania nie było.

Wichułowcie, kazawszy potem rozebrać do szczętu rudere, zrobili w tym miejscu ogród i *dziką promenadę* dla swoich pańienek.

Jechała tedy Siekierzyńska, powoli się wlokąc do Lublina, w Panu Bogu pokładając utrzymania swego dalszego nadzieję; bo innego sposobu do życia nie miała, tylko pracę własną, a za całą majątność ów dworek na Winiarach. Droga była długa i smutna; wdowa, przywykła do siedzenia w domu i krótkich tylko przejażdżek w sąsiedztwo, obawiała się wszystkiego: rozbójników, wywrotu, burzy, żydów po karczmach, złodziejów, nocy... Dorota i stary Maciej, który powoził, a Andrzej co drugim wozem kierował, napróżno starali się ją uspokajać: sami także w obcej stronie często rady sobie dać nie umieli. Matce chodziło więcej jeszcze o dziecię, jak o siebie: zdawało jej się, że trzęsienie wózka, upał, niewygoda, zaszkodzić mu mogą;

a choć chłopak miał lat siedm i więcej się bawił podróżą niżeli męczył, wdowa upatrywała codzien coś zastraszającego, to w czerwoności jego policzków, to we śnie, którego potrzebował, to w nienaturalnej, jak mówiła, wesołości jego. Co chwila stawano, pakowano, przepakowywano, dobywano jadła, sukienek, zrywano mu kwiatki, przynoszono wody. Poczciwi ludzie, przywiązani do swojej pani, jak mogli i umieli dogadzali jej żądaniom, często najdziwniejszym. Stary Maciej, niegdy stangret, póki było czem powozić, później fornal, nie myślał już nawet powracać do Siekierzynka, choć tam braci i zgrzybiałą matkę zostawił. Czuł się w obowiązku służyć pani i paniczowi dopóki sił stanie, bo ich kochał jak rodzinę swoją. Był to jeden z tych ludzi, co się przywiązują do panów jak do rodziny i gotowiby im zapłacić, byleby od siebie nie odpędzili. Stary był poczciwy ale gdera wielki, tak że nieraz i nieboszczyka pozwalał sobie w żywe oczy nudzić i czynić mu wymówki, zresztą z najlepszego serca pochodzące. Skarbnikowicz z uśmiechem znosił starego sługi nauki, a wdowa zawsze je odplacała kielichem wódki i podwieczorkiem. Maciej był bardzo poważny, z dumą pielęgnował długi wąs szpakowaty, który trochę czernił i do góry podkręcał, czoło miał zmarszczone, twarz posępna, wejrzenie groźne, a ktoby go nie znał, wziąłby go za złego i popędliwego człowieka. Tymczasem nie było poczciwszej duszy a większego gaduły, i byle mu się dano wygderać, nagadać i nawyrzekać dowoli, więcej nie żądał. W braku ludzi

gadał głośno do swoich koni, a w ostatku sam do siebie, a nigdy inaczej jak spluwając i wymówki czyniąc surowe. Maciej miał jeszcze i tę wadę, że używanie tabaki i robienie jej uważał za wielki i ważny obowiązek, który szedł przed wszystkimi innemi; nie trzeba go było zaczepiać gdy tarł ją, ani lekceważyć gdy nią traktował. Pewien był bowiem, że jego sposób robienia tabaki przewyższa wszystkie znane zapachem, smakiem, kalibrem, kolorem i jeśli raczył zażyć cudzej, to tylko by się wzgardliwie nad nią uśmiechnąć, a swoją potem pocieszyć. Sławnego tego wiercenia cudownego proszku nauczył się był od bernardyna kwestarza i krył się z nim, jak z największym sekretem. Wszyscy słudzy w Siekierzynku szanowali go bardzo, a w drodze teraz całkiem rej wodził i z niezmierną powagą nieustannie coś pod nosem mruczając, wywijając batogiem, gadając do koni różnemi głosami, popędzał trzy chude szkapy, które biedną wdowę do Lublina dowieść miały.

Niekiedy odwracał się do swej pani z jaką perorą, lub dla zgromienia Doroty, na którą również jak na konie zły humor swój spędzał; a na wszystkie żale pani i dziecka ofiarował jako jedyny specyfik tabakę, którą i malego Tadeusza gotów był poczęstować.

— Spać się chce dziecku? a no niechby panicz spróbował bernardynki, to i sen odejdzie! — Jeść się chce? podawał różka, pić? różka; słowem na wszystko miał jedną odpowiedź: różek i tabakę. Ale nie dziw, bo Maciej tabakę uważał za lekar-

stwo od wszelkich chorób i dolegliwości; od febry dawał tabakę swoją w wódce, od bólu głowy tabakę, rany posypywał tabaką, słowem radził ją wszystkim i zawsze. Kilka razy w drodze na smutek i lzy wdowy podsuwał przez Dorotę różek swój, dając jej do zrozumienia, żeby go podała pani, a gdy się ta wzbraniała, ruszał ramionami i łajał.

Dorota ulubienica pani i piastunka Tadeuszka, równie szczęśliwie była wybrana za towarzyszkę wygnania i nędzy, bo serca pocziwszego nad jej, trudno było znaleźć; żyła wychowancem swoim, nad którego nie wiem czyby własne dziecię lepiej kochać mogła. Była-to już niemłoda, silna i barczysta kobieta, pospolitych rysów twarzy, jasnego włosa, poszpecona bardzo od ospy, rumiana, żywa, gadatliwa i pracowita. Jak Maciej chmurne miał oblicze, tak Dorota wesołe i jasne, a humoru jej nic zmienić nie mogło na długo. Zasepiła się, zapłakała, otarła oczy, biegła do roboty i śpiewała. Żywiołem jej była praca: nigdy nie próżnowała chwili i w drodze nawet plątała pończochę, choć nad tem niezwykłym zatrudnieniem często zadrze mała, wołała inne zajęcie ruchliwe i cięższe. W domu ona była wszystkiem: kucharką, służącą, klucznicą, piastunką Tadeuszka, ogrodnikiem i nie wiem czem jeszcze, a zawsze utyskiwała, że nie ma co robić. Widziałeś ją wszędzie, co chwili na lamusie, w piwnicy, w pokoju brzękały jej klucze i głos rażny a wesoły dawał się słyszeć; zjawiała się w kuchni, leciała do ogrodu, często i w pole poszła jeszcze zobaczyć jak tam robotników pilnują

i powstydzic próżniaków. Z panem Maciejem, jakkolwiek wzajemnie się cenić umieli, wojowali nieustannie. Dorota wymiawała mu, że wszystek czas trawi na pasemkowaniu tytoniu, suszeniu liści i wierceniu tabaki; on ją zwał wszędobylską; ale gdzie chodziło o rzecz państwa, godzili się doskonale.

Taki był dwór biednej wdowy dobrowolnie towarzyszący jej w podróży. Konie, stary szpak dyszlowy, gniada zwana płocką i kasztanka znacznie mniejsza od poprzedzających, pięć lat w szóstym na przyprzążce, w szlejach krakowskich jako-tako poreperowanych, wiozły taradajkę żółtą; Andrzej, chłop z Siekierzynka, mający powrócić z Lublina, popędzał wóz zawierający parę kuferków, kilka portretów familijnych, zabawki Tadeuszka, krup trochę, masła, mąki i grochu w węzełkach. Na wierzchołku misternie ułożonego pakunku, w klatce wiozła Dorota pięć kur faworyt swoich i żółtego koguta. Taradajka i wóz posuwały się niezmiernie wolno, tak, że ledwie którego dnia pięć mil ujechać mogli. Maciej z wielką powagą i uwagą zażywał swoich koni więcej głosem i morałami, niż batogiem je popędzając...—Wstydzilibys się, stary! ej! stary! myślisz, że ja nie widzę,—przemawiał, dobywając różka powoli — będzie batóg w robocie! Dyszel na ciebie idzie! A naści za twoje! ha! widzisz że nie ślepy! Ej! mała, wiu! wiu! mała! wyciągaj! Płocka uczciwa klacz, jaka szczerza, czemu się na nią nie zapatrujesz, sama wózek ciągnie!...

Tak perorując, zakładał bat i lejce pod pachę lub pod nogę a sam brał się do tabaki, niekiedy

zpodełba poglądając na konie; ie tak już były przywykły zwalniać biegu jak tylko różka dobył, że regularnie przystawały, ale zaledwie schował w kieszeń tabakę, uprzedzając admonicję, klusować zaczynały znowu. Po zażyciu, rozweselony, odwracał się do Doroty i jeżeli ją zobaczył śpiącą, zawsze jej poddać musiał tabaki; jeśli nie spała, gderał na nią niewiedząc czego. Dorota śmiała się wesoło i podjudzała go jeszcze w nadziei, że to panią rozweseli. Ale wdowa milcząca i pogrążona w myślach jechała, patrząc tylko na dziecię i o niem tylko myśląc. Przed każdą karczemką zastanawiali się, to wytchnąć, to pić, to dziecku coś dobyć, to koniętom spocząć, to poprawić koło ciągle psującej się uprzęży. Trwała w ten sposób podróż kilka tygodni, aż nareszcie o mroku wieczornym, Maciej biczyskiem coś wskazał wychylającego się z za pagórków... był to Lublin...

Wdowa przeżegnała się, serce jej uderzyło, złożyła ręce, poczęła się modlić, drżąc cała, a Tadeuszek wylazł na kolana Doroty, by się lepiej wielkiemu miastu przypatrzeć.

Maciej, który bywał w Lublinie, wskazywał wieże kościołów, bramy, nazywał ulice i przedmieścia.

Wszystkim prócz Macieja usta zamknął przestrach, i to uczucie dziwne, które zawsze wstrząsa człowiekiem, gdy się ku miejscu swych ostatnich zbliża nadziei... tyle razy zwiedziony, jakże się nie ma obawiać! Wdowa modliła się, dziecię podziwiał, Dorota zadumała, a stary stangret gderał to na swoich, to na konie, które żywiej teraz zacinał...

Siekierzyńska, co nigdy w większym mieście nie była, na widok rozległych domostw, szeroko rozpiętych a ściętnionych, na odgłos szumu i gwaru, uczuła bojaźń jakąś, chciałaby się była powrócić, żal jej było, że nie pozostała na wsi.

— Jak tu sobie dać radę! — myślała z płaczem, — wśród tego tłumu nieznajomych, nieprzyjaznych, obojętnych! o Boże! prowadź mnie! — I przycisnęła dziecinę do siebie, jakby jej co zagrażało.

Maciej tymczasem na Winiarach szukał daszku dworku Siekierzyńskich, bo go chciał wcześniej pokazać.

— Ot, ot! — zawołał, — ot ten, co to między domem, gdzie się z komina kurzy na lewo, a temi drzewami, widzi jejmość, gdzie dwa białe słupki.. Oto nasz dworek! widzi jejmość? nie, nie! w prawo! trzeci... tak! tak!... nie opuszczaj się płocka!... a może niedowidzę!... Zresztą to się pokaże, gdy tylko pojedziemy. A nu razem, dzieci! — I smagnął po koniach.

— Powoli, proszę cię, powoli — odezwała się wdowa.

— E! co to darmo aprendować — rzekł woźnica — czy powoli czy prędzej, dojechać trzeba, a jak zmierzchnie w ulicach, jeszcze co z wozu od tego gapia Andrzeja skradną. Trzeba ruszać i po wszystkim, prawda Doroto?

— Jedź-no, jedź, nie gadaj! — szepnęła służa, pogładając na panią.

— Czemu nie gadaj? — rzekł Maciej — hę? cóż to, myślisz mi gębę zamknąć, żebyś tylko sama mełła

językiem? czemu nie gadaj? owszem, gadać będę. Otóż masz, jest nasz dworek, ot ten, co to go wi-
dać, jakby wyglądał z-za parkanu wylazłszy trochę,
dwa okna z jednej, dwa okna z drugiej strony,
a studeńka... Masz tobie, u nas bo niema studni!
omyliłem się... wiul! płocka! szpak wyciąga! Andrzej,
nie zostawaj! słysz! a jak wjedziemy do miasta,
pilnuj fury ztyłu, żeby cię nie okradli, bo broń
Boże szkody, jak mi Bóg miły, sam ci wlepię...

Koło uderzyło o kamień, a Maciej począł kłać
kamienie.

— Oj to lud! to lud! a nie zdjąłby to kto z dro-
gi kamienia! nie! jada, kła psują, a nikt nie odtoc-
zył! hultaje! próżniak!

— A czemuż ty tego nie zrobisz?

— Albo to ja tutejszy?—odparł Maciej—jak wa-
sannie pstro w głowie, co to do mnie należy? Ale
ja zdawna znam lubelczyków, o! próżniak! próż-
niaki...

I jechał dalej aż się do bram zbliżyli, i krętą
uliczką na Winiary zawrócił Maciej.

Wdowa, wpośród ciżby żydowstwa i gwaru miej-
skiego, zupełnie straciła głowę, spuściła oczy, objęła
dziecię ciekawie poglądające na wszystkie strony
i zdała się na sługi z wyszukaniem dworku, do któ-
rego wprost zajechać mieli. Maciej podniósł się
z siedzenia i począł pomiędzy brykami, furami,
piechotnymi, straganami i ławkami przekupniów wy-
wijać z niepospolitą zręcznością, odzywając się gło-
sem i batem, polegając na swej pamięci, że do
dworku trafi. Ale niestety! lat pięć jak nie był

w Lublinie, zmrok nie pozwalał uliczek rozpoznać i wkrótce wjechali tak na ogromne urwiste śmieszko, że dalej nie było już gdzie ruszyć.

— Otóż jest! zbłądziłem! oczywiście zbłądziłem! no! potrzeba będzie zawrócić. Nigdy się tego nie spodziewałem. Ale musimy być niedaleko dworku, tylko że omijając tego żyda wisielca, wziąłem się bardzo w prawo.

Nie było sposobu inaczej zawrócić, aż cofnąwszy wózek, co nawet z pomocą Andrzeja niełatwo przyszło, tymczasem żydzi otoczyli przyjezdnych, a Maciej skorzystał z tego, wypytując o dworek Siekierzyńskich. Ale nikt o nim nie wiedział; pojechali więc nazad, pobłądzili znowu, i stangret w ostatek, dawszy lejce Dorocie, a Andrzejowi przykazując wozu i taradajki pilnować, poszedł na zwiady.

Mrok tymczasem zapadł, a w ciasnych uliczkach, pełnych żydowstwa i hałastu, wdowa z obawą pozostać musiała. Jaki taki przechodzień zastanawiał się, zbliżał i podróżnym przyglądał; Maciej tymczasem, poszedłszy, jak w wodę wpadł... W początku słyhać było nieopodal jego gderanie na żydów, których łajał, że w Lublinie mieszkają, o dworku Siekierzyńskich nie wiedzieli; potem ucichło zupełnie, noc czarna zawisła nad głowami zablakanych, w ulicy zrobiło się pusto, i konie, łby powieszawszy, drzemały stojąc, wdowa modliła się, a Tadeuszek ziewał i jeść prosił.

Macieja nie było i nie było... chciała Dorota posłać za nim Andrzeja, żeby tymczasem choć do gospody jakiej zajechać, póki by swojego dworku

nie wyszukali; ale któż go wie, gdzie się podział? Potrzeba było stać cierpliwie i czekać.

Dobra tak upłynęła godzina, zegar wieżowy w oddaleniu wybił dziewiątą i okna domków jedno po drugich oświecały się, zwiększając ciemność w ulicy. Siekierzyńska płakała. Tadeuszek drzemać zaczynał, a Dorota klęła Macieja.

Naostatek chód zdaleka dał się słyszeć i hukanie jak w lesie, Andrzej na nie donośnym głosem odpowiedział, aż mieszkańcy dworków zdumieni, głowy do okien poschylali, i Maciej ukazał się przed koźmi, klnąc na czem stał świat.

— Al! to ludzie, żeby ich pioruny jasne! bestje! niegodziwcy! łajdaki! jakto, żeby nie wiedzieć o dworku Siekierzyńskich. Jeszcze głupi, kiedy go częstują tabaką, on mi powiada, że nie zażywał osły powiadam!

— Ale znalazł-żeś dworek?

— Idź-no sprobój, poszukaj sama! wszędobylska!

— No to zajedźmy do gospody jakiej tymczasem, mały chce jeść, pani płacze.

— A któż ci mówi, że dworku nie znalazłem, długowłosa i wszędobylska? — rzekł stangret.

— No to jedźmyż prędzej.

— Tak! tobie tylko wiul i jedź! a kiedy ci powierzyłem lejce, toś nie uważała, że gniada wzięła je pod ogon, kasztanowata zastąpiła, a szpak się wykielznał! Otoż co to kobiecie dawać lejce, to tak jak tabakę na ziemię sypać.

— Maciej! jedź, proszę cię! — rzekła cicho wdowa.

— Zaraz jasnie pani, tylko poładnuję, zaraz; stąd do naszego dworu niedaleko, znalazłem i dobrze rozpytałem. Nie poznałem go, bo teraz pobielony *de novo*.—To mówiąc wszedł na kozioł i wiu-
knął na konie. — Andrzej! pilnuj woza jak oka we łbie.

Przez dwie uliczki przeciągnawszy, Maciej zawrócił wreszcie do wrót otwartych, których jedna połowa wisiała oderwana i stanął w dziedzińcyku zawalonym kłodami, przed domkiem, którego dwa okna były oświecone a dwa ciemne. Posłyszawszy turkot i wołanie, mieszkańcy dworku wyskoczyli na ganek i otyła jejmość w białym czepku, z ma-
leńką dziewczynką, ukazała się we drzwiach, ciekawie przypatrując przybyłym.

— Wszak to dworek Siekierzyńskich? — spytał Maciej zwycięsko.

— A to! a to! — odparła otyła kobieta, ucierając usta zatłuszczone wieczerzą — a co chcecie?

— Co! jak się jejmości zdaje?—rzekł woźnica—
co może chcieć gospodarz w domu?

— Alboż co? któż tu gospodarz?

— A my, jejmościuniu, bo to nasz dworek, nasza pani przyjeżdża sobie ze wsi odpocząć do miasta...

Gdy to mówił, już Dorota wysiadła i wdowa z dzieckiem dobyteła się z taradajki, a otyła kobieta zdawała się jeszcze nie rozumieć o co tu chodziło.

— Przeciwna strona powinna być niezajęta — rzekła cicho Dorota—dawaj nam jejmość klucze...

— To prawda, że niezajęta — skrobiąc się w głowę zawołała krzykliwie kobieta — ale tam moje

graty. — To mówiąc, pobiegła na lewo, pochwyciła świecę w mosiężnym lichtarzyku i, świecąc, poczęła szybko do siebie zapraszać. — Niechajno państwo będą łaskawi do mnie, a ja tam tymczasem poprzątnę; bo to, widzi pani, stały pustką izby, to się w nich to i owo rzuciło, a znowu, że puhacz okno wytłukł, to ścierką zatknięte, i piec się powalił, a co podłoga, to tak pogniła była naprzeciwko, że ją musiałam powyrywać.

Maciej, który zląwszy z kozła słuchał tego i wassa kręcił, chwycił się za głowę. — To to tak pilnujcie dworku! — rzekł groźnie — płacicie komorne małe za to, żebyście doglądali tych dwóch izdebek, a tu zrobiliście ruderę! poczekajcież!

Tłusta kobieta zalekła się i poczęła żywo odpowiadać:

— A cóż się tam stało waszym izbom, a co ja temu winna? co to ja tu stróżować wam będę! domisko ledwie się nie wali, ja go jeszcze co roku to podpieram, to ważę, to bielę, to reperuję... co to ja winna? niechaj jejmość idzie tymczasem do mnie, a to się połata potem.

— Otóż nie! wy sobie ruszajcie na pustą stronę sami z dziećmi — zawołał Maciej — a jejmość zajmie wasze mieszkanie.

— O! zapewne, jakby to łatwo z dziećmi i z gralami na rozkazanie się wyprowadzić w mig... Niech jejmość idzie do mnie, a jutro poładujemy się jakoś.

Nie było co robić, musiano przejść do przekupki, której odarte dzieci, powytrzeszczawszy oczy, z kątów poglądały ciekawie na przyjezdnych.

Maciej tymczasem poważnie zaświeciwszy łojówkę, poszedł na przeciwek oglądać pokoje pańskie. Ale jakże je znalazł! Okna były powybijane, podłogi powyrywane, ściany wilgocią przesiękle i pleśnią porośłe, z sufitu ciekło, piec leżał w gruzach, a po suchych kątach spoczywały worki różne, węzłki i sprzęty. W drugiej izbie zrobiła sobie przekupka spiżarnię, a w trzeciej trzymała świnię i kury.

Napróżno starała się uniewinnić, gdyż Siekierzyńska jej nie słuchała. Dorota zajęta była dzieckiem, a Maciej, powróciwszy, prawil zajadle kazanie, zażywszy tabakę i zapomniawszy zupełnie o koniach.

Nazajutrz musiano sprowadzić majstrów, kryć, bielić, murować, łątać i wyporządzać, a przekupka poczęła łajac i klnąc, wynosić się do sąsiadki. Dworek Siekierzyńskich stał na wysokim pagórku gliniastym; otaczał go ogródek niewielki i podwórko szczupłe; było to domostwo stare o jednym kominie, pięciu izbach i sionce. Wdowa zamieszkała zaraz stronę porządniejszą, a tymczasem staraniem Macieja, który doskonałym był dozorcą robotników, wyporządzano przeciwek, poprawiono dach, kładziono podłogi i zatykano ściany. Pomimo wielkiej ceny, jaką przywiązywał stangret do szkap swoich, musiała je wdowa sprzedać zaraz, ażeby nie utrzymywać ich w mieście, co nie przyszło łatwo, bo prócz kasztanki, reszta była stara, mało za nie dawali, a Maciej nie chciał się pozbywać, chyba za dobre pieniądze. Nareszcie gdy się z niemi rozstać przyszło, wyłajał wszystkich i dwa dni nad

tem lamentował, a żydowi, co kupił konie, dobrze pejsów natargał... Z pieniędzy, zebranych na wyjeździe z Siekierzynka, na pierwsze zagospodarowanie w mieście, część zaraz oderwać się musiała, a co weszło ze sprzedaży koni, taradajki lichej i rupieci mniej potrzebnych poszło na sprawienie sprzętów gospodarskich, nad których drogością podziwiała się Dorota. Inna bo to rzecz u nas, na wsi, zawołać bednarza lub cieślę i kazać mu skleić co potrzeba, inna w mieście kupić, gdzie i robota cenniejsza i drzewo się rachuje i przekupień zarobić musi...

Kilkaset złotych było całkowitym zapasem wdowy; ale Dorota, przemyślając nad tem z czego żyć będą, obejrzała zaraz ogródek i z drogości warzywa wnosząc, obrachowała, że pielęgnowanie grządek i sprzedaż jarzyn ogrodowych może im być wielką do życia pomocą. Maciej, który w przywiązaniu i chęci wspomżenia biednej pani nie ustępował Dorocie, wynalazł sobie za stajenką kawał grzędy wygnojonej dobrze i obrał ją na tytuń, postanawiając założyć fabrykę tabaki i spodziewając się na nią wielkiego pokupu, byle tylko jej skosztowano.

Sama Siekierzyńska ani myślała o zarobieniu na życie własnymi siłami, tak jej się to zdawało i niepodobnem i niestosownem; dumiała tylko o wychowaniu i przyszłości dziecięcia. Wyobrażenia jej o wielkości rodu Siekierzyńskich i o obowiązkach szlachectwa tak były dziwaczne i przesadzone, jak nieboszczyka męża, od którego je miała. Na łożu

śmierci jeszcze jej powtarzał tyle razy, żeby syna stosownie do stanu wychowywała; tak często wprzód okazywał wzdargę najwyższą dla zatrudnień *nie-szlachetnych* (nazywał w ten sposób rzemiosła i kupiectwo), że wdowie ani na myśl nie przyszło samej pracować, lub syna do pracy ręcznej usposabiać. Jakkolwiek wielkie było ubóstwo ich, a groźniejsza jeszcze od terażniejszości przyszłość, Siekierzyńska wyobrażała sobie, że łatwo Tadeuszka gdzieś umieścić na pańskim dworze, w wojsku, lub zresztą u mecenasa... Wprędce jednak wyrzec się przyszło tych dla niego nadziei, bo biedny dzieciak był słabowity i delikatny, mały i drobny, wcale nie na żołnierza, a zająkliwa mowa oć 'a-łała go od palestry. Jednakże serce matki długo, długo na zniszczenie nadziei tych pozwolić nie chciało: spodziewała się, że sił nabierze, wyrośnie i mowa mu się poprawi...

Poczęło się życie od dnia do dnia, ciężkie, pełne frasunków o jutro, niedostatkiem nieustannie zagrożone, całe na przemyśle dwojga pocziwych sług wyścigających się, by pracą zaspokoić tak potrzeby pani, iżby o nich nie wiedziała. Na zapytanie odpowiadano jej, że dochód z ogródka i zapasy domowe wystarczają. Ale jakich-że to potrzeba było serc i poświęcenia, żeby w nieznanem miejscu, ludziom z miastem nieobytym dać sobie radę, nie zrażając się niepowodzeniem, współzawodnictwem, przeszkodami tysiacyznymi.

Maciej, nim w ogródku doczekał tytuniu, począł go kupować na rynku, doskonale umiejąc zro-

bić wybór, i zasiadł w sieniach do fabrykacji swego proszku na większą niż kiedykolwiek skalę. Osnuł on, że byleby z tabaką, którą miał Maciejówką nazwać, dał się poznać lubownikom miejskim, znajdzie pokup, a zyskiem miał już nawet przyzbierać sobie kapitałik dla pani... W początku zdawało się to bardzo proste i łatwe, ale poszedłszy po mieście, przekonał się, że sprzedawano mnóstwo różnych rodzajów tabaki po bardzo niskiej cenie; wprawdzie, zdaniem Macieja, jego szczypta więcej była warta niż funt tamtej, wprawdzie w każdej z nich upatrzył szkło tłuczone, popiół, drobno krajaną szczecinę i tym podobne, zgubne dla nosa ingredjencje, ale niemniej konkurencja była wielka — niełatwo dać się poznać.

Dobre rozumienie o sobie nie dozwoliło mu się zrazić: zasiadł tedy wiercić tabakę w olbrzymiej makutrze na stanowisku, które miało tę dogodność, że z przechodzącą Dorotą mógł się kłócić nieustannie. W przestankach zabawiał się monologami, apostrofami do tytoniu i tabaki, rozmową z samym sobą, którą lubił i w korzyść własną obracać umiał. Tak naprzykład zrana wstawszy i zasiadłszy nad makutrą, witał się wesołem: — Dzień dobry, panie Maciejul! Dzień dobry waszeci. — A co waścina tabaka? Trze się dobrodzieju! — Trzyj, trzyj, byle było komu niuchać. — O to nie turbacja, byle skosztowali. — A jak to waćpan dziś zaspał? — Zaspał! zaspał! albo i nie zaspał... co to gadać zaspał! — A nie pomodliłbyś się waćpan? — Zmówilem pacierz i należałoby się śniadanie, ale

z tą wszędobylską Dorotą dojdź-że sprawiedliwości! u niej jeszcze w piecu zimno, u niej rano, a szła mimo, to mi wymawiała, że ja długo śpię. To tak jak w Siekierzynku bywało... E! e! gadu, gadu, a waćpan tabaki nie trzesz! — Ej, liściu, kochanku, nie wykręcaj się, pójdz na dno, to nie pomoże, muszę cię zetrzeć. — Wichuło ty jakiś! a! otóż masz... i t. p.

Dorota ze swojej strony rozpoznawszy na czem zawisł handel przekupki, która wprzód zajmowała połowę dworku, nic nie mówiąc pani, postarała się o ławkę, nakupiła towaru i choć na nią gderano, że się po mieście wałęsała, po kilka godzin w czasie targu spędzała na sprzedaży wiktuałów. Grosz, jaki z tego wpłynął, szedł na potrzeby domu, lub przynajmniej na pierwsze kuchenne zapasy, które nie kosztowały, bo przychodziły w zysku.

Maciej z trudnością wsławić potrafił swoją tabakę, ale że był *oſe facundus*, jak powiadał Kornikowski, że umiał swój towar i siebie chwalić, że słyszał, jak jego tabaka sławna była na całe Mazowsze, znaleźli się, co temu uwierzyli i poczęli próbować Maciejówki. Wmówił im zaraz stary woźnica, że się podobala i choć niewiele zyskiwał, przecie darmo chleba nie jadł a złote góry obiecywał sobie w przyszłości.

Lubił bo stary marzyć! lubił. — Bywało jak się gdzie z makutrą, zdaje się, że wałkiem miotając i myśli wzrusza, i prawi sobie bajki jak małe dziecko...

— Jedzie mosanie pan wojewoda, sześciokonna

kolasa, za nim dwór, gwałt... śliczności, jada, jada, a tabaki w domu zapomnieli; a tu pana wojewody nos na czczo, aż się skurczył. — A! kto żyw, kto w Boga wierzy, niuch tabaki! — Podsuwa się ktoś i otwiera tabakierkę. Wojewoda wziął, pociągnął, pokosztował. — A! a! cóż to za tabaka! a to rozkosz, delicje! skąd to ją, waćpan, masz? — Od Macieja, Maciejówka! — Szukajcie, wołajcie! — Maciej idzie i tylko wąsa kręci; naści, panie wojewodo. — A on mu garść złota... Aż tu i król dowiaduje się o Maciejówce i każe ją sobie sprowadzać, pieniądze się sypią, a ja paniczowi kupuję Siekierzynek i na starość zajmuję sobie izbę na przeciwku... I będę tu tabakę tarł, bo musi tabakę zażywać, chybaby Bóg nie łaskaw!! na oczy i na umorów odciągnięcie, niema jak to! Furda wszelkie leki!

Tak to stary Maciej marzył, wierząc...

A w pokoiku siedziała spokojnie wdowa z synaczkiem. Rano pójdzie z nim do kościoła, bo miała go w co porządnie ubrać, choć sama nosiła się ubogo, jakby jego sługa; w dzień to go uczy czytać katechizmu, wieczorem na przechadzkę z Dorotą lub Maciejem, a gdy mrok, to dziecko siada na stołeczku, a jejmość mu prawi dzieje Siekierzyńskich i pokazuje na portrety i na owe drzewo i mówi, mówi, aż póki wieczerzy nie dadzą, a dziecko się nie zdrzemie.

Tak zawczasu karmiła w nim dumę szlachecką, powtarzając, co niegdy z takim zapalem opowiadał skarbnikowicz, wpajała w niego uczucie osobistej godności do najwyższego stopnia podnieco

ne. Wedle biednej wdowy, nie było rodziny zacniejszej w Polsce, nie było wysokiego stanowiska i urzędu, jakichby Siekierzyński zająć nie był godzien. Po młodej główce kręcili się już hetmani, wojewodowie, kasztelani i poważne starych portretów postaci śniły mu się nieraz, iż go biorą za rączkę i wiodą do jakichś jasnych gmachów i sadzą wysoko, i obsypują złotem i czcią...

Marzyło się ubogiej dziecinie, że już ubóstwo i ponizenie nie może być trwałe, że to tylko jakaś próba, że musi jakiś wypadek, jakiś trąf szczęśliwy wywieść ją z tego stanu... i budziła się, dziwując, że dzień po dniu szły jednostajne, że nikt nie przychodził, nic nie przerywało ciszy smutnej, osamotnienia i niedostatków. Przyczyniała się matka do tych marzeń, często wspominając o procesie z Łędkimi, który choć popierać przestali, bo nie było o czym, zawsze to była jakaś złota gwiazdka nad głową jej syna... A synek rósł, rósł, pobożny, cichy, dobry, ale tak pewny, że jest przebrany królewiczem, jakby nim był w istocie.

I wieczorami lubił, usiadłszy u kolan matki, zasłuchiwać się o Siekierzyńskich, o ich bojach, o mądrościach ogromnych, o łaskach u królów, o zachowaniu u szlachty, o bogactwach, męstwie, znaczeniu — myśląc sobie: — I ja takim będę!

Maciej ze swojej strony i Dorota, nabrawszy się tych powiastek, które w Siekierzynku od niepamiętnych czasów za pokarm wszystkim służyły i przeszły w podania ludu, w zawody nabijali głowę malcowi wielkością jego rodu. A pocziwy stol-

nik nurski, pan Piotr Kornikowski, *quondam amicus* nieboszczyka skarbnikowicza, często gęsto wynajdując sobie powód zaglądania do Lublina, po tygodniu i więcej bawił u pani Siekierzyńskiej i niemało też przyczynił się do wpojenia w młodego pamięci wysokiego pochodzenia jego familji.

Niestety! cały świat był już o tem doskonale zapomniał, i owe siekiery na grobowych starych płytach z XI i XII wieku, po Łysej górze, Tyńcu, Miechowie rozsypane, dawno starte zostały nogami pobożnych pielgrzymów lub obrócone na drugą stronę, służyły za schody domostw, za stopnie ołtarzy. Nie było śladu wielkości Siekierzyńskich, a i wiek, kiedy się to działo, nie sprzyjał wcale dumie szlacheckiej. Nie pytano już kto go rodził, ale kto wiele wniósł, ani kto jak stary szlachcic, ale ile miał wiosek, a śmielsi utrzymywali, że tak dobry wieśniak, co skibę w pocie czoła odwracał, jak szlachcić, co do góry brzuchem leżąc, burzliwych czekał sejmików, by się na nich popisywać ze swojemi prawami; najzuchwalsi zaś wieśniaka nawet nad szlachetkę przekładali. Pan stolnik nurski mocno na te nowostki ramionami ruszał i przepowiadał z tego wszystkiego ruinę i nieszczęścia niepoliczzone...

Sama pani Siekierzyńska ani pojmowała nawet, by te zuchwałe pomysły w szlacheckim narodzie przyjęcie znaleźć mogły, i była najpewniejsza, że byleby się świat o Siekierzyńskim dowiedział, wszyscy sobie najwyżej cenić będą koligację z takim domem i zaszczyt podźwignienia go z upadku.

Tadeuszek miał wszystkie rodowe rysy swych dziadów, a pan Kornikowski szczególniejszemu znajdował w nim podobieństwo do kasztelana nakielskiego Zbigniewa-Subisława Siekierzyńskiego, którego portret dobrze zachowany przejechał z Siekierzynka do Lublina. Mały, zręczny, delikatny, biały i różowy, oko miał niebieskie pełne, pięknie powieką spuścistą pokryte, uśmiech wdzięczny a pański, postawę zręczną, głos dźwięczny, ale cokolwiek się zająkował, mówiąc, w czym matka, jako matka, nie upatrując wady (którażby je w dziecięciu zobaczyć mogła?), widziała tylko przyjemną szczególność. Niezbyt żywy i roztrzepany, wcześniej myśleć począł Tadeuszek, a z pytań jego widać było, że duma głęboko i że swe położenie rozumie. Hojny do rozrzutności, gotów był żebrakowi oddać sukienkę ostatnią, litował się do łez nad nędzarzem, ale różnicę stanów tak już dobrze pojmował, że od dzieci mieszczańskich, które go do zabawy zaczepiały, uciekał jak od ognia. W domu on był raczej panem niż matką, wszystko mu posługiwało, słuchali skinienia wszyscy, a wola Tadeuszka była rozkazem.

Tak lata płynęły, a prócz tego co u księży jezuitów nauczyć się mógł sprytny dzieciak, jeszcze z litości a może z jakiej rachuby, ojciec Ksawery, nauczyciel poetyki, przychodził często na stację powtarzać mu lekcje i zabawiać się z nim. Matka pierwsza postrzegła, że ojcowie zdawali się namawiać jej syna do zakonu i póty się nie uspokoiła, aż Tadeuszek oświadczył, że do stanu duchownego

najmniejszego nie czuje powołania i nakłonić się nie da do nowicjatu! Do czegoż Tadeuszek miał powołanie? spytacie, nie wiem prawdziwie, bo i nie do wojskowosci, nie mając potemu ani siły, ani charakteru; i nie do palestry, bo się zawsze zająkiwał, a tam potrzeba lekkiego języka i wyparzonej gęby. — Tadeuszkowi chciało się być panem, w ostatku z biedy zamożnym szlachcicem, dziedzicem wioski, obywatelem, urzędnikiem. Ale do tego jak było daleko! Na życie ledwie wystarczał przemysł Doroty i pocziwego Macieja, a i tak często obchodzić się musiano oszczędnie z okrasą i zmyślać wigilje dla niedostatku mięsa. Wielkie rachuby Macieja na tabace zupełnie się nie powiodły, tarł ją zawsze wprawdzie, ale największą jej prowizją stolnik nurski zakupował, a w mieście kilku tylko kupców nosy do niej przyzwyczaili znajdując, że była za tęga wszelako. Lepiej trochę udawało się Dorocie, ale ona tak ciągle stawiała się potrzebniejszą coraz słabszej pani Siekierzyńskiej, że jej odstąpić trudno było; handel zaś cały na niej polegał, bo się wyręczyć kim nie miała. Zastępował ją czasami Maciej, tyle wszakże gadał i łajał, a tak wszystkim tabacznikom i nietabacznikom zalecał swoją tabakę, tak ich przytem na gawędzie długo trzymał, że tem odstręczał. Kiedy mu to Dorota wymawiała, niesłychanie się gniewał i odchodząc, za każdym razem zaklinał się, że go więcej nie zwabi w pomoc; a nazajutrz dawał się przebłagać.

Między starymi sługami panowała wieczna wojna słów; Dorota śniała się; Maciej gderał, ona mu

odpowiadała obficie, on w ostatku, gdy słuchać nie chciała, pocieszał się nieskończonemi monologami, obróconemi jakoby ku niej, chociaż dawno jej nie było. Wieczorem potem, przypominając sobie wymowne poranka słowa, Maciej mówił swej towarzyszce: Czego to wasanna uciekłaś? ha? trzeba było słuchać, com ci potem odpowiedział, byłabyś języka w gębie zapomniiała.

— Nie miałabym co do roboty! — I służąca pracowita śmiejąc się, uchodziła, zostawując Macieja przy garnuszkach, których choć kłął, musiał pilnować, bo w nich była nadzieja wieczery.

Tadeuszek chodził trochę do szkoły, resztę czasu spędzał w domu przy matce, a wdowa, troskając się o jego przyszłość coraz bardziej, powierzyła wreszcie stolnikowi nurskiemu ostateczne rozwiązanie się ze spadkobiercami Łędzkich o proces z którego jakikolwiek fundusik uratować miała nadzieję. Jako przyjaciel skarbnikowicza, stolnik nurski nie bez pewnej dumy, że tak ważna sprawa nim leżała, wybrał się z papierami, poradziwszy się adwokatów i mecenasów lubelskich, do panów Zarzeckich, na których głowy przelał się spadek i pretensje. Podróż trwała kilka tygodni, a wdowa codziennie chodziła do Dominikanów modlić się na intencję pomyślnego skutku tego kroku, pościła nowennę odprawując i niekiedy, nic nie wiedząc o ostatniej próbie układów z Zarzeckimi, kołysała się marzeniem, że cokolwiek dla syna odzyska. Ale sprawa dawnością i ogromem narosłych pretensyj śmieszną się stała, wygrać ją było niepododa-

bieństwem, przytem stolnik nurski, jakkolwiek mocno zagrzewała go przyjaźń, nie miał zdolności do traktacji, ani wymowy potrzebnej, ani przebiegłości. Nadto był prawy i szczery i zrazu okazał, jak klienci jego są ubodzy i nie w możności popierania sprawy; to doreszty Zarzeckich uspokoiło, i z początku obróciwszy w śmiech rzecz całą, skończyli na ofiarowaniu trzech tysięcy złotych, prawie jak jałmużnę... Stolnik oburzył się i odrzucił, nie wiedział nawet, jak o tem pani Siekierzyńskiej powiedzieć, przyciśniony pytaniami wyznał w ostatku, co go spotkało i z westchnieniem usiadł jak delikwent w kątku, czując, że się źle sprawił. Długo płakała wdowa, pytała o radę, lecz gdy wszyscy mówili jej zgodnie, żeby co dają przyjęła, posłała do Zarzeckich, ofiarując ich skwitować z pretensji za trzy tysiące. Tak marzenia milionów skończyły się na drobnostce, ale i ta dla biednych była wielką pomocą. Umieszczono kapitał w rękach pewnych na prowizji, co stolnik nurski dopełnił *cum omni formalitate*, i pani skarbnikowiczowa codzień słabsza, zajmowała się już tylko, póki sił stało, wpojeniem w dziecięcia tych uczuć szlacheckich, których zachowanie w ostatnim potomku tak gorliwie na łożu śmiertelnem mąż jej zalecał.

Nauka nie poszła w las, bo Tadeuszek nabrał wprędce takiej dumy i takich przesadnych wyobrażeń o wielkości swojego pochodzenia i obowiązków, jakie ono na niego wkładało, iż pan Kornikowski, nie przypuszczając, by to mogło być skutkiem samych nauk macierzyńskich, widział w tem

Jedłanie krwi! Ze łzami w oczach słuchał on młodzieńca rozprawiającego niemal słowy ojca o rodzinie Siekierzyńskich, i unosił się nad cudownem przelaniem się ducha nieboszczyka w syna. Poczem ścisnął go serdecznie i odchodził pełen otuchy, że tak wielkich nadziei młodzieniec przepaść nie może, owszem prorokował mu świetne losy, do których osiągnięcia, zdaniem jego, brakło tylko jakiegoś trafu, coby go popchnął na właściwą drogę.

Ten traf jednak nie przychodził! Starano się go sprowadzić i ułatwić mu robotę, ale listy pisane do dawnych rodziny koligatów z prośbą o przyjęcie Tadeuszka na dwór, o posunięcie go w świecie, lub zostawały bez odpowiedzi, lub wymówki tylko i grzeczności sprowadzały. A Tadeuszek rósł tak szybko, a matki serce tak biło niepokojem o niego i przyszłość, tem niecierpliwiej, tem żywiej, że jej starość się zbliżała, że codzien słabsza, złamana, już i do kościoła wyjść nie mogła, już większą część czasu przepędzała w krześle z pobożną księgą na kolanach.

Choć i w Siekierzynku nie obfitowała w wygody życia i rozkosze pani skarbnikowiczowa, przecież w porównaniu z Lublinem był to raj jeszcze, a póki żył małżonek, tyle miała w niego wiary, że jej się nigdy jutro dla siebie i dziecięcia nie zdawało strasznie. Teraz, gdy wszystko na nią spadło, a ona nic dokonać nie mogła, tylko cierpiała i bolała, gdy jeszcze nieznanym nigdy na wsi niedostatek tysiąca wygódek dokuczać począł, gdy w najdrobniejszych rzeczach oszczędzać się było

potrzeba z ofiarą zdrowia i wygod, by Tadeuszek tylko miał zawsze co zechce, szybko nadbiegła starość, choroba, niedołęstwo. W nogach i w rękę poczęło łamać wdowę biedną, puchły i brzękły kolana, po nocach napadały ją boleści straszliwe, we dnie osłabienie niezmierne, oddech stał się ciężki; a poskarżyć się nie śmiała, bo obawiała się zachmurzyć Tadeuszka i stać się wydatków przyczyną. Dorota poszła po babach szukać leków; zaparzania, okłady, ziółka, wanny, nawet zamawiania choroby, rozwinęły ją tylko silniejszą i straszniejszą codzien. Z anielską cierpliwością znosiła wszystko wdowa, a ze swą księgą na kolanach, z różańcem w rękę modliła się do Boga — o syna tylko. Śmierć o tyle jej była straszną, o ile samego jednego na świecie zostawiała sierotę, samego wśród tego straszego zgłętku świata, w którym się potracają wszyscy, a gdy słabszy na ziemię upadnie, tratuja nogami, nie słuchając krzyku. Tadeuszowi młodość, imię, dworek i trzy tysiące złotych zostawiała w spuściźnie całej, a jedynymi przyjaciółmi: Macieja, Dorotę i stolnika Kornikowskiego, który się także pochylał, łysiał, siwiał, pokaszliwał, i często z uśmiechem przepowiadał, że mu czas się wybrać *ad patres*. Słudzy wielce się niepokoił o swoją panią i nie odstępował jej krokiem, szukali ratunku, codzien nową babę, nowego znachora przyprowadzali... ale nic nie pomagało.

W takich okolicznościach doszedł Tadeuszek lat dwudziestu, ale się na mężczyznę nie rozwinął; było to piękne dziecko jeszcze, które zdawało się

mieć zaledwie lat piętnaście, tak świeżą była twarzyczka rumiana, tak wzrost mały i siły niewielkie. Zresztą wyglądał raczej na paniątko, niż na ubogie szlacheckie pacholę. Osamotniony, bojaźliwy, wyrobił sobie charakter właściwy, nic nazewnątrz się nie objawiający; wszystko, co miał, było w nim ukryte; milczący, tajemniczy, unikający przyjaźni, choć łagodny i dobry, zdawało się, jakby się lękał ludzi, jakby czasem nie sądził ich godnymi siebie. Dla wszystkich uprzedzająco grzeczny, nikomu nie dając powodu do zmarszczenia brwi na siebie, z nikim się serdeczniej nie pobratał, nikogo do serca nie przyjął. Rówieśnicy napróżno usiłowali zbliżyć się do niego, nie odpychał ich, ale się trzymał zdala chłodno i nie powierzał im ani swej myśli, ani tajemnicy położenia.

To też w szkole u oo. jezuitów okrzyczano go zimnym i bezdusznym między młodzieżą, nazwano Mruczkiem, a starsi tylko i bystrzejszego wejrzenia nauczyciele, dopatrzawszy w tem mocy nad sobą i pewnej dumy, którychby użyć umieli, silnie go ciągnęli do zakonu. Tadeuszek oparł się zrećźnie, nie odmawiając i nie obiecując na jutro... Ówczesne wychowanie niewiele rozwijało człowieka i nie usposabiało go wcale do życia praktycznego, do którego nowicjat odbywał potem po dworach, w wojsku, lub palestrze... o ile jednak nauczyć się było można w jezuickich szkołach, skorzystał z nich sierota. Umiał dobrze po łacinie, tak że stolnika nurskiego nawet zadziwiał swą wprawą i wyrażeniami dobranemi, innych nauk liznął ile było moż-

na; a podobno najlepiej przykładał się do matematyki i niepospolitej nabył biegłości w rachunku.

W życiu domowym, prócz matki, dla której był wylany, dla której nie miał tajemnic, bo też się ona nie domagała od niego nic z serca głębiej pochodzącego — zresztą był przyjacielski ale chłodny... Dla stolnika nurskiego z uszanowaniem, zdaleka, rozruszać mu się wszakże nie dawał i starego przyjaciela domu traktował trochę zgóry. Dorota i Maciej, co go wypiaستowali i wykarmili pracą swoją, mieli go za ósmy cud świata, a jego powaga i umiarkowanie wzbudzały w nich szacunek trwożliwy. Spoglądali nań z pod oka, ukradkiem i dziwili mu się tylko.

— Co to będzie za człowiek! — mówiła Dorota — a! a! przejdzie on daleko ojca! choć taki milczący, kubek w kubek jak on, ale niech zagada tylko... i jest czego posłuchać!

Maciej miał mu za złe, że niewiele mówił, a zwłaszcza z nim.

— Kocham go — szeptał Dorocie, trąc tabakę zawzięcie — dobry panicz, ale czegoż taki mruk, jakby mu kto gębę zalepił. No! i nieboszczyk nie grzeszył gadulstwem, to prawda, Panie świeć jego duszy... ale taki gdy człowiek przyszedł i zaczął go wyciągać na słowo, to i odezwał się i poszablankował czasami i posłuchał bywało mojego bzdurzenia. A panicz pokłoni się, zakręci się, uśmiechnie... Dobrze, dobrze, mój Macieju, i znikł! Żeby mu jak drogę zastąpić, znajdzie którądy uciec ode mnie. Ej szkoda, boćby się mógł taki nieraz i dowiedzieć

co ciekawego i poradzić ze mną. Jegomość bywało w drodze, jak po piasku jedziemy, to i o procesie ze mną pogada. A i to źle, że takież tabaki nie zażywa, przez to taki delikatny...

Niemniej jednak Maciej bardzo kochał panicza.

Taki był stan rzeczy, gdy dość niespodzianie pan stolnik nurski jednego poranku wysiadł z kolaski na podwórku Siekierzyńskich i o lasce, suwając nogami, trochę podtrzymywany przez Macieja, który go *stante pede* tabaczką częstował, kroczył do pokoiku pani skarbnikowiczowej, a po drodze rozpytywał:

— A jak się tam pani wasza ma?

— Cóż? siedzi, panie stolniku, w krześle, do kościółki już ją biedne nogi nie zawloką, modli się i stęka, starość nie radość. Ot widzę i pan stolnik, nie przypominając, coś na nogi szwankuje.

— El to tak mi ścierpły w drodze, kochanku...

— Otóż to i mnie od czasu, — odparł Maciej, — aby cokolwiek, to nogi cierpną...

— A panicz wasz?

— Zdrów, chwalić pana Boga, rumiany; ale delikatny gdyby panienska, już takiej *kompleciji*, — dodał Maciej — chodzi jeszcze do ojców Jezuitów, ale nie wiem poco; bo czegoż on już nie umie? ot, żeby jeszcze gdzie na dwór...

— Dla niego nicpotem dworska służba, tam ludźmi pomiatają, rzucają, trzeba nieraz głód, chłód, bezsen i jeszcze batogi pod humor wytrzymać, a jemu to nie rzecz...

— To prawda, gdyby tabakę zażywał, toby się

zmocnił, — rzekł Maciej, — ale cóż, kiedy mnie nie słucha...

Stolnik się roześmiał i wsunął się do pokoju wdowy z niskim ukłonem, z rubasznym żartem; i jak był zwykł zawsze winszować i pocieszać, rozpoczął i teraz. Spojrzawszy jednak na Siekierzyńską, język mu się splątał, tak ją znalazł zmienioną, bladą, ciężko oddychającą. Postawił kij i czapkę w kąciku i szurgocząc nogami, zbliżył się do jej krzesła... — A co mościa dobrodziejko! jakże tam zdrowie acani dobrodziejki?

— Jak widzisz, nie najlepiej, stolniku, zdaje mi się, że już niedługo pociągnę, nogi mi nie służą; w piersiach taką czuję ciężkość, że mi się i położyć trudno, tylko, że dyszę i żyję.

— No! a gdyby się doktora poradzić?

— Daremny to ekspens, panie Pietrze! daremny, co Bóg przeznaczy, tego żaden doktor nie przeinaczy. Podobno przyjdzie spocząć.

— El fe, fe! nie chcę ja tego słuchać, i nie potem przyjechał, żeby mnie tem częstować. Mówmy o czem innem... a Tadeuszek?

— Zawsze toż samo, kochane, pocziwe dziecko!

— Chodzi do Jezuitów?

— Chodzi, bo cóż ma robić? powiedz; myślałam go do palestry wprowadzić, ale taką ma wymowę, cierpiałby wiele od młodzieży, co to zwykła lada czem prześladować.

— Jakże się acani dobrodziejce zdaje, do czego ma ochotę?

— Ja myślę że do gospodarstwa chyba, to

szlachcicowi wrodzone, ale na czymże gospodarzyć? Możeby za te 3.000 wziął gdzie pod bokiem stolnika maleńką dzierżawę.

— Ciężko! ciężko! zresztą pogadamy o tem; gdyby się to dało zrobić i owszem.

— A cóż tam w Siekierzynku słychać? — spytała wdowa pocichu.

— Co? już tam Wichuła młody jak szara gęś się rządzi i hula! mościa dobrodziejko, hula, aż za uszami trzeszczy, nie na długo mu wystarczy...

Staruszka westchnęła, stolnik wąsa pokręcił, poły kontusza poprawił, obejrzał się i westchnął. Zmiana twarzy i głosu wdowy uderzała go przykro, zląkł się tego widoku i nie pojmował, że na tak oczywistą chorobę nie szukano rady. Jak skoro tylko powrócił Tadeuszek, wziął go zaraz na bok pan Piotr i począł o doktora naglić; syn wymawiał się, że matka nie chciała na to pozwolić, a wdowa, choć niby głucha, dosłyszawszy czy domyśliwszy się rozmowy, przerwała ją stolnikowi.

— Mój panie Pietrze! już ja wiem co mówicie; to darmo. Ot, sam się przekonasz, że mi lekarza wcale nie potrzeba.

Jakoż nazajutrz rano, gdy okiennice otworzono, znaleźli ją na łóżku skuloną, z różańcem w ręku, z wyrazem boleści i modlitwy na twarzy, już nieżywą.

Wielki był lament sług, dziecięcia i przyjaciela, a stolnikowi aż krew puścić musiano. Dorota zachodziła się od płaczu, Maciej milczał jak słup, a to u niego najokropniejszą oznaczało boleść. Tadeusz modlił się, klęcząc u łoża.

We dwa dni potem kilka osób, kilku żebraków i gawieź próżniacza, wiedli trumnę czarną na cmentarz kapucyński; otwarte okna dworku i woń kadzidła pogrzebowego świadczyły, że tędy śmierć przeszła. Jedna Dorota musiała, zamknawszy oczy swej pani, pozostać dla pilnowania domu i, siadłszy na progu zalewała się łzami, poglądając zgóry na powolnie wlokący się sznur żałobny. Stołnik jakby umyślnie przybyły, żeby pożegnać przyjaciół, z pomocą Macieja sunął na cmentarz, schylony, drżący, z zaczerwienionem okiem i wpółotwartemi usty. Zdawało się, jakby bliskie przejście śmierci i jemu ostatek sił odebrało.

Smutne było wyprowadzenie zwłok ze dworku, ale smutniejszy dla wszystkich powrót do niego: jeszcze w pokoju skarbnikowiczowej stało jej krzesło, stołeczek pod nogi i poduszki, leżała książka do nabożeństwa, różaniec wytarty jej ręką i szklanka z której piła. Dom zdawał się pustką, dotyla to ta w kątku modląca się, milcząca istota, życia mu dodawała. Tadeusz powlókł oczyma i wszedł do swego alkierza, a stołnik poszedł za nim, płacząc, Maciej chodził z kąta w kąt, nie wiedząc co robi. Dorota zrywała się z nałogu do roboty i rzucała ją, zakrywając oczy fartuchem.

Stary jednak pan Piotr Kornikowski najpierwszy przyszedł do siebie i począł czynić wszystkim refleksje.

— Dobrze to żałować, — rzekł, — ale po chrześcijańsku, po chrześcijańsku; nieboszczce Bóg pewnie dał niebo za jej cnoty, módlcie się za nią, ale,

myślcie, by i ona, spojrzawszy na was, pocieszyła się, że sobie radę dajecie. Co myślisz, Tadeuszu?

— Ja! ja nic jeszcze nie myślę... żal mnie przejmuję.

— Żal żalem, a potrzeba coś postanowić.

— Stolniku, proszę cię, zabaw tu, pomówimy później.

Stolnik, choć mu pilno było do gospodarstwa, dla miłości Siekierzyńskich pozostał jednak w Lublinie, ale dopiero w tydzień mógł się z Tadeuszem rozmówić.

Młody chłopiec przez ten czas płakał i dumiał głęboko, na zapytania stolnika nic nie odpowiedział stanowczo, prosił go tylko, żeby mu odebrał 3.000 złotych kapitałiku i do Lublina je przesłał.

— A cóż z tem myślisz? — spytał pan Piotr.

— Jeszcze sam nie wiem, — cicho rzekł mu Tadeusz — nie jestem pewien, ale trzeba coś radzić sobie.

— Boćto, kochany Tadeuszu, ostatni twój fundusz.

— Wiem o tem, panie stolniku, ale potrzeba radzić sobie.

— Cóż naprzykład myślisz z nim?

— Sam nie wiem, czas okaże, ale chcę go mieć w rękę.

— Jak wola twoja! nie chcesz mi powiedzieć, nie napieram się, choć stary przyjaciel ojca i opiekun wasz, miałbym do tego prawo, ale... jak chcesz.

Trochę urażony pan Kornikowski dokończył lampeczki wina, wziął kij i z Maciejem poszedł do Dominikanów; gdyż do drzewa Krzyża św. szczególnie miał nabożeństwo.

Ani tego dnia, ani nazajutrz młody chłopiec nie dał z siebie wydobyć tajemnicy, jeśli tam jaka była; myślał, chodził, a przed stolnikiem wymawiał się, że jeszcze nic stanowczego nie postanowił.

Po śmierci skarbnikowiczowej zmieniło się bardzo życie we dworku, wprowadzie Maciej z Dorotą pozostali na czele gospodarstwa, ale oboje nie mieli do kogo słowa przemówić, bo Tadeusz całe dni sam na sam, jak ojciec chodził po izbie i milczał na pytania, a do rozmowy nie zachęcił. Musieli tedy starzy sami z sobą pocichu stękać i boleć, przypomnieniami się karmić i pocieszać tem, że i im niedaleko już było do końca. Po wyjeździe stolnika pan Tadeusz coraz rzadziej siedział w domu, wychodził zrana, wszedł na chwilę, by co przekąsić i znowu go do późnej nocy nie było. Ale gdzie był i co robił w mieście, nikt nie wiedział.

Maciej był niezmiernie niespokojny i ciekawy, ale żeby i chciał śledzić, to już swemi nogami nie podążyłby za paniczem. Dorota zgadywać nie myślała, ona wierzyła, że co zrobi, to będzie dobrze.

W istocie Tadeusz błąkał się tylko po ludnem naówczas i gwarliwem mieście trybunalskiem i chodził obcy wszystkim wśród tłumu, jak w lesie. Widok ludu, ścisku, wrzawy i życia tego czynnego mimowolnie go rozrywał. Zachodził modlić się do kościołów, posłuchać mecenasów na trybunale, spojrzeć na deputatów kolasy, na pańskie dwory, na palestry igraszki... to znowu ginął w ulicach żydowskich, błąkał się wśród sklepów i czasem wybiegał aż za miasto.

Myśl jego rzadko wprawdzie czepiała się widzianych przedmiotów, rzadziej jeszcze zabiło mu serce, ale oczy się bawiły, męczył ciało i smutek odbiegał.

Często napotykała go liczna młodzież lubelską, zaczepiała, ale grzecznie pozbywał się towarzyszków. Najulubieńszą jego przechadzką było przebiec Krakowskie Przedmieście, przejść pod bramą starą, minąć ratusz, spuścić się na Grodzką i resztą brudnego miasta wynieść w pole, na wzgórze. Stamtąd widział jak na dłoni i zamczysko, i gród, i kościoły, i wieżyce, i domy, a położywszy się na trawie, godziny całe pędził w nierozplątanej zadumie. Nieraz wejrzenie na siebie napawało go smutkiem, czuł się czemś większym od innych, a tak zapomnianem, tak w tłumie zmałym i nikczemnym, że gdyby go kolasy i konie stratowały wśród natłoku, niktby nie wiedział nawet kogo rozbito. I gdyby zginął, nie spytanoby o niego, bo prócz Macieja i Doroty, któż się nim zajmował?

Jakby dla dodania sobie goryczy, wznosił się potem myślą do czasów ubiegłych, do znaczenia przodków swoich, do ich bogactw, do wielkości i pytał siebie: — Czy ten upadek był zasłużony, czy był już nie podźwignięty?

Lecz któż tam policzy myśli jak chmury różnobarbne i jak one w coraz nowych występujące kształtach? Dość, że gdy powracał, to mu się smutek piętnował na czole i spuszczone głowa świadczyła, że coraz więcej tracił nadzieję. A dotąd nie przyszło mu jeszcze nic postanowić na przyszłość,

nie znalazł środka podźwignienia się, nie widział zawodu dla siebie... Czekał na traf szczęśliwy!

Jednego razu, gdy późną jesienią wyszedł po swojemu za miasto i na wzgórkach znajomym usiadłszy, poglądał na stary Lublin, ujrzał przy sobie zabawną figurkę, która krążyła, krążyła, chrząkając, aby o sobie oznajmić wcześniej i zbliżyła się narreszcie z dość grzecznym ukłonem.

Był to niski, otyły, rumiany człowieczek, z pękatym brzuszkiem, z wiszącym podbródkiem, ze zwieszonym wąsem szpakowatym, ruchawy, żywy, spoglądający tam i sam oczkami, w których się sprytnie malował. Miał na sobie ze ślicznego sukna zielonego kontusz z galonami, obszyty dla chłodu kunami dokoła i spięty na pętlące zielone ze złotem, buty ciemno-fioletowe, takiż żupan jedwabny pod szyję, a w ręku trzcinę z gałąką złocistą, którą za plecami trzymał w założonych na plecy dłoniach obu.

Z oczu patrzała mu ciekawość, ale widać było razem, że nie śmiał się impetycznie naprzykrzać pytaniem, choć język mu świerzbiał, szukał powodu do zagajenia rozmowy. Zbliżył się trochę, stanął, popatrzał, uśmiechnął i spojrzał na miasto. krokiem postąpił jeszcze, a widząc, że się Tadeusz nie oddala, począł:

— Prawda, panie, że stąd pięknie na nasze miasteczko spojrzeć?

Wielkich ceremonij, z jakimi podżyły człowiek przystępował do młodzieńca, inaczej sobie wyłumaczyć trudno, chyba postawą hardą Tadeusza.

jego posępną miną i wcale starannym żałobnym ubiorem, jaki miał na sobie, tak że go wziąć było można za kogoś zamożnego, a zamożność, bogactwo tak imponuje!

Tadeusz spojrział, podniósł się nieco i może rad rozmowie, odpowiedział:

— W istocie piękny widok.

— A dla mnie to i nie dziw,— mówił jegomość w kunach, — bom już stary, podtuptany, czas mi spoczywać i to moja rodzina; ale młodemu, jak pan dobrodziej... i zapewne obcemu?

— Nie jestem tu obcy, od dzieciństwa żyję w Lublinie.

— Jam się tu i urodził,—kończył stary, siadając już nieco opodal i spierając się na lasce,—i miło sobie tak zgóry spojrzawszy odświeżyć w pamięci, co to się tu przebiegowało, przeżyło, przechowało.

Tadeusz tylko spojrział na rumianego i dostаточно ubranego jegomości, jakby się dziwił, że i on o biedzie mówił; domyślił się znaczenia tego wejrzenia stary i dodał.

— Boć to człowiek niezawsze był tak rumiany i otyły i niezawsze miał czem tak uczciwie grzbiet okryć... ah! ah!

To mówiąc, westchnął i zamilkł.

— Gdyby to nie było niedyskretnie,—dodał po chwili—przyznaje, że oddawna postrzegam pana chodzącego po mieście i za miasto, tak jakoś zadumanego i bez celu, że mnie chętnie bierze spytać, co też pan w Lublinie porabia?

— Ja? nic! — odparł Tadeusz krótko — chodzę i myślę...

— I zapewne czekasz pan na kogoś, na coś? — spytał stary, — ale przepraszam za ciekawość.

— Nic nie szkodzi, — odpowiedział powolnie i unikając jąkania Tadeusz, któremu wesoła twarz i dostatek oznajmujący ubiór nieznanego dość się podobały. — Nie mam żadnego zatrudnienia, nie czekam na nic i na nikogo. — To mówiąc, westchnął.

Stary, który miał wyraźny świerzb języka, zamilkł przecie na chwilę i dodał jakby ogólnikiem.

— Dziwna to rzecz młodość bez zajęcia... o! gdyby to mnie drugi raz dał Bóg siły i wiek potem.

— Cóżbyś pan robił? — spytał Tadeusz ciekawie.

— Co? rozpocząłbym życie drugi raz od początku jak pierwsze...

— Jakto? więc nicbyś pan w niem nie poprawił i nie zmienił, tak z niego jesteś rad?

— A doprawdy, że podobno na jotębym nie chciał innego nic, nad to co było.

— Rzadkie szczęście! — odparł z westchnieniem Tadeusz.

Gdy to mówił a zmierzch padać poczynął i do miasta, chcąc zawczasu przejść przedmieścia, wracać czas było, powstał młody człowiek, podniósł się i stary przychodzić i powoli kroczyli ku miastu. W drodze mówili jeszcze o obojętnych przedmiotach, o trybunale, o deputatach, o głośnej sprawie, którą osądzać miano nazajutrz, a o której cały Lublin mówił, bo strona jedna chciała koniecznie dwóch deputatów jakim sposobem w kwaterze strzy-

mać, by na sesji nie byli i o to się nawet przez doktorów starano... nareszcie nieznajomy w kontuszu z kunami, na Grodzkiej ulicy rozstał się z Tadeuszem i wszedł powoli do pięknej kamienicy na przeciw świętego Michała...

Nazajutrz Tadeusz, zapomniawszy prawie o spotkaniu, swoim zwyczajem ku wieczorowi pociągnął za miasto i opodal trochę od wczorajszego stanowiska położył się znowu na trawie. Nie wyszedł kwadrans, a jegomość w kunach ukazał się, mimo przechodząc, i puścił się dalej powoli na przechadzkę, skłoniwszy zlekka Tadeuszowi. W pół godziny był zpowrotem i znowu zawiązała się rozmowa, z której Siekierzyński dowiedział się tylko, że dwaj deputaci wzięli w winie lekarstwo, które im na sesję przybyć nie dozwoliło, i strona przebiegła wygrała; lekarstwo szkodliwem nie było, mogło być nawet żołądkom pomocnem, ale było... dla deputatów niewygodnem...

W kilka dni potem, choć oba nazwisk swoich nie wiedzieli, młody człowiek i' wesóły tłusciutki staruszek, spotykając się niemal codzień, bo zdaje się, że oba nie mieli nic do czynienia i zarówno lubili przechadzkę, poznajomili się poufalej. Stary siadał na trawie przy młodym chłopcu, i że gawędzić lubił, a kontentował się byle go słuchano, miał zaś zawsze coś nowego do powiedzenia, więc poczynił zabawne często opowiadania, a nie skończył aż mrokiem. Nie pytał on nigdy Tadeusza kto był, ani Siekierzyński śmiał go badać, ale jednego wieczora, spoglądając na oddalone miasto, gdy się

przebrało gawędy, stary, westchnąwszy, takie opowiadanie rozpoczął:

— Otoż muszę nareszcie waćpanu powiedzieć, kto jestem, choć możeś i nie ciekawy, ale moje życie by najobojętniejszego może zająć, pochlebiam sobie, bom się nie wykołysał w dostatkach i co mam, winienem Bogu i sobie. A z łaski Bożej kawałek chleba mam porządny, i nie jeden magnat, co z wielkim dworem na trybunał się wlecze, nie pochwali się tak czystą fortuną jak moja. Otoż, jak mnie waćpan widzisz, wszystko to winienem sobie.

— Szczęściu — dodał Tadeusz.

— Juściż napewne — odparł stary, — ale żeby mi się bardzo na świecie wiodło, nie powiem, bo i biedy zażyłem; tylko żem był uparty jak kozioł i powiedziawszy sobie, że będę bogaty, pótym pracował aż nim zostałem.

— Dobrzeby to, gdyby dość było to sobie powiedzieć.

— Posłuchajże, waćpan: ojca mojego nie pamiętam, matkę tylko biedaczkę cokolwiek sobie przypominam, była ona, czego mi nie wstyd wcale, przekupką i siadała ordynaryjnie pod Krakowską bramą z jabłkami, potem koło jezuickiego Colegium, któreży zwykli byli przechodzić studenci do klas.

Tadeusz zarumienił się, widząc, z kim ma do czynienia, ale ciekawość go wstrzymała i słuchał.

— Cały mój fundusik był kilkadziesiąt złotych podobno, i to Bóg wie, czy tyle warte były nasze ławeczki, króbkki, kuszyki, trocha rupieci, łachmanów i zapas buczyny, jabłek, gruszek, śliwek, wiśni,

wedle pory roku. Jak zapamiętam, chodziłem bosaka, w szarej koszulinie, rzadko mając czem głowę zawinąć i karmiłem się nadgniłymi owocami i polewką domową, którą dopiero wieczorem gotowała matka dla mnie i dla młodszej siostry, która wkrótce umarła z ospy. Mieszkaliśmy w loszku na tyle Grodzkiej ulicy, w izbie ciemnej i wilgotnej, sklepionej, o jednym oknie nad ziemią samą, często śmieciem zarzuconem, bez podłogi, a w deszcz wody pełnej. Mieszkaliśmy, to się tylko tak mówi, bo matka i ja ledwieśmy trochę nocy tam przepędzali, a cały dzień od świtu do późna, czy mróz, czy wichur, czy zamieć, czy skwar, potrzeba było pod bramą siedzieć i czekać kupujących. Że nie było mnie z kim zostawić, chodziłem z matką zawsze, odziany jako tako, grzejąc ręce nad garnkiem z węglami zimą, chłodząc się murem zimnym w skwary i gapiąc się na ulicę.

Ciężkie to były życia początki, jak je wspomnę, ciarki po mnie chodzą, biedna matka chora była, niecierpliwa i za najmniejszą rzecz nie żałowała mi szturchańców, różeg i łajania. Ja to znosiłem, milcząc, a myślałem sobie: jak zdłużam, to pójdę pracować i nikt na mnie krzyczeć nie będzie i będę sam sobie panem. Ta myśl pocieszała mnie w dzieciństwie, z którego prędko wyszedłem, bo w latach dziewięciu już nosiłem koszyk z piernikami po mieście, groch młody, ogórki i tym podobne łakocie... Raz, gdy trochę podchmielony mecenas jakiś szedł ulicą i koło kościoła Jezuickiego wysunął mu się z zanadrza plik papierów, jam go podjął i pobieg-

łem za nim. Bardzo był rad ze znalezienia zguby i dał mi dwa talary za to. Schowałem je, nic nie mówiąc o nich matce, a nazajutrz, wiedząc już, gdzie czego dostać, kupiłem sobie dobry koszyk, krajkę mocną, stare szare płótno wyciągnąłem u matki i zamiast pójść z nią do ławki, puściłem się w miasto, kupiwszy zielonego grochu i ogórków, za które dałem na ogródku za miastem trzy złote. Cały dzień chodziłem od kapucynów do Krakowskiej bramy, wywołując mój towar i wieczorem miałem pięć złotych w węzélku, trochę grochu prawy, wiedłego i pewną nadzieję że sobie już dam rady.

Trafiało się, że dla swawoli uciekałem nieraz od matki, i dopiero wieczorem powracałem do stacji pewien dobrych szturchańców, ale razem i wieczery; mrokiem i teraz ale z koszykiem na plecach i dumą w duszy, udałem się do sklepiku. Matka już stała w progu, jakby na mnie czekała i jak mnie tylko zobaczyła, podniosła miotłę ogromną, dając mi znać, co mnie czeka. Ale nie zląkłem się, bo wiedziałem, że mi przebaczy... jakoż zobaczywszy mnie z koszykiem i wesołą twarzą, osłupiała, zdawała się w początku nie poznawać, wreszcie odezwała się. — A to co Michałku? — Zejdzmyno, to ja matuni wszystko rozpowiem jak było — odpowiedziałem, ufny w siebie i powoli zląkłem za matką do loszku, zdjąłem koszyk, siadłem na wywróconem wiadrze i tak począłem od dwóch talarów moich, aż do zarobku dziennego, dodając: — Otóż zobaczycie — teraz już ja i matuni i sobie na chleb zarobię i nie bójcie się!

Matka tak była zdziwiona, uszczęśliwiona i przejęta tym niespodzianym moim rozumem, że mnie aż w głowę pocałowała i rozplakała się z radości... Nastawiła prędko wieczerzę, a gotując ją po kilka razy, patrzyła moich pieniędzy, rozpytywała mnie i powtarzała sama do siebie. — No! co sprytny, to sprytny!

I nie wytrzymała przez wieczór, poszła zaraz do sąsiadów pochwalić się synem, sprowadziła starą Kasprową i starą Frankową i kazały mi znów opowiadać, jak to było, kto mi to poradził, jak ja tego dokazałem.

Następnych dni matka sobie siadła pod bramą, a ja poszedłem znowu po Krakowskiem i tak powoli dałem się poznać, że już w parę tygodni miałem sobie sprzedaż zapewnioną.

Potem, że mi się zieleniny nie podobały, bo to psująca się rzecz, zacząłem handlować różnemi drobnostkami, zabawkami dziecinnymi, szpilkami, tasiemkami, igłami... A żem pracować lubił, wesoło witał kupujących, czasem potrzebnym pokredytował, jakoś mi dobrze szło, tak że cośmy z matką przeżyli to przeżyli, a jeszcze około sta złotych miałem zapasu.

Pamiętam, że już naówczas chodząc koło sklepów, mówiłem sobie: chybaby Bóg nie łaskaw a i ja sklep mieć muszę i taka mnie ambicja opanowała, żem pracował i grosz do grosza składał niezmordowanie, aż w ostatku udało się, jeśli nie sklep mieć swój, to choć budkę koło św. Ducha, gdzie na początku szkaplerze, paciorki, obrazki, madaliki,

książeczki i różne terefelki trzymał. Matka zawsze jeszcze siadywała, choć stara, nad swojemi jabłkami, chciałem ja jej to perswadować, ale próżnować nie lubiła, przywykła kłócić się ze studentami i takie to już było jej życie. Bywało jak zachorzeje, a zmuszę ją, żeby w domu w cieple posiedziała, to tak nudzi, że rady sobie dać nie może, wstaje, do okna chodzi, stęka i nazajutrz nieboga wlecze się z garnkiem znowu na swoje miejsce. Chciałem, żeby sobie w mojej budce ze mną przesiadywała, ale nie mogła: studenci ją wszyscy i ona wszystkich znała doskonale i już żyć bez siebie nie umieli. Ta wrzawa chłopaków, spory z nimi, ciąгла baczność, żeby jej nie okradli, ożywiały ją i odmładzały. Śmiała się, gdy ją nazywali *Cybelą* i gniewała się, sądząc, że to znaczyło *Cybulę* poprostu, której nie sprzedawała; domagała się, żeby ją lepiej przewali jabłkiem lub gruszką, ale wszystkie pokolenia studentów znały już ją pod tem nazwiskiem. Mnie tymczasem szło bardzo dobrze i nie pamiętam w życiu szczęśliwszych chwil nad te, które spędziłem, nosząc w koszyku na plecach nadzieje, sadząc je w budce obok siebie. Dobiłem się później wszystkiego czegoś tylko żądał; ale mniej mnie to uradowało, niżeli marzenia dziecinne... nie było też już i pocziwej starej matki, by się z nią podzielić dostatkiem. Staruszka siedziała, póki tylko mogła u bramy kolegium jezuickiego, a gdy już zwlec się nie potrafiła na stanowisko, jednego dnia jesieni przechorowała dwie doby i zasnęła na zawsze... Możesz pan widział piękny kamienny nagrobek na

cmentarzu dominikańskim, z koszem owoców na wierzchu wyrobionym, jest to pomnik mojej matki...

Sam jeden pozostawszy, pracowałem dalej i z budki pod św. Duchem wprędce przeniosłem się do najętego sklepiku naprzeciwko ratusza, a sklepik to już był co się nazywa, niewielki, ale zaopatrzony dobrze w korzenie, cukier, kuchenne przyprawy i t. p. Ale że to się jeszcze z niewielkiego grosza kupowało od hurtowników, zysk nie był znaczny i musiałem powoli dorabiać się, nim doszedłem do tego, że sam sobie towar mogłem sprowadzić. Z dwóch talarów, rzuconych mi przez mecenasa podchmielonego, w krótkich latach przyszedłem do dwóch tysięcy talarów gotówki i zapasu sklepowego... Prawda, że mi się wiodło, ale trochę się i pochwalić tem mogę, bo i wagi i miary pilnowałem, nikogom na grosz nie oszukał i oszczędzałem w początku jak ostatni sknera — a zrobiłem był sobie ślub, który dotychczas dopełniam, dawać każdemu ubogiemu, którego spotkam, nie mniej ni więcej grosz, na pamiątkę mojego własnego ubóstwa. Może i ta moja jałmużna dała mi szczęście, ale to pewna, że szkody nie miałem nigdy ani od złodzieja, ani od pożaru, ani z oszukaństwa złych ludzi, i powoli, powoli, oł z urwisa ulicznego, włóczęgi, któryby mógł przepaść na wieki, wyszedłem na mieszczanina, na hurtownego kupca, kupiłem kamienicę, ożeniłem się dobrze, dziatki mi się hoduja i dostatek powiększa. A w dodatku powiem waćpanu, że jestem radcą miasta Lublina i ludzie mnie uważają, i kiedy król nieboszyk przejeź-

dżał przez nasze miasto, trzymałem baldachim u Krakowskiej bramy...

Tadeuszek wysłuchał cierpliwie całego opowiadania, a gdy skończył kupiec i powstał, rzekł tylko sucho i zimno:

— Bardzoś pan był szczęśliwy! i ciekawa to istotnie historia!

— A morał jej — dokończył pan Michał, — że aby człowiek chciał pracować, to na świecie się poprze...

Ostatnie słowa zdawały się wymówione z pewnym zamiarem, jakoż utkwily dobrze w głowie Tadeusza, który zamysłony powrócił do dworku i część nocy potem z wielkiem zdumieniem i niepokojem poczciwej Doroty i Macieja chodził mocno zadumany po swojej izdebce. Wielka w nim odbywać się musiała walka, bo widoczne na twarzy malowało się wzruszenie: czoło to rozjaśniało się, to chmurzyło, oczy błyskały i mgłą się zasuwaly, chodził żywo i stawał i liczył, i nad rankiem położył się nierozebrany z jakimś silnem postanowieniem. Nazajutrz, jak świt, znikł znowu ze dworu i poszedł w miasto, tymczasem poczcwi śludzy bardzo o niego byli niespokojni, zwłaszcza stary Maciej. Zeszli się oboje w kuchni i udzielali sobie wzajemnie swoich domysłów i postrzeżeń.

— Milczy i chodzi — mówił Maciej — to źle, bardzo źle, uważałem, że i nieboszczyk przed śmiercią najwięcej chodził i milczał uparcie. Człowiek co nie gada, musi być chory. Wołałbym, żeby się gniewał, łajał, bił zresztą, ale tak słupem niemym

z kąta w kąt się przesuwać, to już coś niedobrego, Ale co tu radzić?

— Co radzić? — odpowiedziała Dorota, która od niejakiego czasu wpadła w nadzwyczajną pobożność — modlić się i Pana Boga prosić.

— Ać! zapewne! — rzekł Maciej — Pan Bóg ojciec sieroty, ale trzeba sobie radzić i samym, już ciż z założonemi rękoma siedząc, tabaka się sama nie utrze. Możeby dać znać stolnikowi...

— Albożeście to nie uważali, że on i ze stolnikiem tak mruczek jak z nami, i co się go naprosił, żeby mu powiedział co zrobi z temi pieniędzmi, które chce odebrać — nie uprosił przecie, nawet trochę markotny odjechał. Już to taka natura... Słuchaj, Macieju, a gdybyśmy spröbowali dojść, co to on po całych dniach robi?

— A kto się z nim zejdzie! — odparł Maciej — ja coś tak suwam nożyskami jak nie swojemi, coś mi się zrobiło... i wy.

— E! nie gadałbyś; ja jeszcze dwie mile ujdę codzień po mieście.

— A wieczorem się skarżycie?

— Bo to taki bruk niegodziwy w Lublinie! bywało w Siekierzynku co się człowiek nadrepce, a nogi nie zabolą.

— Oto to, musi ten bruk i mnie szkodzić — przerwał Maciej, — ani chybi bruk, bo od roku nogi jak kłody...

Nie postrzegli się oboje, że lat kilkanaście upłynęło od wyjazdu z Siekierzynka, biedacy!

Z tych długich narad nic nie wynikało, Dorota

sobie, Maciej sobie próbowali rozgadać się z Tadeuszem, ale on ich zbywał ni tem ni owem, a co raz mniej w domu siedział. Zwłaszcza gdy stolnik umyślnym pieniądze odesłał, przy obszernym liście naszpikowanym łaciną i sentencjami, Siekierzyński zaraz nazajutrz znikł jeszcze raniej z domu i nie powrócił aż w nocy, uznojony, zmęczony, jakgdyby z dalekiej powracał wędrowki. Potem aż do dnia coś pisał, notował, papiery układał, i znowu ledwie się na jutrznię ozwał kapucyński dzwonek, otworzył drzwi, zawołał Dorotę, żeby je za nim zamknęła i na cały dzień uszedł.

To niewytłumaczone postępowanie doreszły zniepokoiło poczciwych sług, i Maciej, nogi sobie spirytusem wysmarowawszy, postanowił ruszyć na zwiady po mieście, czy też nie spotka go gdzie i nie zobaczy, co robi. Nie bez przyczyny bowiem od dwóch dni obiadu w domu nie jadł i zapowiedział Dorocie, żeby sobie tylko gotowali, bo chyba na wieczrę będzie mógł powrócić.

Oglądając się, rozgadując po drodze, wstępując do otwartych kościołów, stary Maciej powłókł się o kiju od Krakowskiego Przedmieścia, od Kapucynów począwszy do Grodzkiej aż ulicy; zawrócił się potem ku Dominikanom i Jezuitom, ale próżno oczy wytrzeszczał, nigdzie Tadeusza nie odkrył. Uparty, cały dzień tak błakał się ze swemi pęcherzami pełnemi tabaki, rozpytywał ludzi, śledził, nadaremnie. Sprzedał tylko kilka funtów maciejówki, napił się miodu u Indyka (tak zwano szynkownię u żydowskiej a raczej Grodzkiej bramy) i mrokiem

już przyszedł nazad z niczem. Dorota postanowiła nazajutrz sama wślad pójść za swoim paniczem.

Nocką już przyszedł on do dworku, kazał sobie dać wody do umycia, która, jak uważała Dorota, była czegoś dziwnie ciemna, jakgdyby się panicz czem powalał, zjadł trochę nawarzonego krupniku i chleba kawałek, zapisał coś sobie i spać się położył. Ledwie na brzask było, już posłyszeli starzy, że ognia krzesał, ubierał się i zabierał do wyjścia, a Dorota, która dla pewności ubrana spać się położyła, poniosła mu piwo grzane, za które jej podziękował z uśmiechem dawno niewidzianym ale pił je już w opończę się owinąwszy, w czapce na głowie i poparzywszy rękę z pośpiechu, umknął z domu jak złodziej. Stara Dorota, której ciekawość sił dodawała, w minutę pobiegła za nim, ale go już spostrzegła daleko przed sobą, a że musiała unikać, by jej nie zobaczył, i kryć się w pustej jeszcze ulicy, straciła go z oczu koło ratusza — błdziła, błdziła i z niczem jak Maciej powróciła.

Wielki to był triumf dla starego stangreta, który dowodził, że wszystkie śledzenia będą próżne.

— Zobaczymy — odpowiedziała kobieta — zobaczymy... jutro ja się lepiej jeszcze zasadzę...

Jakoż następnego poranku trochę więcej dowiedziała się Dorota, zobaczyła go bowiem koło ratusza wchodzącego do jakiejś kamienicy, w której znikł. Czekwała, czekała długo, czy z niej nie wyjdzie, koło południa poszła wewnątrz, ale z wielkiem strapieniem przekonała się, że kamienica była przechodnia.

Maciej śmiał się do rozpuku, ale trzeciego dnia, zaparłszy dobrze dworek, sam poszedł z Dorotą; znowu Tadeusz wszedł do tejże kamienicy, z której jednego wyjścia pilnowała służąca, drugiego stangret. Stali tak niezmiennie długo i nie zobaczyli go wychodzącego, Dorota utrzymywała, że go Maciej przesłepił, on, że się ona zagapiła, pokłócili się mocno i powrócili do domu. Staremu przyszło na myśl zasadzić się już wieczorem, ażali on po mroku z tegoż miejsca wychodzić nie będzie; potem śledzić, co on może robić w tej kamienicy. Jakoż zwycięsko przyszedł oznajmić Dorocie, że panicz cały dzień w tej kamienicy siedział i o mroku dopiero, owinięty w oponczę, wysunął się temi drzwiami, któremi wchodził.

Pozostawało tedy dojść, co go tam ciągnęło i czem się cały dzień zajmował, a tu Maciej na-przód ofiarował się na zwiady ze swoją tabaką. Nazajutrz więc około godziny dziesiątej wybrał się, opatrzywszy w pęcherze pełne maciejówki i począł logicznie od dołu kamienicy, która miała dwa oprócz tego piętra. Na dole był tylko sklep korzenny jakiegoś kupca Falkowicza, zdawało się nowo założony, bo i tablicę miał świeżą i dawniej go jakoś nie widział Maciej, choć często tędy przechodził; z drugiej strony mieszkał szewc, którego głos donośny rozlegał się daleko, nazywano go Tubą, a to nazwanie dali mu studenci, bo nie było chwili, żeby jego krzykliwe i namiętne wołanie nie rozlegało się aż w podwórzu. Nie zaglądając do sklepu, Maciej zaszedł do Tuby, sprzedał

mu ćwierć funta tabaki na próbę i kroczył na górę; znalazł tam jedno mieszkanie zamknięte, w drugim umarłego na marach staruszkę jakiegoś, u którego trumny kilkunastu wnuków klęczało. Na drugim piętrze mieszkał jakiś prawujący się szlachcic, u którego właśnie pili na zabój na konferencji znajdujący się prawnicy i młode małżeństwo, zajęte pilnie swoim szczęściem i gospodarstwem. Nigdzie śladu Tadeusza nie dostrzegł stary, i jedno tylko zamknięte mieszkanie zostawało nierozpastrzone. Chcąc się o nie rozpytać, wszedł na dole do sklepu Falkowicza; siedział tu kupiec, sam obmotany opończą, w kapuzie na głowie, jakby chory, i trzymał chustę przy twarzy, osłaniającą mu ciemne, brunatne lice — siwowaty włos z pod czapki się wymykający, zgarbione plecy świadczyły o wieku mieszczanina. Na widok wchodzącego Macieja, pan Falkowicz wstał, coś mruknął, nie odejmując chusty od twarzy i postąpił ku niemu, ale wpatrzywszy się zapewne w lice jego ubranie, bo Maciej od wyjazdu z Siekierzynka dobierał stare opończe i drelichowe katanki, odsunął się szybko i usiadł, dając znać, że cierpi.

— Nie zażywacie tabaki? nie potrzebujecie maciejówki? — spytał stary — doskonała tabaka! jak Boga kocham, proszę spróbować? Pan cierpi na zęby, nie ma nic lepszego jak płukać i myć tabaką... proszę spróbować.

Ale kupiec odtrącił pęcherz otwarty ręką i usunął się, kiwając głową a nie mówiąc ani słowa.

— Pan nie zażywa? — spytał Maciej niechętnie.

Falkowicz głową kiwnął i głębiej jeszcze cofnął się w ciemny kąt kramu swego, jakby mówił: — Dajcie mi pokój.

— To jak wola, nie napieram się — mówił stary — boć nie chwając się, tabaka, jakiej drugiej w Lublinie niema; żydzi farbują krwią, mieszają popiół, szczecinę, szkło i Bóg wie co, a moja czysta! ale jak nie, to nie. Mam i tak odbył wielki, ledwie nastarczę; prosiłbym tylko pana kupca powiedzieć mnie, kto tu mieszka w tej kamienicy na górze, gdzie drzwi zamknięte, naprzeciw nieboszczyka?

Na to pytanie zmieszał się Falkowicz, spuścił głowę i z pod chusty grubym przez nos głosem odpowiedział niecierpliwie:

— Ja... ja!

— A! bardzo przepraszam, proszę dać pieprzu za trzy grosze.

Na to żądanie, poparte rozwiązaniem węzełka, z którego Maciej dostał trojaka i położył na stole, zawahał się Falkowicz może dlatego, że go zęby bolały, a żądanie było maleńkie, ale wkrótce jakby się namyślił, obwiązawszy się chustą, chwycił szufladę pieprzu, nasypał go na papier, odważył, zawinął i oddał Maciejowi, wpuszczając monetę do innej szuflady. Tego dopełniwszy, stęknął, siadł, podparł się, jakby mówił: — Idź-że waszeć sobie. — Macieja wszakże niełatwo było się pozbyć; — i nim do kieszeni stosownej wpuścił kupiony pieprz, zaczął rozmowę znowu.

— A to widzę nowy sklep, bo ja tu mieszkam w Lublinie od lat trocha, a jeszcze go nie widziałem...

Kupiec milczał, kiwnął tylko głową.

— Piękny sklep co się zowie, tablica ślicznie malowana! i dostatek widać towaru... No! daj Boże szczęście... pan to pewnie z innej ulicy tu się przeniósł?

Falkowicz znów głową tylko dał znak potakujący.

— I miejsce to dobre, niema co mówić, sam przechód, kamienica na drodze, blisko ratusza, w środku miasta, pozycja doskonała, powinszować! A imbiru u pana dostanie?

Falkowicz wskazał na szufladkę.

— Psi! si! wszystko jest! ślicznie! ślicznie! kłaniam się panu i kłaniam!

I widząc, że uparty kupiec milczy, ciągle się chustką zasłaniając, rad nie rad uszedł.

— Dziwny to jakiś kupiec — mówił po drodze, — milczący, chory, stary... Nie robi wielkich rzeczy, jeśli tak go będą ciągle zęby bolały, towar trzeba chwalić, kupującego zapraszać; ja z moją tabaką co gęby nastudzę, a ledwie radę dam... Milczkiem to tylko na lisa polować dobrze... Bóg z nim. Ale radbym wiedzieć, co się z tym paniczem dzieje... Dorota będzie śmiać się ze mnie, że nic nie doszedłem, ale doprawdy, chyba go tam dziś niema?

— Kupiłem jej zato pieprzu i tanio i pachnącego.

Powróciwszy do dworku, Maciej najsumienniej i obszernie się wytłumaczył ze spraw swoich, oddał Dorocie funcik z pieprzem, nad którego taniością i gatunkiem wydziwić się nie mogła, i z westchnieniem usiadł, zeznając, że pana Tadeusza nie

rozumie i nie wie, co się z nim ąziać może. — Jeśli chcesz, wasanna — dodał z przekazem, — poprobu j jutro sama, może czego dojdiesz?

Dorota ruszyła ramionami. — Daj mnie pokój! — odpowiedziała — dobrze tylko i to, żeś taki dobry sklep odkrył, jak mi czego będzie potrzeba, to do niego pójde, bo po pieprzu wnoszę, że tam taniej jak gdzie indziej.

Najdziksze więc robiąc domysły, słudzy pozostali w niewiadomości obrotów swojego pana, a jak w początku jego postępowanie zdawało im się bardzo dziwne, tak później przywykli do jego wycieczek całodziennych i przestali się niemi niepokoić. Tadeuszek zaś najregularniej znikał zrana bardzo i nie powracał aż późnym wieczorem, coraz mniej przebywając we dworku, w którym dwoje tylko starych samotnie życie pędziło.

W kilka tygodni Dorocie potrzeba było różnych ingrediencyj kuchennych i z koszykiem udała się do sklepiku Falkowicza dla zakupienia ich. Niemniej jak Macieja zdziwił ją osobliwszy milczący kupiec, zawsze prawie obwinięty chustą, śniadej płci i siwych włosów, niecierpliwy, półsłowy zbywający, ale sumienny w sprzedaży, wadze i cenie. Żadnym sposobem nie udało jej się zawiązać z nim rozmowy; ale z kilku jego wyrazów, stłumionym wyrzeczonych głosem, Dorota zmieszana zdawała się rozpoznawać zmieniony, a przecież znany jej dobrze dźwięk głosu. Wzruszona i niespokojna, jęła się przypatrywać, siedziała długo, szpiegowała nowego przemówienia, ale już Falkowicz ust nie otworzył

i choć ciągły był wpływ potrzebujących, ciągnęła sprzedaż towaru, zbywał przychodniów milczeniem. Dorota stała drzwiami zasłoniąca długo i próżno, przypatrywała się przez szparę starcowi i pojąć nie mogła, co się jej przymarzyło.

W istocie dziwne miała przywidzenie, zdało jej się, jakby słyszała wykrzywiony niezręcznie stłumiony umyślnie głos Tadeusza; ale sama się z tego potem śmiała, tłumacząc sobie dziką myśl swoim niepokojem o wychowańca. Falkowicz był tak stary i siwy, śniadej płci, niski, gruby! A wreszcie cóż być mógł za stosunek kupca z dzieckiem rodu Siekierzyńskich! Tylko widziany kilka razy i znikający w tej kamienicy Tadeusz dawał do myślenia Dorocie... że kryjówka młodego człowieka i ten głos osobliwszym sposobem w jednym się miejscu zbiegły.

Wróciwszy, nie wspomniała o tem, co się jej przysłyszało, Maciejowi; byłby ją wyśmiał, ale z różnych poznań wnioskując i myśląc długo, poczęła wpadać na jakieś domysły, które ją nazajutrz znów do sklepu zagnały. Weszła tak, że jej Falkowicz nie widział, a gadał do kogoś — głos, jakkolwiek przebrany, zestarzony, wykręcony, tak jej był znany od pieluch! — Był to głos Tadeusza, nie mogła się zmylić!

Pan Tadeusz, ostatni z Siekierzyńskich, ów dawny szlachcic kupcem! cóż mu się stało? być-że to mogło? Była pewna, że się nie omyliła i w głowie jej się plątało, tak pojąć tego nie umiała; nie rozumiała ani celu, ani powodu... ale jakiś niepokój ją opanował, jakby o zbrodni się dowiedziała, jakby popełniła występki. Siadła i zaczęła gorzko płakać.

Maciej o niczem nie wiedział; on właśnie w gan-
ku przyjmował przybyłego stolnika nurskiego, który
pomimo podagry przybył się dowiedzieć, co pora-
bia syn przyjaciela, co się stało z odebrany m ka-
pitalikiem. Zaraz na wstępie schwytał Macieja za-
pytaniem: — A co mój stary, co u was słyhać?

— A! panie stolniku! najgorzej że nic... człek nie
wie czy się cieszyć, czy lamentować, tylko w nie-
pokoju czeka jak burzy, którą widzi nadchodzącą.

— Cóż wasz panicz?

— Panicz! możemy powiedzieć, że go prawie
nie widzimy. Bóg jeden wie co robi?... wychodzi
z domu o świcie, powraca nocą dopiero, a w za-
den sposób dojść nie można, czem się zajmuje...
Po mnie aż ciarki chodzą.

— Jużciż mogliście go popytać?

— Aha! żebyż odpowiedział! taki takusieńki mruk
jak nieboszczyk ojciec, chodzi i milczy, milczy i cho-
dzi... Dobry, pocziwy, ale ma dwie wady, paneczku...
nie gada i tabaki nie zażywa, to go i zgubi.

— Cóż to, jak myślicie? hula może, co?

— Gdybyż hulał? to rzecz wiadoma, że młode-
mu trzeba trochę się wyszumieć, ale gdzie tam! Tak
on hula jak i ja... Ale coś robi potajemnie i kryje się.

— To źle — rzekł stolnik, — potrzeba dojść ko-
niecnie... Kto wie!

— Niech-że kto będzie mądry! Już my z Dorotą
dobrześmy tańcowali i nic... Powiem panu nawet —
ciszej dodał Maciej — szpiegowaliśmy go, wchodzi
do jednej kamienicy regularnie co rana i aż nocką
z niej wyjdzie dopiero.

— No! to było śledzić kto tam mieszka?

— A któż mieszka? ja nie w ciemę biły... mieszka stary jeden kupiec, młode małżeństwo, szewc, szlachcic jakiś, co na trybunał przyjechał i jeszcze tam jakaś familja uboga; ale jego ani slychu.

Stolnik się zmarszczył mocno, pokiwał głową, zamyślił.

— Ja z nim o tem pogadać muszę — rzekł; — przyzna mi się, już ciż nie rozbija i nie kradnie.

Wtem nadeszła Dorota z czerwonymi od płaczu oczyma i uściskała nogi stolnika; jakoś Maciej poszedł dla koni gościa kupić siana wiązkę, a on został sam na sam ze starą sługą.

Dorota obejrzała się naprzód na wszystkie strony, pokiwała głową, załamała ręce i szlochając zawołała:

— Wie pan, co się z naszym paniczem dzieje?

— A! wiem, mówił mi Maciej przecie.

— Cóż on panu mógł powiedzieć — tu się zaśla od płaczu, — on nic nie wie.

— A! na Boga, mów moja Doroto! mów za-
klinam.

— Gdyby nieboszczyk to zobaczył, umarłoby
z rozpaczy.

— Jezu miły, ale cóż to jest, Doroto — zawołał stolnik, — mów, jeśli Boga kochasz, na rany Chrystusowe!

Dorota zbliżyła się do ucha pana Piotra Kornikowskiego i szepnęła:

— Został kupcem.

Gdyby piorun uderzył u nóg stolnika, nie byłby

więcej pobał ani się przeraził; słowa zamarły mu w ustach, zatrząsł się, namarszczył brew. — Jak? co? gdzie?... to być nie może? — wyjęknął — powiadam ci, to być nie może! on! on! Siekierzyński! potomek hetmanów i kasztelanów.

— Ciszej, panie stolniku, ciszej na Boga, jeszcze nas kto posłysz, tak jest! został kupcem.

— Prędejbym myślał, że się utopił — krzyknął stolnik porywczo — *ignominia! infamia!* ale mów-że, wasanna, mów-że, jak to się stało?

— Jak to się stało, ja tego nie wiem, ale jak się przekonałam, to zaraz się wytłumaczę... Jak zaczął panicz z domu rankiem uchodzić, a aż w nocy powracać, zlekliśmy się z Maciejem i szpiegowaliśmy go. Otóż w kamienicy, do której chodził, nadole jest sklep, napisano Falkowicza, a to nie Falkowicza żadnego, tylko jego.

— Cóż on tam u kaduka sprzedaje?

— Co? pieprz, rodzynki, imbir, cukier... zwyczajnie kupiec.

— Jaktol tak, w biały dzień, bez wstydu, psu oczy sprzedawszy!

— O! nie! zobaczysz, pan, co za dziwy z siebie zrobił! przebrał się, powiadam panu, jak na zapusty! włosy siwe, twarz oliwkowa, garbaty, stary.

— A co ty mi androny prawisz — krzyknął stolnik, laską stukając, — to brednie, powtarzam, to brednie.

— Ale, panie, ja go wychodowałam, poznałam go! po głosie. go poznała, to on, jak mi święta pamięć jego matki!

— Tfu! tfu! — przerwał staruszek — zwarzowałaś czy co! androny! banialuki! powiadam! Gdzie? przebrał się? zamaskował! jak to być może, chyba sfiksowałeś.

— To niech-że się pan sam przekona! ja pana zaprowadzę.

Jakkolwiek zmęczony, stolnik wziął za kij, otrząpał tylko z pyłu kapotę podróżną, wychuchał czapkę pomietą, przyglądził siwego włosa i z Dorotą wraz, zostawując na straży domu furmana swego, ruszył pod ratusz.

Kawał to drogi z Winiar, zwłaszcza dla starca, co tylko wysiadł z bryczki i cierpiał na nogi porzękłe, a w dodatku, *in publico*, jak powiadał, swoich defektów pokazywać nie chciał i usiłował iść prosto i lekko, a nawet z pewną młodzieńczą zamaszystością... Ale wiele może wola i niepokój, gdy nimi kieruje serce poczciwe.

O kilkanaście kroków Dorota się przyzostała, a pan Piotr, naczupurzywszy się, wszakże z widocznym niepokojem, po dwóch kamiennych śliskich płytach wszedł do kramu, nad którego drzwiami wielkimi literami stał napis:

SKLEP KORZENNY

Jana Falkowicza ze Lwowa

Pod temi wyrazami na czarnem tle narysował artysta dla nieumiejących czytać, szalki, pudełko i o ile mógł i umiał, w różnych mniej więcej wiernych kształtach, atrybuta handlu korzennego, a między niemi głowę cukru, z uszanowaniem odkrytą przed publicznością i świecącą białą łysiną swoją.

Kram był bardzo świeży i porządny, szafy mało-
wane ciemno, naczynia i pudła nowe, szalki świe-
cące, nawet ta szpulka, z której z nieprzyjemnym
kłótliwym głosem rozwija się sznurek, protestując
przeciwko nieustannemu rozcinaniu, miała jakąś
fizjognomię uśmiechniętą i wystrojoną. Była żółta
z brzegami ponsowemi... W sklepie zapach był za-
chwycający: mieszanina szafranu, bobkowych liści,
imbieru, pieprzu i tysiąca drogich staropolskiej
kuchni przypraw, połączonych w jedno *totum*. Kędy
spojrzałeś, radowało się serce i żołądek na widok
materiałów, które w rękach kuchmistrza specjalne
wydać miały potrawy, wytworne i zawiesziste sosy.
— I czyto, że sklep był nowy, a nowe sitko na
kołku, czy że w istocie jego czystość, porządek
i oblicze wesołe nęciły, ale ciżba kupujących była
wielka. Stary, zgarbiony, szpakowaty, oliwkowej
cery, w kapuzie i z gębą zawiązaną chustką kolo-
rową kupiec, zwił się, nie mogąc wszystkim na-
starczyć. Stolnik wszedł z tłumem i spojrzawszy na
oryginalną figurę pana Falkowicza, roześmiał się
do rozpuku z Doroty i z radości, że się tak po-
myliła. W tej chwili kupiec zwrócił na niego oczy
i sznurek, którym wiązał ogromne oko bobkowych
liści, zastrzegł mu w rękach; widocznie zmieszał się,
spuścił głowę i poprawił chusty, odwrócił się...

Ten ruch nie uszedł pilnego oka stolnika, który
dobywszy talara z kieszeni, zbliżył się do kupca.

— Proszę wacana o funt rożków... rzecz dobra
od kaszlu.

Falkowicz, który stał odwrócony, śmiało zbliżył

się, wziął talara w milczeniu, spuścił go w szufladę, oddał resztę i zawinawszy ekstra-szparko różki, wręczył je stolnikowi. Ten ręki nawet nie mógł zobaczyć, bo kupiec miał na niej rękawiczkę. Chciał głosu dobyć z tej niemej postaci, i począł rozmowę, ale sąsiad go trącił i rzekł mu na ucho:

— Pan nie wie, że Falkowicz ma defekt z pozwoleniem, w gębie, ciężko mu gadać, cyrulik mu zęba dostawał i szczękę nadłamał... otoż i nie konwersuje przez to... Ale to pierwszy sklep — dodał — *quo ad integritatem*, człek słuszny... Kilka lat, ba i pono z dziesięć czy więcej nie mieszkał w Lublinie, teraz powrócił do nas ze Lwowa.

Stolnik głową pokręcił. — Gdzież u kaduka ta Dorota wzięła swego Tadeusza w tym starcu: a muszę jej głowę zmyć za tę potwarz! Podobny, jak pięść do nosa!

Tymczasem sąsiad poczęstował stolnika tabaczką, stolnik przyjął ją z wdzięcznością i rozwinął swoje różki by się wywdzięczyc, a z tych preliminarjów zawiązała się rozmowa ze staropolską uprzejmością braterską.

— Waćpań dobrodziej nie tutejszy? — spytał sąsiad sklepowy.

— Ja, mości dzieju, jestem z Mazowsza.

— Zapewne do trybunału, czybym nie mógł usług moich ofiarować?

— *Gratias ago*, ale nie w tym interesie przybyłem, prawa żadnego nie mam, przyjechałem, iż tak rzekę, dla rozrywki, *propter delectationem*.

Prawnik się uklonił niżej jeszcze. — Jakże go-
dność pańska?

— Piotr Kornikowski, stolnik nurski.

— Miło mi poznać waćpana dobrodzieja, zwa-
szcza, że Kornikowscy herbu Rola?

— Tak Rola.

— Z Mazowska *itidem*, z których jeden miał za
sobą Malewiczównę z Malewa, znany był mi *intime...*

— Mój stryj nieboszczyk, *requiescat in pace*.

— Umarł! proszę asindzieja? umarł!

— A kogoż mam szczęście *tam insperate* pozna-
wać i szczyć się zawiązaną miłą mi konwersacją?

— spytał z właściwą wymową pan stolnik.

— Kordziłowicz Inocenty z Wołynia, z pod Luc-
ka — odparł prawnik — z Kordziłówki szlachcić, mo-
gę powiedzieć, tak dobry jak i drudzy i *possesio-*
natus, acz na częstce.

— Bardzo mi miło zaszczyć się towarzystwem
waćpana dobrodzieja!...

Gdy tak wzajemnie prawią sobie starzy komple-
menta w smaku czasu owego, usunęli się nieco, by
natłokowi ustąpić, a stolnik nagle jak sparzony,
ogromne oczy na kupca wytrzeszczył. Falkowicz, któ-
ry go już może za nowo przybyłymi nie widział,
odezwał się do kogoś; dźwięk jego mowy doszedł
uszu pana Kornikowskiego. Schmurzyło się nagle
oblicze, zacisnęły usta i pożegnawszy szybko Kor-
dziłowicza, który miał intencję wprosić się na
miodek lub węgryzna, o ile mógł szybko wynieść
się ze sklepu.

Ale jak wzruszony! jak trzęsący! jak błady! jak

oddychający ciężko! Oczy mu mgłą zaszyły, łąza może i ze schodów, o których zapominał, tylko co się nie stoczył; przecież Kordziłowicz go jakoś podtrzymał, co dało powód do nowych uścisków i poleceń pamięci, a stolnik, jak napiły, powlókł się, sam nie wiedząc dokąd, i zamiast ku Ratuszowi, skręcił się ku Dominikanom, zapomniawszy, że na niego czeka Dorota.

Poznał on ten głos, chustka się nieco usunęła, dojrzał twarzy i był przekonany, że w istocie Siekierzyński został kupcem.

Był to cios tak dla niego wielki, straszny i niespodziewany, że w początku powtarzał tylko: kupiec! kupiec! i szedł jak przybity. Zastanowił się chwilę, zbierał myśli.

— Niech kaduk porwie! szal szal ani mu powiem, zem go poznał! potrzeba to utopić! żeby świat nie wiedział, nie widział, nie domyślił się. Wstyd! hańba! strata szlachectwa! Siekierzyński! Siekierzyński! a! a! gdyby się nieprzyjaciele ich dowiedzieli!

I pochwycił się oburącz za głowę.

— Nikt! nikt o tem wiedzieć nie powinien! ani ja! ani ja nawet! Falkowicz! Falkowicz! szaleństwo! jakiś głupiec mu to doradził, a on głupiec drugi, że to przyjął! A! rozumiem teraz, naco mu potrzeba było pieniędzy! Gdyby się był utopił, nie tylebym się dziwował! Ale kupcem zostać Siekierzyńskiemu! Nie lepszać nędza, ubóstwo, żebranina... wszystko lepsze...

I rozprawiałby tak stolnik długo może, gdyby go Dorota, dognawszy, nie chwyciła za rękę.

— A co? — spytała — a co! nieprawdaż?

— Przeżegnaj się, kobieto! — odparł żywo pan Kornikowski—co tobie było w głowie. No! głos podobny! Ale cóż z tego? To starzec!... tu go w mieście od lat kilkunastu znają bardzo dobrze! Pytałem ludzi! Gdzie zaś! a broń Boże byś to komu powtórzyła, ot zgubiłabyś chłopca.

— Ale mogłam-że się ja omylić?

— I jak najpewniej, powtarzam, toć go tu od piętnastu może lat znają. Imaginacja! obłąd! porzuć to! porzuć! Takeś mnie nastraszyła, a nadarmo! gadałem z nim sam! Gębę ma zawiązaną, bo mu cyrulik szczęki nadłamał, zęba dobywając.

Dorota, zbита z tropu i zgromiona, zamilkła. Stolnik, wielce poruszony, powoli teraz i spoczywając szedł na Winiary. Stara sługa zadumana, nie umiejac sobie wytłumaczyć swojej omyłki, wyrzucając sobie, że z taką pewnością takie dzieciństwo poplotła i stolnika daremnie przeraziła, smutnie ciągnęła się za nim w milczeniu. Obwiniąta siebie i rada była razem, że to się bajką okazało, bo krok tak dziwny zdawał jej się nieledwie występkiem w obliczu przeszłości Siekierzyńskich.

Był to czas, w którym klasy nieszlacheckie zupełnie pojmowały tę wyższość szlachty i zaszczytu przypuszczenia do niej dobijały się wszystkimi środkami; cóż dopiero szlachectwo takie jak Siekierzyńskich, odwiekuiste, starożytne, za coś nadzwyczajnego uchodzące w sąsiedztwie i tak poważane powszechnie!

Stolnik ze swojej strony obracał ten wypadek na wszystkie strony; przypominał charakter Tadeusza

i pojąć nie umiał, co mu się stało; nie wpadał wcale na myśl, żeby to z bogacić mogło, a brzydząc się po szlachecku kupiectwem, jako stanem wyrabiającym w człowieku chciwość, i wedle wyobrażeń ówczesnych, służebniczym i podłym—nie mógł rozplątać węzła. Postanowił sobie w tej klęsce, którą go pan Bóg dotknął, gdyż nie inaczej nazywał Tadeusza zmianę stanu—udać, że się niczego nie domyśla, milczeć i modlić się, by ten szal jak najprędzej ustał.

Ale z drugiej strony sumienie szlacheckie kazało mu odezwać się, zreflektować, wprowadzić na drogę... Cóż tedy począć, mówić czy milczeć?

Długo rozmyślał pan stolnik, zastanawiał się nad swoim położeniem, rozbierał obowiązki, klócił się z sobą, robił wyrzuty i tak dzień cały spędził w niepokoju największym. Bardzo późno w noc drzwi od sieni skrzypnęły i Tadeusz wszedł do dworku, czekała na niego Dorota z wieczerzą i oznajmieniem, iż stolnik przyjechał.

Nic na to nie odpowiedział Siekierzyński, rzucił tylko opończę i spiesźnie udał się do izdebki pana Kornikowskiego, który chodząc powoli, odprawiał wieczorne pacierze.

Na widok winowajcy staruszek zarumienił się, pomieszał, ale otworzył mu ramiona z serdecznością i w tej chwili postanawiając nic nie mówić i udawać, że nic nie wie, powitał go głosem:

— A witaj-że, witaj-że, Tadeuszkol coż to jest? skąd-że tak późno? — Siekierzyński, może nieprzygotowany do zręcznego kłamstwa, rzekł:

— Byłem u oo. jezuitów, u księdza Ksawerego, u którego zwykle całe dni przepędzam.

— Cóż to? czy cię tylko ojcowie nie ciągną do zakonu? he? przyznaj się! wiesz, że ojciec twój i matka byli podobnej myśli przeciwni. Świat szeroki, zawczasu nie trzeba go sobie zawiązywać.

— Ale ja o tem wcale nie myślę—rzekł Tadeusz.

— No! a cóż porabiasz? co zamierzasz? co myślisz? *quid proponis?*

— Jeszcze sam nie wiem—cicho odparł Siekierzyński.

— Daruj, bo to z przyjaźni dla ciebie, ale niepokojny jestem, co też zrobiłeś z pieniędzmi?

— Z pieniędzmi? tymczasem złożyłem je u oo. jezuitów.

— Wszystko u jezuitów! u jezuitów! zaprawdę, wielki z waćpana jezuita—rzekł stolnik, chodząc powoli—i to pewnie?—dodał.

— Masz-że pan powód wątpić o tem?

— Ja? nie; ale to lokata osobliwsza, przyznam ci się.

— To nie lokata, skład tylko, tymczasem obmyślał, co z sobą zrobię.

— I niceś pan nie postanowił?—silnie wpatrując się w niego, spytał stolnik.

— Dotąd nic jeszcze.

Stary głową pokiwał, chciał wytrwać w milczeniu, ale oburzony postępowaniem Tadeusza, a więcej tajemnicą, którą chciał przed nim zachować, odezwał się wreszcie:

— E! do kaduka! przynajmniej ze mną przestał-

byś udawać, Tadeuszu, to nicpotem i na nic ci się nie przyda. Ot, co tu tergiwersować, ja wiem wszystko.

— Co takiego? — spytał bardzo naturalnie Tadeusz zdziwiony.

— Co? pytasz mnie jeszcze! co! dziwactwo czy szaleństwo twoje bezprzykładne, bo nie wiem, jak to nazwać! Człek takiej parenteli, takiego nazwiska! takiej ekstrakcji! Gdybym na moje oczy nie widział, do śmierci bym nie uwierzył, choćby mi stu świadków przysięgało.

— Ale cóżeś pan widział? — czerwieniąc się spytał Siekierzyński.

— Porzuć, waćpan, to udawanie; niedość ja, ale i inni cię poznali, to się utaić nie może.

— Panie stolniku — silnie odezwał się Tadeusz z gniewem, który błyskał mu w oczach, tak że Kornikowski zachwiał się w swoim przekonaniu — panie stolniku! cóż to są za enigmy? o co mnie posądzasz?

Stolnik oniemiał, zdawało mu się, że się nie mylił, a uparte przeczenie pupila wprowadzało go w wątpliwość, nie wiedział, co począć; po chwili przecie otrząsł się z tego odurzenia i z nową mocą zawołał:

— Panie Tadeuszu! zrobiłeś głupstwo, wczas się cofnij, póki się to jeszcze nie wydało, mało kto wie o niem; utopimy to nieszczęśliwie dziwactwo, wyjedziesz na wieś i nikt wiedzieć nie będzie, żeś się tak dobrowolnie splamił!

— Ja! splamił! ja! na Boga, stolniku! mów-że i czem? — Tadeusz zdawał się tak szczerzy, że pan

Kornikowski znów się zachwiał w swoim przekonaniu. — Co u licha? miałabym się omylić? to być nie może!

— Przyznaj się! — rzekł ciszej — przyznaj, do czego ta komedja?

— To nie jest żadna komedja, ja nie wiem, co pan mówisz, o co mnie posądzasz? com zrobił? kto mnie poznał? gdzie? Ja się muszę dowiedzieć, muszę oczyścić!

— Ale cóż, u kaduka! wszakżem cię widział i co gorzej słyszał sprzedającego korzenie w sklepie Falkowicza pod ratuszem; wszakżeś mi dał swoją ręką funt rożków!

— Ja? co to jest? w jakim sklepie? panu się śni! ja? w sklepie? ja! kupcem, Siekierzyński! pan się zapominasz, pan rzucasz potwarz na syna przyjaciela!

I znowu tak silnie, z takim uczuciem wymówił te słowa, że stolnik osłupiał, odurzał, ruszył ramionami, podniósł wargi z wąsem, jak zwykł był, gdy mu się co przykrego trafiło i rzekł:

— Miałabym się omylić? cóż u licha! Ale głos ten nie był deceptją!

— Ja tego nie rozumiem! proszę mnie to wytłumaczyć! — dodał żywo Tadeusz.

— Co tu tłumaczyć! — odparł stolnik — tu niema nic do tłumaczenia! przepraszam pana Tadeusza, jeśli się omylił, i po wszystkim, boć i mnie się to bardzo dziwnem zdawało, żeby miał Siekierzyński mydło i świece sprzedawać!

Tadeusz rozśmiał się, ale dziko i dziwnie.

— Kochany stolniku! — rzekł, siadając — znasz mnie od dzieciństwa, skąd-że ci taka dzika myśl przyjść mogła? Byłem nieraz w tym sklepie, o którym mówisz, niedawno założony. Tego Falkowicza znają tu od lat kilkunastu, jest to starzec chory, siwy, cóż za stosunek? jakie podobieństwo ma ze mną?

— Ale ba! — wpatrując się uważnie w oczy Tadeuszowi, mówił pan Kornikowski, — *vox similissima!*

— On rzadko się kiedy odzywa i to z pod chustki.

— Ba! ale jak się odezwie!

— Dzieciństwo! przywidzenie! imaginacja! — żywo zagadał Tadeusz, — kto myśl taką mógł podrzucić? Ja! Siekierzyński! syn takiego ojca kupcem! Pan mnie znasz i mogłeś mnie tak lekko i płocho posądzić.

— Jeśli płocho, to daruj, — przerwał stolnik, ciągle usiłując w oczy patrzeć Tadeuszowi, jakby przez nie do głębi duszy chciał się dostać — ale jeśliby to przypadkiem miała być prawda! czy rozważyłeś konsekwencje? Infamja! postradanie szlachestwa! tego żadne pieniądze w świecie nie opłacą! A *dubitandum*, czy i pieniądze z tego frymarku być mogą.

Tadeusz się roześmiał, zdawało się że szczerze! Panie stolniku — rzekł uprzejmie, — skądże myśl podobna? pan tak rozważny, mogę powiedzieć, tak subtelnie przebiegły (wyraźnie ujmował go pochlebstwem), mógłżeś wpaść na przypuszczenie takie, pozwól powiedzieć, dziecinne. Wszakże znasz pan mnie od dzieciństwa, mnie, rodziców, pochodzenie i wiesz jak cenię mój klejnot szlachecki.

Stolnik milczał, potem nagle zapytał:—Ale cóż tedy robisz od świtu do mroku? jużciż u oo. jezuitów *a diliculo ad noctem usque* siedzieć nie możesz? Gadał!

— Rozumiem, skąd to się tych wszystkich urojeń i bajekabrało,—odpowiedział zimno i powoli Tadeusz.—Poczcwi ale nieroztropni starzy moi musieli cię nastraszyć, panie stolniku kochany, musieli cię zaalarmować, że bardzo rano wychodzę, a w nocy aż powracam. Któreś z nich dostrzegło, że codzień do kamienicy Falkowicza wnijdę i zniknę i ot baśnie sobie potworzyli!—Ruszył ramionami.—Ale to absurda! któreś z nich dosłyszało głosu podobnego do mojego i nastraszyli się z wielkiej o mnie pieczołowitości... Gdzież podobieństwo do tego!

— No! ale cały dzień nie siedzisz u jezuitów?

— Nie, panie stolniku, i miałem ci właśnie mówić o moich projektach, gdy mnie tak niespodziane napadłeś...

— *Insuperate et a tergo!*—dodał stolnik, śmiejąc się,—ale jeszcze nie ze wszystkiem uspokojony. Tadeusz tak mówił dalej.

— Część dnia spędzam z ojcem Ksawerym na naukowych zatrudnieniach.

— I to nicpotem szlachcicowi, wszakci do zakonu nie wstąpisz i bakałarzem nie zostaniesz?

— Tak, ale łacina potrzebna zawsze.

— A! łacina to co innego! ja sam język ten po naszym *primo loco* kładę i nie chwałąc się, posiadam go *expedite*.

Tadeusz bardzo nieznacznie się uśmiechnął i ciągnął znowu.

— Resztę dnia w tejże kamienicy na górze zajmuję się nauką prawa.

— Nauką prawal Cóż to, chcesz do palestry wstąpić? A i to ślicznieby był

— Nie, panie stolniku; ale któremuż szlachcicowi nie potrzebna prawa znajomość?

— To prawda! ale waści to nie pilno, bo o cóż, u licha, prawować się będziesz?

— Al chociażby o Siekierzynek?

— O Siekierzynek! — Stolnik się zastanowił. — Ba! sprawa ciężka! *nil desperandum*, tytułu dziedzictwa nie mają. Byłeś małoletnim, przedawnienie nie zaszło. Ale czemuże wykupić?

— Kto wie? później! ożenienie, spadek! los! wszystko w ręku Bożem, panie stolniku! — To mówiąc, spuścił oczy trochę zmieszany i zamilkł. Pan Kornikowski trutynując co słyszał, milczał także i łysinę gładził, spojrzał na młodego człowieka, potem na swój srebrny zegarek. — Ale to północ, panie Tadeuszu, — rzekł — czas nam spać; ja jutro przez ranek jeszcze zabawię, ku południowi ruszę do domu, spodziewam się, że ranek ze mną przepędzisz.

— Ja? może być... nie wiem... wprowadzie kano mi być na konferencji bardzo rano, ale...

— Jużciż możesz mi kilka godzin darować...

Z tem się rozeszli, ale jak świt wybiegł ze dworku Siekierzyński i w pół godziny powrócił nazad, tak, że nim stolnik ubrał się, wymodlił i piwo grzane wypił, już był u niego. W nocy Kornikowski długo dumał, co na twarzy jego znać było, zdawał się

zachmurzony, ale o nic już nie pytał; pociągnął z sobą w miasto Tadeusza pod pozorem sprawu-
neczków do domu i mimo że ten go od ratusza
odprowadzał, wszedł z nim razem do sklepu Fal-
kowicza dla tem pewniejszego przekonania o wczoro-
rajszej omyłce.

Ale w sklepie dziś siedział tylko młody chłó-
pak jakiś, a starego kupca nie było, mówiono że
zachorował. To dziwne wydarzenie wzbudziło nowe
domysły w panu Kornikowskim, jakkolwiek z na-
tury swej nie podejrzliwym. Wrócili do dworku,
pan stolnik wybrał się w drogę zupełnie, usiadł
w kolaskę i gdy Tadeusz odchodził w jedną stronę,
on odjechał w drugą. Ale niedaleko zaraz na pla-
cyku w Winiarach kazał zawrócić furmanowi i je-
chać do ős. jezuitów. Przypomniął sobie, że ojca
Ksawerego znał z widzenia za życia pani skarbn-
kowiczowej i postanowił u niego o Tadeuszu się
coś więcej dowiedzieć.

Powoli, po nierównym tocząc się bruku, ko-
laska zajechała przed wspaniałą kościół jezuitów
i obszerne ich kolegium. Stolnik, który raz pierw-
szy zwiedzał to miejsce i nie był dotąd w żadnym
z jezuickich klasztorów, uderzony został fizjonomją
jego wytworną, wspaniałą, potężną i szczególnym
charakterem właściwym wszystkiemu zakonu tego
gmachom. W każdym innym klasztorze obejmo-
wała wchodzącego ze świata cisza, spokój, tęskne
jakieś religijne uczucie; tu pomimo oznak poboż-
ności, godeł religijnych, czułeś, żeś jeszcze nie zu-
pełnie rozstał się z wrzawą życia, z bojem jego.

Klasztor jezuicki był jakby czemś pośredniem między gwarem świata a zakonną ustronią, placem, na którym zwierła się życie i życia zaparcie. W samej jego budowie widziałeś myśl skierowaną ku pociągnięciu ludzi wytworem, blaskiem, wspaniałością, nagięciem się do smaku wieku. Symbole wiary złościły się, srebrzyły, kolorowały i migotały, przybrane bogato, strojne, wdzięczące; klasztor był wspaniały, obszerny, wszędzie w nim widny dostatek, wszędzie przeglądało staranie o pozór, o powierchowność, o ubranie.

Przez ciszę jasnych korytarzy słyszeć było często wesóły dobroduszny uśmiech, czasem dźwięk miły, głos słodziuchny, nigdy tego szmeru pokornej modlitwy podobnego do szumu lasów, który za serce chwyta w klasztorach innych zakonów. Ani tu śladu ubóstwa i wyrzeczenia się świata: uderzały kwiaty pielęgnowane starannie, rzadkie, z innych sfer przybyłe, kosztowne zegary, piękne i wielkie obrazy, krzyże nawet robotą lub materiałem zastanawiające. Znać było, że ludzie co tu żyli więcej odwrócenie byli do świata niż do Boga, że nie wyrzekli się pierwszego, ale panować mu chcieli. W twarzach zakonników uśmiechniętych, miłych, wysłodzonych lub poważnych czytałeś żądę ujęcia każdego i wyższości. Stolnik, który tak swobodnym był u księży kapucynów, tu znalazł się bojaźliwym, onieśmielonym, niespokojnym! ginał w ogromnym gmachu, a dziwił się co krok czemuś i nim się dopytał celi księdza Ksawerego, długo błądził po klasztorze, który mu wielkie dał wyobrażenie o zgro-

madzeniu Lojoli. Nareszcie braciszek laik, krawiec z powołania, w czarnej sukience, łysy, zgarbiony, grzeczny bardzo i niezmiernie pokorny, otworzył drzwi na pierwszym piętrze, nad którymi w dębowych rzeźbionych ozdobach umieszczony był obrazek z życia apostoła Indyj; i stolnik znalazł się nie w skromnej celi, jakiej się spodziewał, ale w miłym, jasnym i ślicznym acz nie wytwornie przybranym mieszkaniu, którego okna stroiły kwiaty, ściany obrazy, a kanapki i krzesła przypominały pańskie pokoje. W drugim pokoju, ksiądz Ksawery zajęty był nad książkami, które stół był zarzucony cały, zdając się czynić z nich jakieś wypisy. Piękny zegar leżący brązowy przeglądał w pośrodku ze stron pargaminowych białych okładek... Był to niemłody już człowiek, blady, słusznego wzrostu, z krótko obciętym włosiem, z twarzą zmęczoną i żółtą, ale z oczyma pełnymi życia; znać w nim było utrudzenie ciała, a podniecony żywot duszy. Uśmiech, którym powitał starego, był uprzejmy i pełen wdzięku, pośpiech z jakim na progu, odrzuciwszy księgi, przyjął pana Kornikowskiego, zdawał się wyrazem gościnności i serca.

— Cóż mi sprowadza pana stolnika! — zawołał, chwytając go za ręce, jakież to miły wypadek?

— Dawno to się należało — zmieszany odparł, kłaniając się nisko, pan Kornikowski, — ale jakżeś to wacpan dobrodziej łaskaw, że mnie starego służył swego poznałeś?

— O! o! myślisz więc, kochany stolniku, że w klasztorze pamięć tracimy? i owszem tem żywiej pa-

miętamy, im mniej osób pamiętać możemy, zerwawszy ze światem i rzadko się nań wychylając.

Stolnik się uklonił, odchrząknął, a jezuita, obok niego przysiadłszy, zdawał się wejrzeniem, uśmiechem zachęcać go do wynurzenia, którego oczekiwał.

— Jakże zdrowie stolnika? — zapytał.

— Zdrowie? — rzekł pan Kornikowski, pokazując nogi — gdyby nie to, byłoby jak na mnie dobre, ale szkapy się zmęczyły... a do tego często gęsto i po kościach łamania doświadczam, są to przypomnienia mogilne...

— Gdzież znowu, a z twarzy — rzekł ksiądz Ksawery — ślicznie mi pan stolnik wyglądasz, zdaje się, żeś jeszcze odmłodził.

— O! o! tak to w łaskawych jego oczach.

— Doprawdy! doprawdy!

— Właśnie, że to człowiekowi co chwila śmierć na myśli, przyszedłem do jegomości dobrodzieja poradzić się...

— W czymże mu służyć mogę? pewnie o pupilu mowa?

— A o kimżeby, jeśli nie o nim? Radbym żeby sobie stan i cel jakiś obrał.

— Dawnom go bardzo nie widział, — rzekł ks. Ksawery żywo i nie wiem, jak się kieruje.

— Dawno? — spytał stolnik z pryciskiem.

— O! tak! lat kilka jak mi znikł z oczów, szkoda go, jeśli pięknych danych mu od Boga zdolności nie użyje, młodzieniec zacny i głowa dobra...

Stolnik już wiedział co chciał wiedzieć, wes-

tchnął, podparł się na lasce i kończył, nie dając do zrozumienia, że to, poco przyszedł, już otrzymał.

— I mnie też głowa boli o to, jakiby mu stan obrać?

— Prawdziwie nie wiem, jak na to radzić, choć kochałem i kocham go jako jednego z lepszych uczniów, ale czemu się dotąd zajmował?

— Zdaje mi się, że miał propensję niejaką do prawa.

— We wszystkich stanach Bogu i ludziom miłym być można, użytecznym społeczeństwu... ale w tej karierze tyle jest okazji do złego, tyle widzimy zmarnowanych pięknych zdolności, umysłu i serca...

— A zapewne! — odrzekł stolnik — lecz chciejcie mi z łaski swej, o ile znaliście mojego pupila, powiedzieć, do czego w nim postrzeżliście zdolność?

— O ile go pamiętam, — uważnie mówił jezuita, — chociaż teraz się bardzo mógł odmienić, górowały w nim zdolności do matematyki... Ale u nas, chociażby wysoko posiadał tę naukę, do czegoż ona poprowadzi? Gdyby matka i on byli się chcieli nakłonić na zostawienie go nam, mógłby, kto wie, zostać dobrym nauczycielem...

— Ale, ojcze dobrodzieju, do zakonu nie miał wokacji.

— Wielka szkoda, bo dla ubogiego sieroty, pięknego imienia, którego podnieść nie może, byłoby co stosowniejszego, jak ustron klasztoru i nadzieje wysokich może w zakonie dostojeństw.

— Ostatni z imienia i domu, miał obowiązki.

— Nie wchodzę w to — rzekł jezuita. Ale czemuże się teraz zajmuje?

Stolnik się zmieszał; — uczy się prawa — odparł szybko.

— Al! kiedy już rozpoczął, nie pozostaje nam tylko pobłogosławić. I w tym zawodzie wiele dobrego uczynić można, byle z Bogiem...

Mówili tak jeszcze z półgodziny, a stolnik, przekonawszy się dostatecznie, że Tadeusz od lat kilku nietylko nie bywał u ks. Ksawerego, ale go w oczy nie widział, odjechał, pożegnawszy jezuitę, przeprowadzony aż do wschodów, smutny i niewiele wiedząc, jak i co począć dalej.

Rozkazał kolaskę nawrócić ku ratuszowi i zastanowić się na placyku, a sam poszedł do sklepu Falkowicza. Tu już gospodarzył stary kupiec sam, jak zawsze obwinięty, okutany i niezmiernie zajęty. Na widok pana Kornikowskiego nie zdawał się bynajmniej zmieszany, podał mu, co ten sobie życzył, na zapytanie jego parę razy z pod chusty odpowiedział nawet, ale głos był tak dziwnie odmienny, iż już wcale młodego Siekierzyńskiego nie przypominał. Dla obcego nawet poznać w Falkowiczu Tadeusza było zupełnem niepodobieństwem, tak doskonale inna to była postać, mina, wiek, twarz nawet; stolnik co go od dzieciństwa na kolanach wykołysał, acz nie pewien swego, wyszedł ze sklepu mocno wzruszony i wątpiący.

— Cóż począć? znowu nań czekać we dworku i usiłować wymóc zeznanie? byłoby nadaremnie, złapać go na uczynku? niepodobna... lepiej to wszyst-

ko Bogu polecić i do domu wracać, jakby się o niczem nie wiedziało; bo przypuściwszy nawet, żeby się Tadeusz przyznał, czy poprawić się zechce?

Nadumawszy się długo, pan Kornikowski kazał furmanowi ruszać do domu, a ludzie tylko uważali, że przeciwko swojemu zwyczajowi całą drogę milczał, wzdychał, facecuj i przysłowi nie powtarzał, wreszcie do Czerczyc, swojej wioski, przybywszy, z wielkiego zmartwienia rozchorował się ciężko.

Szczęściem że nie wezwał doktora Vogelwiedera, który miał szczególny talent wyprawiania na łono Abrahamowe starych pacjentów w jak najkrótszym czasie, a sam się sobie gorącą wodą, nacieraniami, rumiankiem i domowymi specyfikami leczył i po dwóch tygodniach łóżka, powstał na nogi. Żyd — cyrulik Moszko doglądał go tylko i trochę mu krwi upuścił, kilkanaście baniek na krzyżach postawił, poczem, wzięwszy pół korca pszenicy, do miasteczka odjechał.

Sąsiedzi, proboszcz i krewniak daleki, bawiący przy stolniku, obserwowali, że od powrotu z Lublina jakby ciężką tajemnicę i strapienie w sobie trawił; często wzdychał, narzekał, niekiedy do siebie sam pomrukiwał i ramionami ruszał, wreszcie co wprzód bardzo często o Tadeuszu mawiał, teraz nawet pytany przez proboszcza, milczał lub zbywał go tylko. — Dorósł... niech sobie sam radzi, jak sobie pościele tak się wyśpi!

— — — — —

Dziesięć lat w powieści jakże to szybko ubiegał ale w życiu ileż to w latach dziesięciu mieści się

cierpienia, pamiętnych chwil, ciężkich a długich dni i godzin! Strat niepowetowanych i zmian w człowieku, w ludziach, we wszystkim otaczającym! Są wprawdzie tak szczęśliwi, kto inny nazwałby to przeciwnie, co po latach dziesięciu odwróciwszy się twarzą ku ubiegłemu, niewielką widzą różnicę między niemi a jutrem, ale to wyjątki... ale to ludzie z żywotem kamieni, co tylko trochę mchem porosną, z miejsca się nie ruszywszy, nie malejąc, nie rosnąc, nie dbając, co ich otacza.

Lat dziesięć jaka to zmiana w domach i na cmentarzach! Ile tu przybywa kolebek, tam świeżych lub porośłych już mogił! I z naszych znanych znajdziemy kilku nie na swoim dawnym miejscu: stary Maciej dawno śpi ze swoją rogową tabakierką na mogiłkach kapucyńskich, Dorota siedzi pod piecem, niedaleko za dom mogąc się ruszyć, bo już czasem kija używa na pomoc nogom zbolałym i stęka, że jak dawniej pracować nie może. Ksiądz proboszcz, dawny przyjaciel Siekierzyńskich, spoczął także na cmentarzu w Siekierzynku, w mogile, którą sobie przeznaczył w rogu murów opasujących kościołek, pod kośnicą. Stary Piotr Kornikowski, stolnik nurski, żył jeszcze i prawił po łacinie, ale się często zapominał, z krzeselka nie wstawał i na ganek tylko, na rękę sługi wsparty, czasem pięknego dnia wychodził.

Przejeżdżał się rzadko, do kościoła, w sąsiedztwo, ale smutny, pragnący rozrywki, uspokojenia, a nigdzie ich znaleźć nie mogąc.

W Siekierzynku szumno i tłumno hulają Wichu-

łowie młodzi, a o starych już ani słyszeć, bo i pan brat i wdowa pomarło to jedno po drugim, a dzieci się rządzą jak szare gęsi. Ludzie pocziwi, pomimo kilkudziesięciu już lat ubiegłych od wypędzenia dawnych dziedziców, pamiętają starych panów i część wsi, która do nich należała, zowie się Siekierzyńszczyzną, a druga, tylko mniejsza, Wichulińszczyzną; pokazują miejsce, gdzie stał dwór, opisują budynek, mówią o obyczajach swoich panów, o ich rodzie i pochodzeniu, i jak to zwykle bywa, byle pana nie stało, powtarzają z westchnieniem: — Oj! nie tak to było za naszych starych panów!

A tymczasem naprzeciw ratusza lat dziesięć sprzedaje pan Falkowicz pieprz, świece, imbier i rodzenki i ludzie się niepomalu dziwią, że tak nie starzeje, że kaszlący, chory, zgarbiony, zawsze od rana do nocy pracuje, a nie skarży się i nikim nie wyręcza; a niejeden powtórzył przysłowie: „Skrzypiące drzewo najdłużej trwa!” Współkupy, mieszczanie zazdrośnem patrzą okiem na Falkowicza sklep i pokup, mówiąc pocichu, że musiał chwycić piasku skrwawionego z pod szubienicy, taki zawsze u niego natłok, ścisk i wrzawa kupujących, tak szybko rozchodzące się towary. Ale prawdziwym piaskiem krwawym pana Falkowicza to krwawa jego praca, wytrwałość i rzetelność i nikt go nie złapał na pociągnięciu ceny, na sprzedaży nadpsutego towaru; woli go wyrzucić na ulicę, niżeli zamieszać z lepszym lub taniej nawet się go pozbyć. To też wszyscy prawie ciągną pod ratusz i kupiec coraz to powiększa sklep, coraz to rozszerza swój han-

del, a zawsze taki pokorny, cichy, zawiązany, zakapuziony i wiecznie ze swoją szczęką bolącą się nosi.

Aż jednego poranku po latach dziesięciu, zamknięto drzwi kramu, i po kilku dopiero dniach zjawia się nowa tablica nad wystawką, inny znak, inny kupiec wcale, a Falkowicz zniknął i jak w wodę wpadł. Pytają o niego ludzie, co się też z nim stało, bo byli i tacy, co go mimo milczącego i posępnej twarzy polubili, co do niego przywykli, a młody kupczyk, jego zastępca, pan Cerażynowicz, odpowiada z uśmiechem, że poprzednik jego zachorzał, wyjechał na wieś i umarł.

— Jakaż to szkoda tego poczciwego Falkowicza! — powiadają sobie kumoszki, wracając ze sklepu — proszę wasani! umarł! A taki zdawał się jeszcze silny, krzepki, jakgdyby młodził i pod koniec odzywał się nawet lepszym głosem, ale musiał to być już bardzo stary człowiek! O! już ten młokos Cerażynowicz go nie zastąpi. Uważasz wasani, że mi dał daleko mniejszy funcik pieprzu i dziecku nawet figi nie podarował, jak bywało stary Falkowicz!!

I stara Dorota zdziwiła się, gdy po latach dziesięciu samotnego życia we dworku, w ciągu których ledwie w niedzielę i święta widywała Tadeusza, postrzegła go jednego poniedziałku nie rano, przy szabli wychodzącego w ulicę, a powracającego w godzin kilka. Zbita z tropu przez stolnika, poczciwa niewiasta już od owych początków, a zwłaszcza od śmierci Macieja, nie wychodziła prawie z domu i nie wdawała się wcale w to, co mógł pó-

rabiać Siekierzyński. Przywykła do jego rodzaju życia, pewna, że gdzieś przy mecenasie aplikował się, nie śmiała go nawet pytać o to. Pan Tadeusz tymczasem wyrósł, zmężniał, ale się nic nie odmienił; tych lat dziesięć, tajemniczo za domem spędzonych, uczyniły go mężczyzną, a umysł pozostał czem był, gdyśmy go znali wyrostkiem. Milczący, skryty, smutny, zamysłony, bez związków w mieście, stosunków i znajomości, pędził życie tak regularne, tak odludne, a tak jednostajne, że i Dorota wydziwić mu się nie mogła.

Stolnik niekiedy zajrzał do Lublina, ale *contra consuetudinem* nie stawał nawet we dworku i często się nie widywał z panem Tadeuszem, a obchodził się z nim zimno i ceremonjalnie. — Wkońcu od lat już trzech nie zajrzał do miasta, co nie dziw, bo się był podstarzał, a kawał drogi jechać było z pod Czerska do trybunalskiego grodu. Mieszkał on zawsze w swojej małej wioszczynie tak jak sam jeden, z dalekim krewnym tylko, mając się zawsze jeszcze za gospodarza, choć już tylko z ganka i z izby gospodarował. Uważano, że jak dawniej lubił mówić o Siekierzyńskich, tak teraz o nich ani wspominał, a gdy mu kto poddał ich, powiedział słów kilka o skarbnikowiczu i urywał, by o Tadeuszu nie mówić ani źle ani dobrze.

Wielkie to było podziwienie Doroty owego pamiętnego poniedziałku, gdy zobaczyła swego wychowańca przy szabli, powracającego do dworku około południa i z taką jeszcze rozweseloną twarzą, pogodnem czołem, tak żywo i młodo idącego,

jak nigdy. Nawet do niej kilka słów przemówił uśmiechnięty.

— No, moja Doroto — rzekł — wynudziliśmy się dosyć w mieście i wywędzili, może pan Bóg da, że pojedziemy na wieś, tymczasem ja teraz już częściej będę z tobą, przygotuj-że mi co zjeść.

Dorota odmłodziła, głos jego posłyszawszy i pobiegła raczej niż poszła do kuchni naradzić się z Kaśką służącą, którą od lat kilku do pomocy sobie przybrała, coby paniczowi zrobić na obiad. W mieście to łatwo, bo wszystko pod ręką — a Dorota tak była czegoś szczęśliwa, że się te wycieczki skończyły, że Tadeusz gadał do niej i chodząc u siebie po izbie, świstał nawet!! — Po obiedzie, który był wyśmienity i przypominał lepsze, stare czasy w Siekierzynku, odpoczął trochę Siekierzyński, a gdy zmierzchno, puścił się (tylko już bez szabli) na Grodzką ulicę.

Tu wszedł do pięknego domu na pierwsze piętro i jak stary znajomy, przestąpił próg dostatniego mieszkania Michała Balcera, kupca i mieszczanina lubelskiego. Był to ten sam tłusty, rumiany, wesoły jegomość, którego dawno przedtem spotkał Tadeusz na przechadzce za zamkiem w szamerowanej bekieszcy.

Staruszek, siwy już dobrze, siedział w krześle wygodnem koło okna wychodzącego w ulicę i patrzył na ruch miejski, nie mogąc już w nim uczestniczyć; nieco opodał za stołem zajęta jakąś robotą, w okularach na nosie, poważna matrona mówiła coś do małego dziecięcia, które koło niej kręcąc

się, szczebiotało. Dzieciak był rumiany, z bystrem spojrzeniem, śmiały i wesoły. Przy pani Michałowej, z robótką także, odpowiadając coś i uśmiechając się, siedziała młoda mężatka; synowa kupca, uważnem okiem śledząc każdy ruch chłopaka swego. Z drugiej izby przez drzwi wpółotwarte, piękna młodej dziewczynki głowa, strona we włosy jasne, ciekawie zdawała się czekać wejścia Tadeusza.

Pokój był raczej bogato niż wytwornie ubrany; wszedłszy, widziałeś, że to nie próżniaczy bawialny salonik wiejski, w którym tylko gości przyjmują pogadanką i ukłonami. Naokoło stały gdańskie piękne mebliki, ciekawe sprzęty cudzoziemskiej ręki dzieła, zegary sztuczne, kufrы obijane skórami morskich zwierząt i złożonemi bronzami, pudła z hebanu i słoniowej kości, srebrne misternej roboty puhary. Po ścianach było kilka pobożnych obrazów ze szkoły gdańskiej, i portrety kilku królów. W pośrodku obok stołu przepyszne cacka z różowego drzewa, ozdobne rzeźbą z kości i kruszcu, był kołowrotek pani Joachimowej z jedwabiem, który związała. Na szafeczce pokrajana sztuka materji zwieszała się, fałdując przepysznie; dalej kilka ksiąg rachunkowych, w ponsową skórę oprawnych, otwierało swe karty gęstemi podzielone linjami. Wszędzie obok dostatku widać było ślady pracy i zajęcia.

Zaledwie ze drzwi półotwartych ukazała się w mroku twarz pana Tadeusza, wszyscy go prawie powitali uśmiechem, słowem, skinieniem. Kupiec wstał z krzesła i przyszedł go przywitać, żona jego wskazała mu siedzenie, uśmiechnęła się pani Joachi-

mowa, ale wejrzenie z za drzwi młodej dziewczynki nad wszystko było wymowniejsze. Główka jej jak zjawisko idealne ukazała się tylko, rozpromieniła weselem i znikła.

— Witaj-że, panie Marcinie! witaj! sto lat! sto lat, jakeśmy się nie widzieli! — zawołał kupiec — cóż robicie, jak się wiedzie?

Tadeusz, nazwany Marcinem przez kupca, przywitał wszystkich poufale, usiadł i drżącym prawie głosem rzekł do kupca:

— Dziękuję, dziękuję... Ot, panie Michale do-brodzieju!... przyszedłem was pożegnać.

— Co? jako? chyba na krótko — zmieszany trochę rzekł kupiec.

— Na krótko? długo? nie wiem prawdziwie, ale mi potrzeba dla interesów ruszyć w dalszą trochę drogę.

— No, dokąd-że i skąd tak nagłe projekty?

— W Ruś ku Lwowu do swoich pojadę — odparł, spuszczać oczy, Tadeusz.

— Ale zpowrotem myślę? nieprawdaż? — rzekł stary przysuwając się — zpowrotem do nas, bo kto raz żył w pocziwym Lublinie, nie potrafi tam potem w Rusi wymieszkać!

— Ale trzeba zajrzeć do swoich.

Na te wyrazy nadeszła młodziuchna dziewczeczka Ludwisia, córka kupca, której piękne liczko zabłysło nam już przeze drzwi; na widok Tadeusza zarumieniła się, zmieszała, on także trochę, zakreśliła po pokoju, chwyciła robotę i pobiegła usiąść przy matce, a ta jej coś na ucho szepnęła. Cała w płó-

mieniach, krasna jak jabłuszko, Ludwisia porzuciła robotę i w chwilkę wróciła z talerzem jabłek, butelką wina i dwoma kieliszkami w ręku na ślicznym srebrnym półmisku.

Tymczasem stary kupiec rozmawiał z Tadeuszem, zowiąc go ciągle Marcinem i przekonany będąc, że na Ruś wyjeżdża. Mieszały się do rozmowy pani Michałowa i Joachimowa, a Ludwisia tylko spojrzeniem i rumieńcem dawała poznać po sobie, że w niej także uczestniczyła. Wzrok jej od roboty często się podnosił na Tadeusza i wracał na materję, którą miała w rękach, nie bez wzruszenia. Siekierzyński także parę razy jakby z żalem i litością spojrział na nią, ale słowa nie rzekłszy, wkrótce wziął za czapkę i zabierał się do wyjścia. W tej chwili Ludwisia znikła z pokoju tak cicho, tak szybko przesuwając się mimo bratowej i matki, że jej nie dostrzegły. Gdy Tadeusz chciał ją z kolei pożegnać, znalazł tylko miejsce próżne i zmiętą suknię, którą szyła, rzuconą na siedzeniu, szukał jej oczyma we drzwiach, nie znalazł. Stary pan Michał przeprowadził gościa do pierwszej izby, zdawał się nad czemś myśleć głęboko, wahać się, chcieć czegoś i nie śmieć. Byli u drzwi; Tadeusz wzruszonym ale cichym głosem rzekł kupcowi:

— Pozwól pan, bym mu jeszcze raz podziękował za dobrą radę.

— O! a za cóż? — spytał Michał, śmiejąc się, ale tylko ustami, bo widocznie był smutny.

— Często jedno w porę wyrzeczone słowo zmienia los człowieka... pamiętasz pan lat temu dziesięć

naszą rozmowę na przechadzce za zamkiem? i jakże mi pan opowiedział życie swoje?

— No i coś z tego?

— Myślałem, pracowałem i winienem panu spokojny byt mój na przyszłość, który zyskałem, nie mówię jaką... pracą... alem go się dorobił sam i winienem go tylko sobie.

Pan Michał słuchał, łzy miał w oczach. — Bardzo szczęśliwy — rzekł, — więc wiecie co — dodał, — posłuchajcie mnie raz jeszcze... Nie gońcie za dalekiem szczęściem — dola, szukajcie ich koło siebie... Ot, wiecie co, wam to powiem otwarcie... Znamy się potrosze lat dziesięć. Ludwisia w waszych oczach wyrosła na dziewczynę, dam jej także jakich siedem tysięcy dukatów posagu pod poduszkę i porządeczek białogłowski jak się patrzy; jeśli czujecie do niej serce, niech Bóg błogosławi. — To mówiąc, głos starca był drżący i bojaźliwy. Tadeusz spuścił głowę i westchnął głęboko, zdawał się mocno wzruszony, przycisnął czapkę do piersi, podniósł głowę i rzekł z uczuciem:

— Gdybym był panem siebie, panie Michale, uczyniłbyś mnie szczęśliwym, bardzo szczęśliwym ale ja zależę od familji, jadę do niej, a jeśli powrócę, to żebym wam podziękował.

— Rozumiem, rozumiem — odparł kupiec, — jedźcie, radźcie się, szanujcie wolę starszych, ale powróćcie do nas, dalibóg, nie znajdziecie nigdzie lepszych serc i życzliwszych sobie ludzi...

To mówiąc, Michał odwrócił się, bo oczy miał lez pełne, a Tadeusz zbiegł szybko na schody, spu-

ściwszy głowę, zadumany, usiłując prędkimi krokami jakby sam uciec od siebie. Wtem mignęła mu biała sukienka, Ludwisia szła z dołu kamienicy ku górze, uchylił się, podniósł czapkę, oczy się ich spotkały. Twarz jej pałała, on bledszy był niż zawsze, stanęła przed nim z uśmiechem smutnym i chciała coś mówić a nie mogła.

— Pan jedziesz? — odezwała się nareszcie pocichu.

— Jadę i żegnam panią, daj Boże do zobaczenia.

— Ale prędko? — spytała — prędko... i nie zapomnisz, pan, o nas?

— Nigdy! — rzekł Tadeusz nieśmiało.

— I powrócisz pan?

Siekierzyński spojrzał do góry, jakby nie wiedział, czy spodziewać się może; wtem zaszeleściło coś na górze i Ludwisia jak jaskółka poleciała, zostawiając go na chwilę osłupiałym, pomieszanym, drżącym.

Ale krótko trwał ten stan, jakby coś sobie przypomniał nagle, rzucił się wdół schodów i, nie oglądając się, pobiegł ulicą na Winiary.

Nazajutrz Dorota dowiedziała się, że panicz jechał w Mazowsze, a obietnica, że może oboje później powrócą jeśli nie do Siekierzynka, to w sąsiedztwo dawnego dziedzictwa, tak starą sługę wzruszyła, że się natychmiast pakować zaczęła, w słodkiej nadziei, że to prędko nastąpi. W kilka dni buda żydowska wywiozła pana Tadeusza z Lublina, a w dworku została sama Dorota, Kaśka i stary Mazur najęty na stróża, który wynalazłszy po Macieju pozostałą donicę, wałek, trochę tytuniu i puste pęcherze, zajął się fabrykacją tabaki w wolnych

od zatrudnień chwilach. Nie była to wszakże owa sławna, systematycznie i pedancko robiona maciejówka, po której nosy kilku mieszczan długą nosiły żałobę.

Pan stolnik nurski kazał się być wynieść w ganek i odmawiał pocichu różaniec, spoglądając przez sad na płynącą w oddaleniu Wisłę; gdy zaturkotało na drodze, otworzyły się szerokie wrota i wielka żydowska bryka wtoczyła się z wielkiem wywijaniem batoga przed ganek. Stolnik nie mógł pojąć, kto taki przyjechał i widząc wysiadającego, jeszcze poznać nie potrafił — a już pan Tadeusz stał przed nim z nieśmiałą i pokorną miną i czekał powitania. Stary, próżno łapiąc się za poręcz ławki, chciał powstać do swojego gościa, sił mu brakło, wołał więc ludzi:

— Kasprze! Jędrus! a chodźcież! — I to mówiąc, wpatrywał się uważnie w twarz przybyłego, coś mu się przypominało, chciał witać, wahał się.

— Jakto, kochany stolnik mnie nie poznaje?

— Darujesz waćpan dobrodziej starym oczom, ale...

— Ani po głosie?

— Owszem, *certa similitudo*, przypomina mi.

— Panie stolniku, pupila swego.

Jakby go gorącą wodą oparzył, pan Kornikowski, pamiętny kupiectwa, trochę się cofnął, skrzywił i bąknął:

— A pana Siekierzyńskiego.

— Stolniku dobrodzieju, tak-że to się wita wychowańca?

— Proszę siadać, proszę siadać — rzekł Kornikowski.

— Nie mogę usiąść — odparł, z dumą podnosząc głowę, Tadeusz — proszę mi wytłumaczyć na-przód powód tak zimnego przyjęcia?

Kto znał pana stolnika, a wie jak do śmierci był żywy i gorączka, wytłumaczy to sobie, że zniecierpliwiony w tej chwili zawołał:

— El mociumpaniel tłumacz to sobie sam do kaduka, nie żebym ja miał gębę paskudzić. A toć kto ważył i mierzył, tego za Siekierzyńskiego nie uznaję... a do Falkowicza interesu nie mam.

— Kto mi tego dowiedzie! — zawołał, czerwieniąc się Tadeusz — panie stolniku, są to nierozważne słowa i kalumnje nieprzyjaciół, żaden Siekierzyński się nie zbłąźnił, ani ja z ich rodu ostatni.

— Bredź sobie, kochanku! — odparł stolnik — kiedy oczy widziały, trudno nie wierzyć.

— Ale kto mi tego dowiedzie? — żywiej jeszcze zawołał Tadeusz.

Stolnik w oczy mu spojrzał. — Podaj mi, waćpan, rękę i chodźmy do izby — rzekł, — tam się rozmówimy.

Weszli tedy do ciasnego pokoiku i Kornikowski, usiadłszy na zwykłym miejscu przy stoliku, rzekł:

— No, mów-że waszeć, kiedy chcesz, bo nie chciałem, żeby ludzie nas słyszeli, i przyznaj się lepiej niżeli masz zapierać.

— Czego się mam zapierać i do czego przyznawać?

— Al do licha! do frymarku i kupiectwa!

— To bajka.

— Bywaj-że mi aśindzij zdrów, kiedy mi nie

wierzysz — rzekł stolnik żywo, stukając okulara ni po stole.

— Przypuszczając, żeby i tak było, jak sobie uprzedziście, panie stolniku, kto mi tego dowiedzie?

— pytał uparcie zaczerwieniony pan Tadeusz.

— Kto? gotowe o tem całe miasto wiedzieć!

— Ale wież o tem kto? mówił? wspominał?

— Wielkie rzeczy! ja tam nie bywałem od dawna.

— Pojedźcież, poślijcie, przekonajcie się i spytajcie!

— Ale czegożeś waść tu przybył? — rzekł stolnik — poco? między nieprzyjaciół rodziców twoich, którzy na ciebie odgrzebaliby z ziemi kalumnję gdyby mogli! Było przynajmniej jechać w świat...

— Niech sobie nieprzyjaciele szukają czego chcą — rzekł Tadeusz, — spokojny jestem, że nie znajdą nic; a ja tu musiałem przyjechać, bom wygrał jako tako proces z Łędzkimi.

— Co! *renovatum*? a toż to było skończono!

— Niezupełnie.

— Łędcy zapłacili 3,000 złotych, a myśmy ich pokwitowali.

— Nie mając do tego prawa.

— Co asińdziej pleciesz?

— Byłem małoletnim.

— Nieprawda.

— W istocie, brakło miesiąc do pełnoletności.

— *Stupendum*, i cóż tedy więcej mi myślisz nakłamać?

— Panie stolniku, tak mnie traktować się nie godzi.

Kornikowski ruszył ramionami tylko.—Cóż dalej?

— Musieli mi dać 20,000 talarów, a teraz zagamy z Wichułami o Siekierzynek—rzekł rezolutnie pan Tadeusz — i chyba nie Siekierzyński, jeśli ich nie wygonię stąd, gdzie pieprz nie rośnie.

— Tylko waćpan pieprzu nie przypominaj, suplikuję.

Siekierzyński się zaczerwienił po uszy.

— No, no! śliczne projekta! śliczne projekta! i waść tu przyjeżdżasz w myśli...

— Rozwinięcia procesu Wichułom, wszak tytułu dziedzictwa nie mają. — Stolnik pomyślał, milczał, milczał długo, nareszcie otworzył ramiona:

— Tadeuszu!—rzekł — jak pana Boga kochasz! nie przedawałeś wasan pieprzu?

Siekierzyński się zachwiał.

— Ale cóż za posądzenie! co za posądzenie, panie stolniku.

— No! mów! jak pana Boga kochasz? mów!

Tak zagadnięty, zaciął się Siekierzyński, zastanowił, jakgdyby szukał sposobu wywinienia, ale stolnik powtarzał ciągle nalegając: — No, powiedz jak Boga kochasz!

— Jeśli mi pan nie wierzysz na słowo — odparł Tadeusz wreszcie — upokarzająco byłoby dla mnie odprzysięgać się, myśl pan co chcesz.

Usłyszawszy te słowa, ręce roztwarte panu Kornikowskiemu opadły, spuścił oczy, westchnął.

— Stało się — rzekł z boleścią — stało! trzeba było tej hańby i upokorzenia, aby ostatni *ex illustri prosapia Siekierzyńciorum* zniżył się *usque ad mer-*

caluram i zaparł sam swego szlacheckiego klejnotu, swej dostojności *nobilis poloni!*... Ha! płakać potrzeba i radować, siadaj waść i mów mi, co myślisz z sobą?

Tadeusz usiadł, pocichu ocierając pot z czoła.

— Więc myślisz dopominać się Siekierzyńka? — spytał pan Piotr.

— Nietylko myślę, ale mogę, muszę i odbiorę go — rzekł stanowczo Tadeusz, — prawa moje są najczystsze i najjaśniejsze, papiery wszystkie w gotowości.

— A kogoż myślisz waść użyć do procesu? pamiętaj, że lat kilkadziesiąt upłynęło od czasu jakęście się stąd wynieśli, Wichułowie porobili sobie stosunki i przyjaciół: wy ich nigdy wielkich nie mieliście, nikt, chyba jaki *causidicus* i *causiperda* odarty, nie podejmie się twojej sprawy.

— Mniejsza o to! — przerwał Tadeusz — ja sam bronić jej będę, jestem gotów.

— *Paratus!* co? a gdzieżeście się tak ku temu przysposobili, w sklepie Falkowicza? he? Ale cicho! Tu nieraz przyjdzie *ore tenus* i *stante pede* długi głos powiedzieć, czujesz-że się na siłach?

— Na wszystko to jestem zupełnie gotów i asygnuje Wichułów do komportacji dokumentów i osobistej komparacji.

— Daj-że Boże szczęście — pocierając czoło, mówił powoli stolnik, — a dalej cóż myślicie?

— Dalej, odebrawszy Siekierzynek, siadam gospodarzyć jak inni, ożenię się i...

Stolnik ciągle głową potrząsał chmurny, niedo-

wierzący, zimny, zdawał się marzyć o przeszłości, teraźniejszości nie ufać, a Siekierzyński ledwie go ku wieczorowi rozruszał; nic jednak dawnej serdeczności wrócić nie potrafiło, którą kupiectwo Tadeusza rozerwało. Pan Kornikowski prosił wprowadzić pupilą, aby u niego zamieszkał do czasu, póki schronienia potrzebować będzie, ale czynił to widocznie dla pamięci rodziców, nie dla niego. Zostawiwszy szkatułkę pod łóżkiem pana stolnika, Siekierzyński ubrał się nazajutrz dostatnio, przypasał szabelkę ojcowską, wygolił twarz i czuprynę *more antiquo*, i staremi szkapami Kornikowskiego ruszył do Siekierzynka, którego wcale nie pamiętał, tak małym zeń wyjechał dziecięciem.

Na czele rodziny Wichułów stał wówczas pan Ksawery, rodzony syn ojca swego, szalawiła i hulaka, nieżonaty jeszcze i sam z rodzeństwem zamieszkujący dworek dziś wiele poprawiony, rozszerzony i upiękniony. Ksawery, oprócz wzrostu, którym prześcignął ojca, wielce go przypominał. Też same to były rysy twarzy, ta sama i charakteru gwałtowność; też złośliwość i zawziętość.

Bali się go sąsiedzi, rozlegały jego krzykiem sejmiki, a po miasteczku, gdy przechodził, szabla, spuszczone nisko, dźwięczała złowrogo. Miał zwyczaj pokręcać wąsa i poświstywać wszędzie, ledwie nie w kościele, a tak w siebie i swą siłę wierzył, że byłby się porwał na potęgę magnata i dwór jego cały ze swoją szerpentyną i nieustraszonem sercem. W domu on rej wodził nad wszystkimi, brat i siostry go słuchały ze drżeniem, chłopci chowali

się na widok jego, a sam proboszcz, następca znajomego nam księdza, pokornie czapkę przed tym kolatorem straszliwym zdejmował. Na żydów był to kat prawdziwy i dziwnym też chyba wypadkiem izraelita się u niego pokazał, bo szczuł psami, moczył w stawie jak konopie, wieszał ich potem dla obeschnienia, trzepać kazał z pyłu bizunami i tyśiące podobnych sztuczek płatał z nich każdemu. Jeden tylko faktor jego, Szmul ryżobrody, przywykły do bizuna, łajania, targania za brodę i wypychania za drzwi, miał do niego przystęp i wszystko jego robił interesa; bo któż u nas dawniej co począł bez żyda?

Do takiego to zawadżaki, opisanego zresztą dokładnie przez stolnika, śmiało, z papierami za nadrą, jechał pan Siekierzyński, chcąc rozpocząć sprawę od wyłuszczenia mu swoich pretensyj i usiłując zgodnie skończyć, jeśli było można. Bryczka wtopczyła się na dziedziniec, na którym właśnie pan Ksawery konia dzikiego ujeżdżał i z wielkiem podziwieniem gospodarza, wysiadł z niej całkiem mu nieznanomy mężczyzna.

Rzucił z przekleństwem szkapę rozsrożoną Wichuła i pospieszył na spotkanie Siekierzyńskiego, z czapką na bakier, w kitelku rozmamanym, czerwony, sapiący i gniewny.

— Kogoż mam honor powitać? — spytał,

— Mówię z gospodarzem domu, W. Ksawerym Wichułą?

— Tak jest, a honor pański?

— Tadeusz Siekiera Siekierzyński.

Na to dobitnie wymówione nazwisko (widać było, jak silne wrażenie uczyniło na gospodarzu) zaciął wargę, zmarszczył czoło i wskazał drzwi do izby. W izbie było jak w starym składzie, nie umieszczono, porozrzucano, nie porządknie; męskie ubiory i kobiece roboty leżały po stołach i stolikach, w pośrodku spały dwa ogromne charty, które się na wchodzących rzuciły, ale batem wygnane, poszły warczeć za drzwiami. Skrzypka wisiała na kołku u drzwi, na innym munsztuk, na innym jeszcze pasmo nici szarych. Przy kominie wygasłym jakiś garnuszek z przykrywą drzemał ostygły, na daszku ukazywały się talerze z widelcami żelaznymi: przez półotwarte drzwi do drugiej izby widać było kobiece przybory i jakaś panienka, w pół tylko ubrana, odskoczyła, kryjąc się do szpary, którą poczęła zaglądać ciekawie. Zapylony zegar gdakał w kącie, a trzpiotowatych para kanarków odzywała się w klatce nad oknem. W drugim wiewiórka obracała dziecinny swój młynek, latając niespokojna. Wichuła wskazał krzesło, z którego zrzucił futerko i chustkę, a sam chwycił drugie i grzmotnął niemi tak o podłogę, jakby je chciał pogruchotać.

Tadeusz rzucił okiem wkoło, ale nie usiadł.

— Cóż tu pana dobrodzieja sprowadza?— rzekł Ksawery, dysząc.

— Małeńki interes.

— Zdawało mi się — z przekąsem odparł Wichuła, szydersko mierząc oczyma pana Tadeusza — że między nami a Siekierzyńskimi wszystkie interesy skończone?

— Nie ze wszystkim.

— No proszę, ja sądziłem, że wzięwszy Siekierzynek, już było po wszystkim?

— Niedość go wziąć było, potrzeba go jeszcze oddać — rzekł Tadeusz.

— Cha! cha! po dwudziesto-letniem posiadaniu!

— Chociażby.

— A! łaskawco! chlebowawco! wytłumacz-że mi, jak to być może?

— Właśnie z tem przyjechałem, panowie nie macie tytułu dziedzictwa.

— Cóż z tego?

— Ja jestem spadkobiercą i synem Longina Siekierzyńskiego.

— Bardzo mu winszuję, ale cóż z tego?

— I Siekierzynka pozbyć się nie chcę.

— Chwałę! ale cóż z tego? potrzeba zapłacić nabyte przez czas długi.

— Ja też je płacę.

— Pan je płacisz, powiadasz? cha! cha! a czem-że?

— Pieniędźmi—odparł Tadeusz zimno — a wza-
jem proszę o kalkulację z posiadania przez lat tyle!

Wichuła spojrział, jakby chciał z oczu wybadać przybyłemu, czy to była prawda, czy żart tylko i wyciągać jaki; ale Tadeusz mówił serjo i poważnie.

— Nim rozpoczniemy proces, chciałem wprzód przekonać się, czy zgodnie ukończyć nie możemy? Rodzice nasi, jak panu zapewne wiadomo, żyli w sporze i niezgodzie.

— I mój ojciec waścinego wypędził.

— A ja mogę waćpanu odpłacić tąż samą monetą.

— Kochanku! — zakrzyczał Wichuła z zakrzwionemi oczyma, gdyż ile razy w impet wpadał, białka mu czerwono zachodziły. — Kochanku! pamiętam, żeś w moim domu i dlatego nie chcę gwałtu popełnić, ale ruszaj z Bogiem i rozpoczynaj proces, a zobaczymy, co z tego wyrośnie.

— Zgodnie więc nic nie uczynimy? — spytał pan Tadeusz.

— Ja z Siekierzynka chyba nieżyw ustąpię — rzekł Ksawery — i wiedz to, kochany panie, że zaczepić Wichułę, wołałbyś diabła zaczepić... mnie w kaszy nie jjesz.

— Ani mnie — odpowiedział Siekierzyński, — a zatem mam honor go pożegnać.

— I ja też! — śmiejąc się, rzekł Wichuła, i odprowadzając gościa w ganek, nie bez pewnego jednak niepokoju wewnętrznego. Ukłonili się sobie ceremonjalnie, zaszła bryczka i Tadeusz wprost pojechał do miasteczka.

A w Siekierzynku gwałt wielki! pan Ksawery pobiegł do brata, który w ogrodzie był przy otręśaniu jabłek, z wielką nowiną, siostra, która wszystko słyszała, pobiegła za nimi, narada, krzyki, śmiechy i odgróзки, wreszcie dosiadł Wichuła starszej szkapy, dał jej bizunem po grzbiecie i jak strzała poleciał do swojego przyjaciela, niegdy prawnika, dziś gospodarza, pana Wertkowskiego.

Wertkowski mieszkał o staję, był to już niemiłody człowiek, dobrze pamiętający czasy zrzeczenia Siekierzyńskich, którzy acz podupadli, uważani byli

przez szlachtę; znał on interesa Wichułów i Sierkzynieckie, bo do nich wpływał. Nieszczęściem od lat kilku rzuciwszy mecenasostwo, siedział na wsi, a osamotniony, bo on tylko i żona, głucha staruszka, cały dom składali, począł z nudów zaglądać do apteczki zbyt często i pić tak, że rzadko go po obiedzie zastał kto trzeźwym. Ale upojenie jego było szczególnego rodzaju, na nogach ciężko mu się było utrzymać, oczy słupem stawiał, minę miał oświałą, rzekłbyś, że i przytomność postradał. Tymczasem choć tak pozornie pijany, wszystko rozumiał, odpowiadał do rzeczy: po tem poznać go tylko było można, że z krzesła się już nie ruszył i jękał co chwila. Co się tycze pamięci, ta nawet żywsza była po wódce niż na czczo. Zwykle on i żona całe dnie grywali z sobą w marjasza na fasolę, a pod krzeselkiem Wertkowskiego stała flaszka ciemna z wódką, którą on na przypadek przyjazdu obcego nazywał smarowaniem danem mu przez doktora. Wertkowski mieszkał w chałupinie lichej na dwóch chłopkach zastawą wziętych, z których ledwie mógł mieć chleb i jarzynę na stół, resztę kupował z procentu od jakiejś sumki, u pana wojewody mazowieckiego ulokowanej.

Wszedłszy do izdebki, poznał zaraz Wichuła po minie adwokata, butelce pod stołkiem skrótej rzytej go, że nie wstał na przybycie gościa, że już był podchmielony. Wertkowski wytrzeszczył oczy i zadał niżnika ze czterdziestu, witając sąsiada, w nadziei, że żona zmieszana nie postrzeże podstępu.

— Jak się masz, rejencie? jak się masz?

jak zdrowie? — krzyczał Ksawery, siadając — widzę
cierpiący jesteś?

— A! a a... ta... ak... piący... piący...

— Właśnie po radę przybywam i niedługo na-
przykrzać ci się będę. Osobliwsza do stu korków
okoliczność. Przyjeżdża dziś do mnie Siekierzyński.

— Co? nieboszczyk! — zawołała pani Wertkowska,
- rzucając karty.

— Syn to nieboszczyka... Ale ze śmieszną pre-
tensją.

Stary prawnik wytrzeszczył oczy ogromnie i cie-
kawie.

— Wystaw sobie, panie rejencie, przypomniła
sobie babka, jak była panną, chce mu się Siekie-
rzyńka!

— *Quo... ti... tulo?* — spytał Wertkowski.

— Ba! zabrany za długi, ale nie mamy tytułu
dziedzictwa! otóż chce pozwać do kalkulacji i za-
płacić co należy... powiedz-że mi, może on tego
dokazać?

Wertkowski się namyślał długo, kilka razy do-
stał czkawki, jękał się, jękał i wyjąknął:

— Może...

— Jakto? odebraliby nam Siekierzynek.

— *Si pecuniam habet...*

— A kat go wie, czy *habet!* aleby bez tego nie
przyjeżdżał. No, a jeśli *habet?*

— To i Siekierzynek *habebit...*

— A niech-że go djabli wezmą! krzyknął Ksa-
wery — żebym był wiedział, że to nie żarty, byłbym
mu na skorym razie uszy poobcinał, ochotę do pie-

niactwa odpędził... ale to się da zrobić jeszcze przy pierwszym spotkaniu.

— Gdzieżeście go widzieli?—spytała pani Wertkowska.

— Przyjeżdżał do mnie z propozycją zgody, a ja go zbyłem śmiechem i odprawiłem.

— Szkoda!—krótco odezwał się Wertkowski.

— Jakto, to doprawdy mogą nam odebrać Siekierzynek?

— *Pecunia* — powoli wybąknął stary — wszechmogąca.

— A szabla, panie rejencie?

— *Variabilis*—mruknął Wertkowski.

— Ale rozpatrzcie no się w sprawie! pamiętacie wy ją?

— Znam jak zły szeląg.

— I myślicie, że wygra?

— *Probabilitas*—Wertkowski mówił zawsze lakonicznie po pijanemu, bo mu i trudno było wyjąkać.

— No! to przynajmniej wiem co czynić — rzekł Wichuła—jadę do miasteczka i pierwszemu, kto tę sprawę weźmie, nos i uszy poobcinam, a pana Siekierzyńskiego wykurzę płazami, jeśli zechce. Nie dopuszczę ja go do prawa...

To powiedziawszy i widząc, że Wertkowski nic już nie odpowiada, zawrócił się Wichuła: — Bądź zdrów, sąsiedzie!—zawołał, trzasnął drzwiami, dosiadł szkapę i nazad do Siekierzyńka. Tu zaraz zaprzężono mu bryczkę i niedługo myśląc, pan Ksawery pognął do Czerska.

Jakoś na pół drogi był lasek sosnowy niewielki,

gdzie się schodziły u karczemki dwa gościńce od Siekierzynka i od Czerczyc, skąd właśnie jechał pan Tadeusz do Czerska także, i trafił chciał, żeby, gdy konie Wichuły się wysapywały, a on kwartę piwa się chłodził, nadjechała bryczka Siekierzyńskiego i stanęła także by dać spocząć szkapom. Dwóch szlachty na nędznych chabetach posilali się chlebem i serem w pierwszej izbie, przywiązawszy konie do płotu. Siekierzyński został na bryczce, Wichuła, jak go tylko zobaczył, porzucił kwartę z piwem, podtarł wąsa i wprost do bryczki:

— Kłaniam, panie Siekierzyński.

— Czołem, mości Wichuło!

— A co! do Czerska?

— A do Czerska.

— I ja też.

— Weselej będzie w drodze.

— Wichuła, którego w okolicy bali się wszyscy jak ognia, nie przywykł był, żeby go kto tak lekko traktował, namarszczył się i sięgnął impetycznie ręką ku kołnierzowi kontusza siedzącego na bryce... Ale nim dotknął pana Tadeusza, już ten z szabelką, którą chwycił z siana, wyskoczył i stanął przed przeciwnikiem śmiało a śmiejąc się w dodatku.

— Co! — zawołał, — czy nie chcielibyście rozpocząć procesu od uszów i nosa!

— O! patrzcie go, jak głośno śpiewa! — odparł Wichuła, — a nu, bratuniu jeden, myślisz żeś młokosa złapał, co się złęknie, zaraz ja ci tu pokażę Wichułę.

— Jam nie od tego, jak widzicie, — rzekł Ta-

deusz raźnie,—ale po szlachecku, mósanie, i przy świadkach, jest tu widzę dwóch szlachty w karczmie, co stoją na progu, gawroniąc się na nas, weźmiemy ich na przyjaciół i, jeśli woła a łaska, spróbujemy się.

— Panowie bracia! prosimy na świadki!—krzyknął niecierpliwie Wichuła, — dobywając już szabli, którą obejrzał i rękawem otarł z kurzawy.

— Prosimy! — dodał Siekierzyński, obnażając swoją zwinną niewielką szerpetynkę, która błysnęła w powietrzu.

Dwaj przejezdni spojrzeli po sobie i przystąpili bliżej, ale już zajadli nieprzyjaciele stawali do boju oba równie żywo, Wichuła ze złością widoczną, Siekierzyński z zimną krwią pozorną tylko. Pan Ksawery tak był pewien siebie, tak się miał za niezwyciężonego, że nawet rękawów od kuntusza dobrze sobie nie związał. Tadeusz miejsce swe opatrzył, zmierzył okiem przeciwnika i szable brzękły.

Wichuła bił się doskonale, Siekierzyński zręcznie jak szatan i widać, że mu to także nie było obce; zimną krwią swoją miał wyższość nad przeciwnikiem, który się miotał szparko, gwałtownie, krzykliwie, usiłując nastraszyć wprzód, potem przemóc ulęknionego. Zaraz w początku drasnął Ksawery Siekierzyńskiego po rękę, krew pociekła, ale wprędce odebrał taki raz przez głowę, że mu oczy zalało i, zasłaniając się rękawem, zawołał—zgoda! panie bracie!

— Zgoda!—powtórzył, płazyjąc go zlekka Tade-

usz,—zgoda! zgoda! a nie zaczepiajcie ludzi po drogach, nie chcecie-li mieć znaków na łbie...

To mówiąc, wskoczył na bryczkę Siekierzyński, skłoniwszy się szlachcie, i kazał jechać, a Wichuła, obryzgany krwią, spart się na swojej, wołając, żeby mu szmatę i wódki przynieśli. Ledwie słowa te wyrzekł, upadł nieprzytomny na trawę.

Było tam komu ratować go, nie zwrócił się więc przeciwnik i ruszył tymczasem do Czerska, otarłszy sianem szabelkę, tak chłodny, tak spokojny, jakby przed chwilą nie skosztował ludzkiego mięsa.

— A niech go diabli wezmą! — wołał Wichuła, gdy go otrzęźwili i obwiązali,—chyba życ nie będę, jeśli mu uszów nie poobcinam! kanalią jestem, że byłbym go posiekał na kapustę, gdyby jeszcze sekunda, ale mnie przeciw wszelkim regułom zajechał.

Z rozciętą głową trudno było ruszyć do miasteczka, zawrócono więc do domu i z wielkiem podziwieniem brata młodszego, pana Aurelego Wichuły, wszedł Ksawery ogromnie zły i klnący na czem świat stał, do izby, gdy sądzono że do Czerska dojeżdża.

— A to co? panie bracie?—zapytał Aureli, postrzegłszy szmatę i krew,—konie ponosiły.

— Idź do diabła z końmi! konie! pies powiedź pokasał? Spotkałem się z tym hołopiętą Siekierzyńskim i ten mnie tak poczęstował, ale chyba życ nie będę, jeśli go nie zbiję na kwaśne jabłko.

— Co! Siekierzyński pana brata!—a w tem i siostra wybiegła z lamentem, z płaczem, z kluczykami

i cała rodzina poczęła każdy innym głosem łajać, krzyczeć, wyrzekać.

Zostawmy ich, a wróćmy do Czerczyc, gdzie stolnik, medytując mówiąc z roztargnieniem godzinki i już piąty raz poczyną... Zaczniście wargi mojej

Właśnie spluwał, odtrącając myśl obcą, która mu się gwałtem cisnęła, gdy szlachcic pokorny, w kapocie szarej i kurpiach na nogach, w borsuczej torbie, ukazał się na progu. W izbie mrok był, szarzało.

— A to ty, mój Pancerzysiu! — rzekł stolnik, — jak się masz? (Jednakże, pomyślał, godziniek nie zacząłem, skończę je później). Co tam słychać? skądże to Bóg prowadzi?

— Z Czerska, wielmożny panie.

— Jak się masz, zdrów?

— Zdrów, Bogu dzięki, do usług pańskich, przejeżdżając, wstąpiłem, może pan co rozkaże.

— Nol a zwierzynki nie masz?

— Da Bóg będzie... Ale ja tu na drodze o małym zwierzynie innej nie napotkał.

— Nol a co takiego? — spytał stolnik.

— Co! krótko mówiąc, dobrze żem sucho wyszedł, cała historja. Jadąc z Czerska, szkapą mi przystała i koło Kociey Górki na rozstaju przy karczemce stanąłem wytchnąć... Wyjawszy ja tedy z torby sera i chleba, patrząc, aż jedzie pan Jacenty z Muszyna, sobie konia uwiązał przy płocie, staje. Nuż my gadać i śniadać, kiedy tak bzdurzym, aż tu leci bryczka z Siekierzynka z panem Salerym (tak go szlachta zwała) i tyć staje. My z Jacen-

tym ustąpili się panu z drogi i poszli do izby; aż ru, ru, ru, znów ktoś się wlecze... poznają konie jegomości i jakiś jegomość.

— A pan Tadeusz... no! no! ciekawości! mów tedy, co się stało?

— Zaraz, proszę pana, porządnie powiem, jak się należy. Tylko co jegomości konie przytrzymały się, a ten pan na bryczce sobie spokojnie siedzi Bogu ducha winien; przysuwa się Wichuła do niego, coś tam mu powiedział, ten jemu, Bóg ich wie, co od siebie chcieli, aż widzę ja, pan Salery jego niby chce za kołnierz chwycić, ten z bryczki i do szabli.

— O! patrzaj wasan, do szabli!

— Tak! i woła do nas, panowie bracia, prosimy na świadków. Ledwieśmy nadbiegli, aż tu panie stolniku dobrodzieju, jak się poczną chlastać i Wichuła...

— Byłem tego pewny, to rębacz bestja!—rzekł stolnik, waląc ręką o stół.

— Wichuła go po palcu! a ten jak nie plaśnie Salerego z pozwoleniem pańskim przez łeb, tak się krwią oblał ze wszystkim. Jeszcze go trochę wyplazował, gdy się Wichuła, gdyby zając przewrócił, ślepie wytrzeszczywszy, ten siadł sobie i pojechał.

Gdy Pancerzyński opowiadanie kończył, stolnik, który od dawna z krzesła nie wstawał, z wielkiego wzruszenia i radości aż się na nogi podniósł, oczy mu się zaiskrzyły, twarz zapalała, wąsa kręcił i śmiał się.

— Patrzajcie! patrzajcie, obciął Wichułę! Jak Boga mego kocham obciął! waść to sam widziałeś, na swoje oczy! Jest krew! jest krew! Idź, mój Pan-cerzynsiu, napij się wódki u Jędrzeja duży kielich, ten co z gwiazdkami, i wróć tu do mnie...

Poszedł szlachcic, a stolnik ręce złożył.

— Dzięki Bogu! nie zmieszczańczył się nic... Kto wie, może i nie sprzedawał pieprzu! a zresztą kto go tam będzie wiedział! Ale gdzież się uczył szablą wywijać? Chwat! uściskam go, jak przyjedzie! No! to mnie rozbraja! chwat! Gdyby był pieprzu nie przedawał! ale stało się! cóż robić! Obciął Wichułę! Siekierzyński zawsze Siekierzyńskim!

I tak bez ładu, drgając aż na swoim krześle, starzec coraz to wykrzykiwał aż do powrotu Pan-cerzeńskiego, który znowu od początku do końca musiał mu całe spotkanie z największemi opowiadać szczegółami.

Stolnik cieszył się z tego wypadku niepomału, kochał bowiem Tadeusza, od którego tylko dzieliło go dziś przykre wspomnienie kupiectwa, niezmazany ślad na herbowej szlacheckiej tarczy Siekierzyńskich zostawującego. Stolnik rad był utopić pamięć tego uczynku, a bał się co chwila, by się nie rozgłosił, i drżał na samo przypuszczenie podobnej ignomji; wolałby był Tadeusza ubogim niż w ten sposób zbogaconym i krzywił się na myśl tych talarów, nabytych sprzedażą pieprzu, śmierdzących imbierem i łojem, jak powiadał. Zawsze mu się zdawało, że jedynym użytkiem stosownym takich pieniędzy było oddanie ich na

kościół lub klasztor na przebłaganie za występki przeciwko dostojności szlacheckiej; nawet odkupienie Siekierzynka tym groszem w smak mu nie szło, choć niezmiernie go pragnął. Pocieszył się cokolwiek rześkiem znalezieniem się Tadeusza, ale gdy począł medytować potem sam na sam i przywiódł sobie na pamięć ów sklep pod ratuszem, ciarki po nim przeszły.

— Niech robi, co chce, — zawołał z żalem do siebie — tego zmasać niepodobna! Zawsze to plama *indelebilis*! A! a! gdyby powstał z grobu skarbnikowicz a zobaczył synka *merkatozem*, umarłby z żalu i aprensji! Kto mu to doradził, *coram Deo respondebit*.

Plótł tak szanowny nasz pan Piotr Kornikowski, aż zasnął, a przebudziwszy się, znowu myślał o tem i o obciążeniu Wichuły z niejaką satysfakcją. — Może zresztą, — rzekł, pocieszając się, — może i nikt o tem wiedzieć nie będzie, że kupczył, ale plama plamą zawsze... daj Boże, by się to utaiło, chociaż nie pojmuję, jak to być może. Prędzej, później, prawda jak oliwa na wierzch wychodzi.

Gdy się to dzieje w Czerczycach, a w Czersku chodzi napróżno pan Tadeusz Siekierzyński od prawnika do prawnika, chcąc swoją sprawę któremu z nich powierzyć, w sąsiedztwie ogromne *larum* wznieciła kresa przez łeb pana Ksawerego. Trzeba wiedzieć, że Wichułowice mieli adherentów i koligatów dosyć, a niejeden przyjacielem ich się głosił ze strachu tylko, inny w nadziei pomocy, bo Ksawery szabelki i w cudzej sprawie ochotnie

dobywał, zwłaszcza podochocony. Nikt dotąd go nie zwyciężył, nikt nie drasnął nawet, a tu nietylko kresa ale i wyplazowanie przez szlachtę świadków gruchnęło po sąsiedztwie. Wieść ta przeraziła jednych, ucieszyła drugich, zaciekała innych; jeli niektórzy przypominać dawne znaczenie Siekierzyńskich i dawną dla nich sympatię. Wszakże w Czersku żaden prawnik nie podejmował się forytowania sprawy *contra* Wichułów. Niejeden nawet odradzał Siekierzyńskiemu dalszych kroków, szepcząc na ucho, że Wichułowie i ich adherenci gotowi są na wszystko, a obcięcie Ksawerego nietylko ich nie wystraszy, ale jeszcze zajadlejszymi uczyni. To jednak nie odstręczyło pana Tadeusza od zamierzonych prawnych poszukiwań dziedzictwa Siekierzyńka i wreszcie decydowany już sam sobie być mecenasem, byłby zajął się sprawą, gdyby mu nie wskazano pana Pancerzyńskiego Adama, młodego prawnika, który, jak mu mówiono, jeden może jąć się procesu z Wichułami.

Pancerzyński, brat stryjeczny tego szlachcica, któregośmy przed chwilą świadkiem spotkania u Kocięj Górki widzieli, wyszedł z drobnej, rozróżnionej i ubogiej familji i sprytem a odwagą dochrapywał się znaczenia i pieniędzy, obojga będąc chciwy nad miarę.

Różnie różni mówili o początkach życia pana Adama, ale się wszyscy godzili na to, że przechodził nauką i zręcznością wszystkich w Mazowszu prawników, że dla niego niczem było wygrać, gdzie inni i nie śnili wygranej, podnieść zażrębane od

dawna i dać radę w razie zdesperowanym. Był on jak lekarz, do którego to udają się, gdy już chory ledwie nie kona; z dobrym interesem, czystym, jasnym i łatwym nikt go nie używał, ale w złym nikt się bez niego nie obszedł. Nic nikomu nie zrobił darmo, zawsze prawie wymagał wynagrodzenia wielkiego, targował się o nie jak o grzyba, ale zato gdy się wziął za co, dokazywał cudów.

Wskazano tedy Pancerzyńskiego panu Tadeuszowi, a ten ledwie go odszukał w oddalonym dworku nad Wisłą, gdzie mieszkał na ustroniu sam jeden z chłopakiem tylko, który mu służył za przepisywacza, kuchtę, sługę, woźnicę i dependenta. Długo potrzeba było do drzwi stukać, zanim je ów odarty Janek otworzył, a nie puszczając do środka, póki tyńfa nie dostał, wypytał się o nazwisko, potrzebę i poszedł, zostawiwszy gościa w pierwszej izbie, do kancelarji pańskiej. Ta izba niewielkie dawała wyobrażenie o zamożności pana Adama, w niej dwa stołki sosnowe, ława, stół prosty, komin i piec gospodarski jak w chacie, a na ścianie tylko Chrystus ciemno malowany. Zresztą pułap niski z belkami, drzwi wąskie i małe, okna z czterech szybek złożone i podłoga piaskiem wysypana. Po chwili oczekiwania skrzypnęły drzwiczki i wszedł Pancerzyński; figurka mała, koszlawa, krzywa, blada, za którąbyś nie dał trzech groszy. Głowę miał śpiczastą bardzo, pokrytą włosem ostrzyżonym ze szwedzka, ale bez pudru i najeżonym do góry; skóra na twarzy podobna była do pergaminu, oczy piwne duże, nos trochę krzywy, usta wąskie,

a w lewym policzku z jakiejś choroby widać, w środku zrobił się dół i ściągnęły mięśnie, nadając dziwny wyraz tej części fizjognomji, tak że inny był z prawej patrząc, inny z lewej i jedna strona zdawała się ciągle uśmiechać, gdy druga patrzyła ostro i surowo. Taż sama choroba zapewne, która skrzywiła twarz, wyciągnęła mu też jedną nogę, a chodząc, zamiatał nią, jak nie swoją, ręce wisały mu długo i ogromnemi kończyły się palcami.

Pan Tadeusz cofnął się, myśląc, że to nowy sługus tynfa z niego wydrzeć przychodzi i już się do sakiewki gotował, bo ubiór prawnika niepočasny omyłkę usprawiedliwiał, gdy głosem ogromnym, głosem jakby z piersi olbrzyma pochodzącym, dziwna ta postać odezwała się.

— Jestem do usług waćpana dobrodzieja.
— Pan Adam Pancerzyński?
— Tak, tak! ja sam, siadać proszę, a pan...
— Tadeusz Siekiera Siekierzyński.
— Czy nie Longina Sobiesława skarbnikowicza syn?

— Właśnie, panie dobrodzieju!

— Cieszy mnie, że go u siebie oglądam! bom rodzinę pańską szanował choć nie znając, gdyż młody byłem, jak szanowny rodzic jego zegnał się z światem. Czemuż pomocny mu być mogę?

Tadeusz całą sprawę swoją opowiedział, papiery dobył, dał czas do ich przeczytania, a Pancerzyński z niestęchaną szybkością przebiegłszy je i wnet obeznawszy się cudownie prawie ze stanem sprawy, rzekł:

— Wszystko jest do zrobienia, choć nie taie, że z Wichulami sprawa zła, oni czego nie zyszczą u kratek, będą wiołencją dobywać, bo w wyborze środków nie są trudni. Ale dla zwierza w las nie iść, nie-męska rzecz!... zrobimy! Jedna tylko uwaga: proces pociągnie długo, Siekierzynek odłużony wyżej może waloru, przyjdą rachunki nakładów, ulepszeń, budowli, *et sic porro*, może wypadnie zapłacić więcej, niżeli warta wioska. Czy nie lepiejby inną kupić?

— Ja Siekierzynka żądam dlatego, że to jest Siekierzynek, nie dlatego, że wioska, dlatego, że tam jest grób rodziców moich, że to jest dziedzictwo mojej rodziny, a może też iż go nieprzyjaciele posiadają, co mojemu ojcu życie struli i do mogiły go przywiedli.

— A to co innego, inna *facies rerum*, — odparł Pancerzyński, a zatem dojdziemy Siekierzynka. Ale, — dodał prawnik, głos zmieniając — *clara pacta, claros faciunt amicos*, mówię to, choć do przyjaźni pańskiej nie śmiałbym sięgnąć, znając, żem jego sługą. Potrzebujemy wprzód umówić się o warunki pracy z mojej strony... jam ubogi i potrzebny, jestem w dorobku.

— Słuszna rzecz! słuszna! proszę o warunki!

— To wymaga namysłu, a zatem jutro służyć będę, gdzie pan mieszka?

— U Icka Szklarza na warszawskiej ulicy — rzekł Tadeusz.

— Jutro o dziesiątej... — To mówiąc, wstał, zamiatając swoją nogą i Siekierzyński go pożegnał.

O dziesiątej na ratuszowym zegarze, przystawił się prawnik trochę lepiej ubrany, ale w wytartej kontusinie i pasie włóczkowym, odartą i zaklapaną przyjechawszy bryczką, którą Janek powoził. Powitawszy Tadeusza, który z niecierpliwością oczekiwał odezwania się prawnika, począł pan Adam o obojętnych mówić rzeczach, o deszczu i pogodzie, o miasteczku i jego mieszkańcach, potem zamilkł i, położywszy papiery na stole, zdawał się wzywać Siekierzyńskiego, żeby on rozmowę rozpoczął.

— Cóż tedy, szanowny mój obrońco—spytał niecierpliwy Tadeusz, — jakżeście się namyślili?

— Interes, — począł Adam Pancerzyński — interes ciężki, więc się go podejmę, bo mnie właśnie takich potrzeba, żeby sobie i renomę i kieszeń rozszerzyć, ale jak za wszystkie ciężkie sprawy, zapłata będzie gruba.

— *Minimum...* tysiąc talarów — dodał po chwili, — po ukończeniu interesu i wprowadzeniu w posiadanie Siekierzynka, a na koszt i przejażdżki osobno, ile pokażę rachunkiem.

— Nie myślę się targować, — odparł Tadeusz — choć mi się to zdaje zbyt wiele, ale za warunek z mojej strony kładę, żeby się to nie wlekło.

— Tego warunku nie potrzebuję — rzekł adwokat, — czas i mnie drogi, ale z mojej strony jest też jeszcze warunek.

— Jeszcze warunek?

— Tylko jeden.

— Oto że waćpan dobrodziej, oddając mi ten interes, powierzysz mi go zupełnie, nic beze mnie

nie poczniesz, we wszystkim rady się mojej trzymać będziesz i zdasz się słowem na dyskrecję moją.

— Zgoda i na to.

— A więc czasu nie tracąc, bo czas drogi, ot naprzód rada, którą spełnić potrzeba. Waćpan nie jesteś bezpieczny od Wichułów, wiem pewnie, że mu gotują i gotować będą tysiące napaści i usiłować gwałtem jakimś go ustraszyc lub się pozbyć. Samemu jednemu przeciwko ich bandzie nie podołać. Trzeba zaraz wynaleźć sobie przyjaciół kilku i nieodstępnych Aniołów-Stróżów, którzyby gotowi byli dniem i nocą szabel dobyć w obronie pańskiej...

— Gdzież ich znajdę.

— To już moja rzecz, ja ich tu w Czersku zwerbuję czterech lub pięciu i przyszlę do kwatery pańskiej, a bez nich kroku się pan nie ruszysz, ani tu ani na wsi...

Tadeusz podziękował za tę troskliwość panu Adamowi, choć pomyślał, że ci przyjaciele i wiele kosztować i dużo kłopotać go będą; ale cóż było robić? Adwokat zabrał papiery, trochę grosza i spiesznie siadł na bryczynę, szukać swych przyjaciół, z którymi radził panu Tadeuszowi odjechać do Czerczyc i spokojnie czekać, jak mówił, *felicem eventum* jego zabiegów.

W kilka godzin po odjeździe Pancerzyńskiego posłyszał zaraz wrzawę przed domem i domyślił się, że przyjaciele zbierać się poczynają. Wychyliwszy głowę przez okno, postrzegł w istocie dwóch barczystych szaraczkowych, z których jeden wiódł konia za trzęsłą, drugi szedł z chłopakiem i parą

koni za sobą, pytając głośno o kwaterę pana Siekierzyńskiego.

Wskazano ją i dwóch potężnych drabów wsunęli się wrzawliwie do stancji, jeden drugiego przedstawiając.

— Imć pan Urban Panewka, łowczycowicz Wyżogrodzki...

— Imć pan Filoktet Próciński, oboźnic Zakroczymski...

Pan Urban trzyłokciowy barczysty chłop, z wąsami sterczącymi poza twarz daleko, ogorzały jak cygan, z czołem zmarszczonem, osypany brodawkami i plamami piegawatemi po twarzy, z łysiną podgoloną, miał na sobie szaraczkową kontusinę wytartą po łokciach i na plecach, buty mocno łatane bez ceremonji i hipokryzji żadnej, szabelkę w prostej pochwie rzemiennej i pasik skórzany na klamrę mosiężną zapięty. Udawał on zręcznego i bardzo grzecznego, śmiał się co chwila, kłaniał, ustępował z krzesel, ceremonjował o przejście, o usiadzenie, o słowo, ale mu z oczów patrzała burda. Pan Filoktet nieco niższy ale barczysty jeszcze, gdyby snop dobrze związany, nie krył się ze swoim zuchowstwem, machał rękami szeroko, stąpał głośno, biorąc stołek, rzucał nim, stukał wszystkim, czego dotknął i wielce dbał o równość szlachecką, nie dając nikomu brać prymu przed sobą. Mało mówił, ale kłął dużo i miał przysłowie *Ciumperda!* które co chwila powtarzał, zwłaszcza gdy się gniewał na kogo. Zwano go pospolicie *Ciumperdą* i znano o mil sześć wokoło z ogromnej siły pięści

i głowy, bo beczkę piwa w ciągu dnia mógł wypić i wypróżniwszy ją, wziąć pod pachę jak czapkę, wyniść o swej sile i nie zataczając się wcale.

Zaledwie ci panowie usiedli i delikatnie rozmówili się o miód, który miał być doskonały u Szklarza, nadszedł trzeci nie tak pozorny, cienki, chudy, pokorny, blady, milczący jak deska i ciągle składający ręce jak do modlitwy. Miał na sobie prostą granatową kapotę i torbę myśliwską, niepozorną szabelkę, którą nazywał scyzorykiem i jakiś węzełek pod pachą, który złożył u drzwi. Zarekomendował się jako Józafat Węgiel bez żadnego tytułu, dodając tylko, że jest obywatelem osiadłym ziemi Wyszogrodzkiej. Usiadł spokojnie w kąciku, rzucił okiem na dwóch zapaśników co go poprzedzili i, złożwszy ręce, począł oglądać po suficie. Pp. Urban i Filoktet powitali go bardzo grzecznie i kordjalnie nawet.

Już i miodek na stół wystąpił, gdy nowa postać jeszcze uchyliła drzwi, zaśmiała się, kiwając głową, i wpadła do izdebki.

Było to coś żwawego, ubranego kuso, niby strojnie, z pretensją do wdzięku i młodości; czuprynka ryża do góry, wąs mały *idem*, w uchu kolczyk z niemiecka, bućki choć wytarte ale czerwone, szabelka na złocistych rapciach, pas pstrokaty sztucznie zwinięty, żeby dziur i cer nie było widać. Mały, zwinny, wesół Jmpan Atanazy Bajdurkiewicz, nie był już na czczo, zapach gorzałeczki, cebuli i piwa go otaczał, a wymowa zdradzała umysł podniecony sztucznymi środkami.

— Wielce mi to zaszczytno i sercu mojemu drogo, że mogę tak godnego imienia panu a bratu stanąć w pomoc i ofiarować rękę i głowę *contra inimicos*; przysłany w to miejsce przez zacnego Adama Pancerzyńskiego, stoję z gorącą aspiracją, by być użytecznym *omni modo*; a jeśli jest szklaneczka, tobym o miód prosił.

Musiała się znaleźć szklanka i grzeczny Urban, zawadja Filoktet, milczący i pokorny Józafat współ z Atanazym zasiedli przepijając za zdrowie Siekierzyńskiego, wkrótce postrzegając *unanime*, że zdążyły się i przekąska. Podano przekąskę, okazała się słona, ponowiono miód i noc nadeszła, a jeszcze panowie bracia za stołem gwarzyli, najwięcej o Wichułach i o sobie. Jeden pan Węgiel milczał, ze złożonemi rękoma i spuszczoną głową siedział, ale kolei pilnował sumiennie i nie dawał o sobie zapomnieć. Tadeusz mało się do rozmowy mieszał, ale słuchał uważnie i dowiedział wiele o okolicy i stosunkach, które dotąd były mu obce.

Rano po śniadaniu, do którego i przymawiać się nie było potrzeba, szlachta miała jecbać z panem Tadeuszem do Czerczyc, ale oprócz Węgla, który kroku nie zrobił ze stancji, i grzecznego Urbana, co już Tadeusza nie odstępował, Filoktet, pożyczwszy talara, wyskoczył na półgodziny do przyjaciela, a Atanazy poszedł umizgać się do szynkar-ki zprzeciwka i nie powrócili aż ku południowi. Dwaj pierwsi wsiedli na koń, Filoktet miał ich dognać, a Bajdurkiewicz przyczepił się na bryczce,

puściwszy szkapę za nią, pod pozorem, że się na siodle obtarł szkaradnie dnia wczorajszego.

Taką kalwakatą ruszyli po południu już z Czerska do Czerczyc i mrokiem byli u Kociej Górki. Tu naturalnie spocząć wypadało, bo konni nawet byli się przyzostali ztyłu, a Bajdurkiewicz życzył na nich poczekać, aby nocna podróż dalej bezpieczniejszą była dla patrona, którego tymczasem ubawiał powiastkami, a zastraszał potęgą Wichułów, zdając się ją dosyć szanować. Weszli do izby, w której siedział żyd pod piecem, żydówka za stołem, a kot na przypiecku, jakiś odarty chłopisko wstał z ławy przede drzwiami, przypatrzył im się dobrze, wyszedł do koni, które oglądał uważnie i szybko popędził w las. Nie uszło to baczności pana Tadeusza, szepnął na ucho Bajdurkiewiczowi, żeby się mieli na ostrożności i nie uważał, jak ten pobladł i zakręcił się ku bryczce. W istocie wymowny Atanazy główną siłę miał w języku, a co się tyczy spotkania wywijał się sianem jak mógł, dużo krzycząc, a zasłaniając cudzemi plecami. Na biedę przypóźnionych posiłków nie było i nie było, a na Filokteta nawet rachować ciężko, bo zdaniem wszystkich ledwie w pół godziny po innych mógł nadażyć, choć szkapę miał dzielną, ale maruda był zawołany.

Postrzegł zaraz z manewrów pana Bajdurkiewicza Tadeusz, że niewielką mu będzie pomocą, i postanowił, zdawszy się na wolę Bożą, pozostać w karczmie, dopóki by nie nadjechali pan Urban i pokorny a cichy Józafat.

Poczynało dobrze zmierzchać, Bajdurkiewicz, skarżąc się na ból zębów, położył się w bryczce i zaszył w siano głęboko; Tadeusz, świszcząc, chodził przed końmi, niekiedy zaglądając do karczmy.

Aż tu drogą od Siekierzynka jedzie dwóch jeźdźców szybko na zdyszanych koniach, obejrzeni się i poziadali z koni; miny gęste, wejrzenie zaczepiające, mowa głośna. Tadeusz poświstuje i chodzi spokojnie. Ci ichność do izby, poszeptali coś z arendarzem i wybiegli na podwórze, postawili w zajeździe, patrzą na drogę od Siekierzynka i śmiejąc się zacierają ręce. Bajdurkiewicz leży w bryczce i stęka. — Możebyśmy jechali — rzekł zcicha — oni nas dopędzą!

Tadeusz nic nie powiedział.

— Bracie świstunie! — rzekł jeden z przybyłych, a dokąd to Pan Bóg prowadził

— Przed siebie! — odparł Tadeusz, — a panów śpiewaków dokąd?

— Na spotkanie waszmości.

— No, to i dobrze — rzekł Siekierzyński, — a co łaska do mnie?

— Chcieliśmy się od niego dowiedzieć, — rzekł drugi, — czy długo myślicie tu popasać w Kociej Górze?

— Ile mnie się podoba.

— No! a jakby się nam podobało, żebyś tu wacpan nie popasał?

— Cóż robić! nie wszystko się wszystkim podobać może!

Bajdurkiewicz z bryozki szepnął: — Niech się pan mityguje, tymczasem nadjada, słyszę tętent.

— To tętent od Siekierzynka — mruknął pan Tadeusz, bądź pan na pogotowiu.

— Żebyś pan wiedział jak mnie zęby bołą!

Wtem Tadeusz odwrócił się do zaczepiających: — panowie bracia — rzekł serjo i poważnie — czy szukacie okazji?

— Jakby dobra, czemu nie? — rzekł jeden ze śmiechem.

— Cóż to panowie nazywacie dobrą, tak w kilku na jednego naprzykład, po zbójceku!

Szlachta się zmieszała widocznie, ale jeden zaraz wyskoczył;

— Co ty nas robisz napastnikami! coś ty za jeden?

— Wiesz, waćpan, kto ja jestem, jak ja wiem, kto wy jesteście.

— Naprzykład.

— Przyjaciele Wichułów.

— Jakbyś tam był! dalipan, w ciurnastki go nie wzięli! tęgi chłopak! zgaduj! toć wiedzieć musisz, czego od waści chcemy?

— Doskonale, ale to wszystko na nic się nie zdało!

— A jak waści przetrzepiemy?

— Sprobujcie!

Ale szlachta, nie próbując, poglądała wciąż ku Siekierzynkowi, skąd tętent koni coraz bliższy dawał się słyszeć i razem czterech jeźdźców przypędziło, a na ich czele z zawiązanym łbem pan Ksawery.

— Wstawaj i do szabli! — krzyknął Tadeusz do Bajdurkiewicza. Na to *dictum acerbum* nie było rady, pan Atanazy wylaź powoli z bryczki, pomacał

po szabli i stanął niechętny za panem Tadeuszem, szepcząc mu: — jeno powoli, to nadjada!

Ale już nie czas było powoli poczynać, bo przybyli z krzykiem:

— A tuś rozboju! a tuś Siekierko! a tuś trutniu! — otoczyli Siekierzyńskiego i szabel dobyli. Tadeusz z zimną krwią przyparł się plecami do bryczki, dostał szerpentyny i stał jak mur.

— Mości panowie — rzekł, — jeśliście szlachta nie rabusie, a macie do mnie żal jaki, gotowem im służyć wszystkim pokolei, ale jak przystało pojedynczo, nie ocinać się jak wilkom.

— Jeszcze ty tu łajać nam będziesz!

I podnieśli wszyscy szable, jakby go rozsiekać mieli. Wichuła krzyczał: — wypłazować go! wypłazować!

Bajdurkiewicz, zważywszy ból zębów i przemagającą siłę, schował się pod bryczkę i myślał już przemknąć się niepostrzeżony do lasu. Wrzawa, krzyk okrutny powstał, żeby Tadeusza ustraszyć, ale ten, choć blady, stał twardo.

— A chcesz ująć śmierci! — zawołał Ksawery — to podpisz zrzeczenie się Siekierzynka i idź z życiem, niech cię diabli wezmą.

Siekierzyński tylko się roześmiał.

— Co? nie! nie! to cię tu w sztuki rozniesiem na szablach!!

— Co będzie to będzie! — rzekł Tadeusz.

Ledwie rzekł te słowa, aźci już sypnęli się wszyscy ku niemu i świst szabel tylko usłyszał nad głową jedna z nich raniła go silnie w prawe ramię, opadła ręka, zasłoniły się oczy, upadł... stracił przy-

tomność. Ale w tej-że chwili drogą od Czerska nadbiegli panowie Urban i Józafat, a na ich widok i Bajdurkiewicz począł z drugiej strony bryczki krzycheć i machać szabelką i wszyscy razem na Wichułów. Ci, niespodzianie zagadnięci, a widząc przed sobą trupa i bojąc się, by ich nie połapano, w nogi, ale nie dalej, jak do izby karczemnej, w której się zaparli.

— Nie mogli większego głupstwa zrobić! — zaśmiał się pocichu i spokojnie pokorny pan Józafat, tu ich wszystkich połapiemy, jak wróble w strzesze... Hej! Bajdurkiewicz z furmanem pod okno od lasu i stać mi na straży... Okno załóżcie dylami, które tam znajdziecie, ja z panem Urbanem damy sobie tu radę.

Ledwie tych słów domawiał pan Józafat, który z najcichszego w mgnieniu oka stał się najmowniejszym i wszystkim dysponował, nadbiegl i oczekiwany Filoktet.

— Oho! — zakrzyczał — jest robota!

— Jest! nasz pryncypał ranny, połóżcie go na bryczce i dajcie mu wódki, jeśli macie. Zostaliśmy się w tyle a jego tu napadli, Bajdurkiewicz siedział pod bryczką.

— Co ja? pod bryczką — i krzyknął przeraźliwie z pod węgła — ja! trzeba było widzieć, jakim ja tu się odcinał, ale pięciu na dwóch to nie sztuka... jestem podobno ranny.

— W but — dodał pocichu Józafat — pilnuj, asan, okna a nie gadaj, a ty, bracie Filku, do nas, zobaczmy, co Wichułowię poradzą.

— *Ciumperda!* zobaczmy! — To mówiąc, omdlałego Tadeusza położył w siano i poskoczył do swoich.

— Obejrzyj karczmę dokoła! — rzekł Józafat — popodpieraj wrota.

— Co myślisz? — spytał Urban — panieńku, co myślisz?

— Nic, usmażę ich trochę — pocichu odpowiedział Józafat, wzdychając. — Cóż robić i kiedy tacy durnie, że zamiast do lasu, uciekli do karczmy.

— Oto! to dobrze, bracie! byle nam dachem nie puciekali!

— Zjedzą licha, mamy pistolety, choć nie wszyscy, postrzelamy ich jak wrony. — To mówiąc, począł powoli krzesać ognia i szukać słomy, a dobywszy iskry i rozpaliwszy suchego liścia, zatknął go w strzechę z jednej strony, Urban z drugiej — Bajdurkiewicz i Filko pilnowali drzwi i okien.

Suchy dach słomiany zajął się jak świeca wśród mroku, ogień zabłysł na drzewach i czerwoną łuną oblał wszystko dokoła. Tadeusz leżał, stękając, na bryce i ledwie widział, co się koło niego działo.

Wtem z okna ukazała się głowa zawiązana Ksawerego Wichuły — panowie bracia! — zawołał — co to jest u króćset djabłów? karczmę moją palicie?

— A palim! — odparł, kłaniając się, Józafat cichy.

— I cóż to myślicie?

— Nic! to tak sobiel ciemno na dworze, chcemy przyświecić!

— I waćpanu nie wstyd, panie Węgiel, za tego gałgana, za tego przybłądę się ujmować?

— Na czym wózek jadę, temu piosnkę śpiewam — cicho zawsze odparł Józafat.

A wtem i inni powyscibiali głowy z okien, wołając: — na Boga! stolowanie się zajęło! my się podusimy!

— A duście się, gałgany — krzyknął Filoktet — duście się! tego nam i potrzeba, a nie, to wyłażcie do nas i bijcie się, jak przystało na szlachtę, nie na urwisów i rozbójników.

— Bić się, to był czas wprzód! — rzekł Józafat, ale kiedy w pięciu skoczyli siekać jednego na gościńcu, niechaj teraz pokutują, zabijcie okna!

To rzekłszy, począł się zabierać do zatarasowania otworów, z których i głosy szlachty i żydów, wzywając litości, się odzywały. Pan Józafat był jakby głuchy i niemy, dźwigał dyle, kierował Urbanem i Filkiem Ciumperdą, napędzał Bajdurskiewicza, a sam pracował za wszystkich. Wewnątrz słyhać było wyłamujących drzwi dół sieni i wszyscy w zajazd wybiegli, ale tam, choć szerzej było, dach bez stolowania trzęsioną słomą posyty, płachtami ognistemi padał na głowy, a dym oddech zabijał. Krzyk się dał słyszeć, jakieś szamotanie, potem cicho...

Karczma płonęła prześlicznie, i dach w okamgnieniu objęty, już opadł trzeszcząc, tak że pilnujący odstąpić musieli nieco, by ich zwaliska krokiew i łąt nie dosięgły. Dziwiło ich, że żadnego więcej głosu z wewnątrz nie słyszeli, a gdy ściany gorzeć poczęły, nie dostrzegli ani śladu zamkniętych w budynku, czy to, że ich dym udusił, czy się gdzie przychowali tak zręcznie.

Cicho i tylko drzewo potrzaskuje, okna pękają, opadają belki, a płomień żwawy to opadnie ku dół, to podniesie się ku górze, jakby spieszył pędzić przed siebie pastwę swoją.

Pan Węgiel siadł na pniu niedaleko i patrzy spokojnie, ja na dziecinną zabawkę, Filoktet biega dokoła, Bajdurkiewicz krzyczy, a Urban trzeźwi Tadeusza.

— Gdzież się u diabła podzieli? — spytał wreszcie Filko Ciumperda — nie mogli się tak pędkiem podusić! niepodobna, żeby nie wołali o ratunek i nie krzyczeli pardon!

— I mnie coś się zdaje, że oni nie musieli się poskwarzyć! — rzekł Węgiel — baczność tylko, oni tu wyleżą pewnie jaką dziurą!

— Gdzież-by się u licha skryli?

— Już-że wtedy nie uciekli, to pewna! — krzyknął Bajdurkiewicz — bo pierwszemu, coby nas pokazał, karkbym uciął!

Józafat tylko głową pokiwał.

Siedzą a czekają, już i karczma się wali, zajrzeli we środek, nigdzie śladu. Nie, jużby się tak popalili! — Wtem Węgiel poskoczył w krzaki za karczmę, wołając: — za mną! za mną!

— Wszyscy za mną!

— Po czasie! — krzyknął w chwilę, rozpatrzysz się — po czasie! Ot patrzcie! w stajni była szyja do lochu! loch wychodził za karczmę, wydarli w nim sklepienie z dylów, i wtedy w krzaki szmergnęli: Wszak to o trzy kroki od Bajdurkiewicza!

— Jak Boga kocham, to być nie mógł ja w tę

stronę patrzałem, nie mogli mi ujść byłbym ich w sztuki porąbał.

— A patrz-że no, co to się znaczy? — odparł powolnie Józafat — wszak świeżo oddarty dach i jeszcze żydowskie łachmany, które z pośpiechu poodzierali, wiszą na Krokiewkach. Ot i ślady! wymknęli się!

— To być nie może! — wołał ciągle Bajdurkiewicz.

— Wróćmy się do naszego pryncypała — rzekł Węgiel, — on tam leży i stęka, potrzeba go opatrzyć i do domu zawieźć.

Tu już pan Atanazy Bajdurkiewicz był na przodzie i pierwszy zbliżył się z wielką gorliwością do bryczki, na której, leżąc, stękał Tadeusz.

Opatrzone rany: najcięższa była w ramię zadana, inne mogły się ledwie liczyć za draśnięcia. Natychmiast z wprawą szlachty, co umiała dać rady na cięcie, obmyto i owiązano rękę, i powoli ruszono w drogę ku Czerczycom. Ale że pośpieszyć nie było można, ledwie nad świtem bryczka wtoczyła się przed ganek. Bajdurkiewicz pod pozorem oznajmienia stolnikowi pośpieszył przodem i znalazł go już nad garczkiem piwa, opowiadającego, jak rąbał Wichułów i jak cudem N. Panny, do której się obrazu czerwieńskiego ofiarował, ocalony został od nieuchronnej zagłady, gdyż czuł nawet cięcia na sobie, ale szable od niego jak od stali odskakiwały.

Stolnik ze snu rannego zbudzony, o lasce wywłókł się na ganek przeciw Tadeuszowi, i popatryw-

szy na jego towarzyszków, którzy mu się każdy w swój sposób przedstawiali i rekomendowali, zrobił pocichu uwagę, że byleby ci goście dłużej pobyli w Czerczycach, ani spiżarnią im, ani piwnicą nie wystarczy.

Po doktora nie było potrzeba posyłać, gdyż dawniej z ranami każdy sobie rady dać umiał, a Jakób, stary sługa stolnika, niegdyś wojak, doskonale się z nimi odchodził. Zniesiono więc pana Tadeusza do izby, grzeczny pan Urban przymówił się, żeby co przetrącić, a reszta chórem za nim weszła za stołnikiem do stołowego pokoiku.

Bajdurkiewicz, wypatrzywszy młodą córkę klucznicy, już za nią skradał się, prawiąc koncepta, do lochu. Jeden Węgiel milczący usiadł w kącie, założył ręce i głową kiwał na opowiadania Urbana i Filokteta.

Wichuła ze sprzymierzeńcami, wydarłszy się lochem z pogorzeli, pieszo umknął do domu, pocieszając się tylko, że nieprzyjacielowi za swoją kreśkę przez głowę sownie odpłacił. Nie obawiał on się poszukiwań sądowych, mając na wypadek ich tysiące starych skutecznych sposobów zwleczenia wymiaru sprawiedliwości. Upokorzony był wszakże i smutny, dopóki nie zapił strachu swego i znużenia. Wieść o napadzie w Kociej Górcie i spaleniu karczmy nazajutrz rano przyszła do Czerska, a Pancerzyński ze szczegółami się o tem dowiedział od stryjecznego swego, który pod koniec dramatu przybył na miejsce i o wszystko się dokładnie rozpytał.

Tego było potrzeba tylko Pancerzyńskiemu!

Napad, gwałt, intymidacyjne środki użyte przez Wichułów bardzo mu były na rękę i proces się zaraz rozwinął. Z wielką zręcznością zakreślone były pretensje Siekierzyńskiego do Wichułów *de-tentorów* Siekierzyńka: między innemi figurował w nich i dom mieszkalny zwalony w znacznej sumie i pobierane przychody, tak, że finalnie okazywało się, że odbierając Siekierzynek, pan Tadeusz miałby jeszcze do poszukiwania jakie 30.000 złotych na Wichułach, nie licząc prawnych grzywien i opłat.

Nie dowiedzieli się Wichułowicze o sprawie, aż już dekret wisiał nad nimi, pozwy im kładziono, głowy potracili, nie stawili się i nie umocowali nikogo, tak że w pierwszej instancji zapadł wyrok pod niestanność obżalowanych. Sądzeni zaocznie, przestraszyli się i wybrali sobie adwokata starego, Wachlera, Inflantczyka, zdawna w Mazowszu osiadłego, który był prawda niegdyś zręcznym jurystą, ale postarzał, podslepl i więcej o dawnych swych cudach prawil, niżeli nowych dokazywał. Pomimo starania Wachlera i głosu jego wymownego, wygrał w drugiej instancji Siekierzyński.

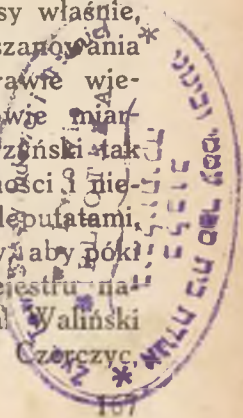
Opatrzyli się Wichułowicze, że źle, bo agramowana była sprawa kryminalnem poszukiwaniem o wioencję, gwałt i zadane rany, wysłali więc parlamentarzy, przychylając się do zgody. Odstępowali części Siekierzyńka, warując sobie wypłat pretensyj, a żądali pokwitowania z procesu kryminalnego i zgody. Pan Tadeusz, który wstał już z łóżka, odpowiedział przybyłemu krewnemu pa-

nów Wichułów, że innej zgody nie przyjmie, tylko jeśli mu z Siekierzynka ustąpią, kompensując pretensje pretensjami i swoją część mu odprzedadzą; za to ofiarował się nie dochodzić napaści i dać pokój dalszemu popieraniu sprawy. Krzyknęli, usłyszawszy to, Wichułowie: — Lepiej zginąć i pójść z torbami, niżeli taką przyjąć zgodę!

— To pójdziecie! — odparł pan Tadeusz zimno.

Poszły apelacje do najwyższej instancji, Pancerzyński pojechał do Lublina, a panu Tadeuszowi kazał siedzieć w Czerczycach. Nie odstępowali go owi przyjaciele, krom Bajdurkiewicza, którego stolnik grzecznie się pozbył jakoś. Wichułowie zrobili w Lublinie konferencję, powieźli Wachlera, pojechali sami, źle się święcił! Wszyscy im mówili, że Siekierzynkę oddać muszą, a za gardłową sprawę odpowiedzą kryminalnie.

Trochę dawniej byliby może mogli z procesu kryminalnego i dekretów żartować, bo niejeden na gardło i banicję wskazany, chodził bezpiecznie i szedł spać spokojnie; ale to były czasy właśnie, gdy cały naród obejrzał się, że bez poszanowania praw musi panować bezprawie, a bezprawie wędzie prędzej później do zguby; Wichułowie miarkowali, że nie żarty. Przytem Pancerzyński tak przy swojej poczwornej powierzchowności i nieznaczącej figurce trząsł trybunałem i deputatami, że prawnicy silnie nalegali na Wichułów, aby póki można zgodę robili. Nim sprawa z rejestru na deszła, krewniak Wichułów, pan Michał Waliński poleciał z ostatecznymi warunkami do Czerczyc.



a Pancerzyński wysłał ze swojej strony z listem do pana Tadeusza, dając mu rady, jak się miał godzić. Stolnik był także za zgodą, bo drżał, żeby kto z nieprzyjaciół nie wydobył owego kupiectwa Siekierzyńskiego na wierzch, kupiectwa, któreby od Tadeusza wszystkich aż do adwokata odstrychnęło.

Wichułowie upokorzeni przystawali na wykupno Siekierzynka za sumę niewielką ugodnie ułożoną, odstępowali swojej części także i żądali umorzenia kryminalnej sprawy. Głównym punktem było umiarkowanie sumy za wioskę, a to niełatwo przyszło, bo pan Tadeusz rachował się bardzo ściśle i postępował po odrobinie. Nareszcie *salva confirmatione* interesowanych, pan Michał Waliński zawarł umowę i pojechał z nią do Lublina; Wichułowie przyjęli warunki, wstrzymano proces, którego jednak pilnował Pancerzyński, i Ksawery zjechał na grunt dla ostatecznego podpisania układu i transakcji.

W parę miesięcy potem pan Tadeusz Sobiesław Siekiera Siekierzyński wchodził w miesiącu marcu w posiadanie wioski ojczystej i posłana fura po starą Dorotę przywiozła ją na rodzinny zagon. Jakże jej się tu wszystko zmieniło! Nie było domu starego, wycięto część drzew stuletnich, odmieniono ścieżki, poplątano drogi, budowle czegoś zmały, gościńce stały się ciasniejsze i wszystko tak się pochyliło, tak postarzało. Poczciwej Dorocie zdawało się, że znajdzie każdą rzecz na swoim miejscu, jakby ją wczoraj odjechała, a tu nic

dawnego się nie utrzymało. Ludzie powymierali, drzewa się powaliły, budowle pogniły i runęły, mało kto je pamiętał, mało z kim mogła pomówić o swoich czasach i panach. Pomimo te zawody była szczęśliwa i żywą się bardzo krzątała za uciekłemi pamiątkami, większą część dnia na zielonych już rumowiskach starego domu spędzając. Dom, z którego ustąpili Wichułowie, nie podobał jej się wcale, namawiała pana Tadeusza, żeby postawił nowy na starej ojcowskiej sadybie. Ale on miał i bez tego wiele do czynienia, znajomi i nieznajomi, dowiedziawszy się o Siekierzyńskim, którego już bogaczem głoszono, choć wcale nim nie był, zjeżdżali się submitując nowemu sąsiadowi. I stolnik przywłókł się także do pupila, a szczęściem trafił, że był sam jeden, lży mu się puściły z oczu na widok dobrze dawniej znanego miejsca, gdy ujrzał rozwieszone na ścianach owe portrety familijne i stare genealogiczne drzewo Siekierzyńskich, wieczny przedmiot opowiadań nieboszczyka skarbnikowicza.

Nie rozweselił się nawet, widząc nową rozpoczynającą się erę świetności domu, który już miał za upadły, stanął naprzeciw drzewa, wyrastającego z lędźwi Sobiesława i westchnął:

— Ha! — rzekł — wszystko to ślicznie i pięknie, ale gdyby ci mężowie powstałi i spytali cię, panie Tadeuszu, czem to okupiłeś, co masz dzisiaj?

Siekierzyński się spłonił. — Zawsze te dawne podejrzenia, panie stolniku!

— A żebyś waćpan wiedział, jak to mnie gry-

zie, nie miałbyś za złe, że się z tem siud tud wypaplam! Mnie to jak kamień ciąży na sumieniu, bom taki był twoim opiekunem i dozwoliłem na to!

— Na cóż, panie stolniku?

— At! wypieraj się zdrów! to darmo, i twoje eklipsy lubelskie i początek tych pieniędzy, rozumiem wszystko dobrze, gorzkiemi łzami na to płaczę!... Trzeba mi było tego gryzącego na starość robaka nosić w sobie. To być nie może, żeby się to nie wydało. *Omnimum rerum incertissima* dochowanie niebezpiecznej tajemnicy. Nieraz mi się w nocy zdaje, że waćpana przodkowie przychodzą do mnie i pytają mnie o rachunek, jak Bóg pytał Kaina o krew Abła, zrywam się jak opętany ze snu i krzyczę! Wiem ci ja, wiem, że to teraz szlachectwo sobie lekceważyć poczynają, ale ja i sercem i wiekiem jestem *laudor temporis acti*.

— Ale na Boga! panie stolniku, cóż pan sobie myślisz? myślisz-że pan, że ja nie cenię, nie szanuję, ni czczę pamięci przodków i mojego szlacheckiego klejnotu?

— A przecież—ci go waszeć pieprzem posypał! —odezwał się stolnik.

— Kto mi tego dowiedzie?

— Ej! ej! nie wywołuj wilka z lasu!

— Byłaby to kalumnja! żaden Siekierzyński nie splamił się niczem, a ja z nich ostatni.

— Tere-fere kuku! strzela baba z łuku! nie mnie to gadaj przynajmniej. O! gdyby to była prawda, jabym waści w nogi pocałował.

— Wiesz pan, że tak jest. Co ma wspólnego jakiś tam Falkowicz z Siekierzyńskim?

— *Unitam!* ale dajmyż już temu pokój! *Horas non numero nisi serenas*, mówmy o przyszłości lepiej. Otożes już wacan *possessionatus* i spokojny na starem dziedzictwie, wiek potem, żenić-by się potrzeba...

— I ja to myślę—cicho i z westchnieniem rzekł pan Tadeusz.

— Przybyłem właśnie rozgadać się o tem, zrobimy planik, trzeba myśleć, bo dalej, dalej postarawszy, coraz trudniej, wać wiesz przysłowie.

— Słucham pana stolnika! ale naprzód muszę mu moją myśl objawić.

— I owszem, byle dobrą.

— Wiesz pan jakiego jesteśmy rodu?

— Gdyby nie ten pieprz!..

— Dzięki Bogu nikogo tu od nas lepszego nie widzę! szlachectwo nasze sięga czasów niemal bajecznych, przodkowie moi zajmowali pierwsze dostojenstwa w Rzeczypospolitej, mająteczek mam niezły, mogę więc aspirować do najświetniejszych partyj.

— Gdyby nie ten pieprz!—dodał stolnik uparcie.

— Potrzeba mi dla odświeżenia znaczenia rodu i familji, nie tak bogactwa szukać jak świetnej i wielkiej koligacji, bodaj w zubożałej, ale starej rodzinie.

— Jakbym ojca słyszał!—odparł stolnik — zgadzam się, *laudo*, żebyś tylko tak zrobił, jak mówisz! A im więcej waćpana mówiącego słyszę, tem wię-

cej się dziwuję, że z takim respektem parenteli i stemmatu wlałeś dia pieniędzy w takie błoto... Rozmówmyż się jeszcze, czy nie masz już kogo upatrzonego?

— Dotąd nikogo.

— W sąsiedztwie ja też nie widzę nic dla wa-
ści, potrzeba będzie dalej podobno ruszyć, albo
i do familji matczynej w krakowskie. Ale! ale,
wszakże to zapomnieliśmy o pannie kasztelance!

— O jakiej?

— Ba! to jej widzę nie znasz, kasztelanka! zna-
ją wszyscy! sierota *magni nominis*, mieszka u stryja,
pana wojewody, o mil dwie stąd, cóż można ża-
dać nad to piękniejszego. Prawda, że nie ma nic,
lub tak jak nic, gdyż ojciec absolute majątek
stracił.

— Młoda?

— Nie sądze, bo lat temu dziesiątek była już
na wydaniu, tylko że się nikt nie zgłaszał! Zatem
najmniej Jezusowych latek, ale to mniejsza.

— Piękna?

— O ile sobie przypomnieć mogę, szpetną nie
była, kto wie co dziś? Są osoby, które wiek upię-
knia! wszakże tu nie chodzi o wdzięki, ale o ród
i koligację... Mała, czarniawa i nieco ułomna, ale
aspectus książęcy, chód królowej, prezentacja pań-
ska, ledwie mi głową kiwnęła, kiedym był u woje-
wody.

Tadeusz się zamyślił głęboko. — Tu niema co
rozmyślać—dodał stolnik,—zaprzęgać i jechać do
pana wojewody.

— Jakto, bez powodu?

— Powód się znajdzie, narada o sejmikach, będę waści promował jakoby na kandydata do deputacji, przyjrzyś się pannie, rzucim słówko, by wyrozumieć wojewodę...

Tadeusz nic nie rzekł, znać tylko było, że go to wszystko drogo kosztowało, ale spojrzał na genealogiczne drzewo, na portrety Sobiesławów i odważnie zawołał:

— Pojedziemy, panie stolniku.

Stary choć stary, miał przysłowie — *dictum factum*—i niedługo wybrali się oba do pana wojewody, który bawił w swoim zamku na wiosnę, czasowo tylko. Nie był to jeden z tych magnatów dawnej Polski, co przywykli niejako spadkowiec piastować pierwsze dostojenstwa w kraju, których dobra rozlegały się szeroko, jak księstwa oddzielne, znaczenie groziło nieraz władzy nad nich wyższej i prawom; — pan wojewoda przez związek świeżo dopuszczony do senatu i koła panów, okupywał się pokorą i usługą nową braci. Jak każda rodzina polska, familja jego mogła się wywieść z dala, ale w niej krzesel, lasek i mtr nie było, kilka starostw, maleńki urzędnik, a potem nagle województwo. Człek niemłody, chodził po francusku, niedawnemi czasy kontusz zrzuciwszy, z magnatami był pokorny, ze szlachtą dał się bardzo, lękając, by mu nie przypomniano, że niedawno jej był równy. Krewny kasztelan, dla okazania swych związków przyjął ją do siebie, choć ubogą, i utrzymywał jako towarzyszkę swej żony.

córki wielkiego zubożalego domu, który się zbyt-
ecznie rozrodziwszy, siedm kobiet rozposażył mię-
dzy zamożną starą szlachtą.

Dwór wojewody na wsi był z pańska, z cudzo-
ziemska a skąpo utrzymywany, bo miasto kosztowa-
ło wiele, więcej jeszcze duma, a majątek z Sa-
piehami, Potockimi, Czartoryskimi walczyć nie do-
zwalał, choć się bardzo tego chciało. Na wsi więc
oszczędzano, aby w stolicy choć trochę błysnąć,
choć krótko; ale i ta oszczędność musiała mieć
fizjognomię pańską; ludzi kręciło się dużo choć nie
obficie karmionych i czasem odartych, koni było
wiele, choć chudych, dom ogromny zwał się pała-
cem, bo miał pałacową bramę. Wojewoda z miną
protektorską przyjmował brać szlachtę, zapraszał
ją na z kiepska po francusku warzone obiady
i utrzymywał, że się na kuchni nie poznają, bo im
dawał figatele, których w życiu nie jedli. Szlachta
w istocie nie mogąc często przełknąć wojewó-
dzińskich przysmaków, składała to na swoje przy-
wyknienie do kaszy, pierogów i kapusty, w prostoci
ducha myśląc, że to co się jej zdawało nie-
smaczem, mogło być tylko nowem.

Marszałek dworu oznajmił JW. panu o przy-
byciu stolnika nurskiego z panem Siekierzyńskim.
była to pora przedobiadowa, wojewoda chodził po
gabinecie, czytając gazetę i ziewając szeroko.

— Prosić — rzekł — prosić do sali.

Stolnik o kiju, ale strojny jak na wesele *cum*
debita humilitate z czapeczką pod pachą, poprawia-
jąc kontusza i gładząc łysinę, wszedł do owej sali.

Tadeusz za nim wcisnął się nie bez jakiegoś — nie wiem — przestachu, czy niepokoju wewnętrznego, który porywał dawniej wszystkich co raz pierwszy pańskiej dotykali klamki. Owa sala była w istocie salą co do wielkości, ale że życie wojewody właściwe w stolicy było, i zbytek i sprzęt kosztowny tam się przenosił, to dziwnie goło i pusto wydało się wchodzącym. — Ściany pobielane tylko, na nich dwa weneckie w zwierciadlanych ramach niewielkie lustra, pająk otluczony z sufitu się spuszczał, dwie kanapy na krzywych nogach w dwóch końcach stojące, zdawały się zabierać do prysiadów i kozaka, a kilka stołków odartych i wytartych jako spektatorowie czekali w kącie tego tańca. Dwoje drzwi wiodły stąd do pokojów wojewody i wojewodziny, dwa okna wychodziły na wały niegdyś tu stojącego zamku, a widok z nich rozciągał się na przestronne ługi i dalekie lasy.

Wojewoda nadto znał swoją rolę, żeby miał wynijść zaraz; chociaż ziewał i nudził się, nierychło jednak ukazał swoje oblicze zmarszczone i fizys statysty; a dawszy się wyczekać szlachcie, wpadł, jakby się odrywał od ciężkiej roboty. Obyczaj wieku i kraju kazał mu być grzecznym aż do uniżoności, takimi byli najwięksi panowie: musiał ich naśladować i nadszakiwać, ale umiał połączyć impertynencką dumę z nadzwyczajną uprzejmością. Wszedłszy zajęty, spracowany, znużony, rozsunał brwi, rozjaśnił oblicze, poznał stolnika, począł się uśmiechać i prosił siedzieć! Skarżył się na utrapione naprzód życie swoje, że mu pokoju król i dy-

gnitarze nie dawali, że go ze wsi spokojnej, którą kochał, do stolicy powoływano, groził, że porzuci dostojęństwo i wyrzeczy się splendorów... i t. p. i. t. p.

Stolnik umiał na każdą rzecz stosownie odpowiedzieć, by polectać, a choć pochlebiał w sposób bardzo prosty, doskonale to przyjmowano od niego.

Pochlebstwo jest jak pieniądz, często przyjmują zwalany i wytarty; a nieraz i fałszywy. Powoli, powoli stolnik rozpoczął rzecz o sejmikach i przedstawił protekcji pana wojewody JMP. Siekierzyńskiego, o którego rodzie i pochodzeniu mówił z tą pewnością, że wojewoda sławę jego i starożytność zdawna znać musiał.

Niestety, szyderski niepostrzeżony uśmiech przeleciał po ustach pana i znać było, że dotąd o egzystencji nawet familji tego imienia i herbu nie słyszał. Jednakże zbyt grzeczny i zręczny, by się z tem wydać, kiwnął głową potakując.

— Pan Siekierzyński — dodał stolnik, forytując go ciągle — świeżo otrzymawszy spadek znaczny (tu się nieborak zakrztusił jakby go pieprz zaleciał), objął piękną wioskę, niegdyś rodziców dziedzictwo, i chce krajowi służyć!

Wojewoda rzucił okiem na Tadeusza, obejrzał go bacznie i pochwalił przedsięwzięcie; obiecał swoją pomoc i rozmowa zwróciła się na przedmioty obchodzące kraj i prowincję.

Wtem marszałek dworu oznajmił, że dano do stołu, a wojewoda powiódł swoich gości do jadalnej, gdzie już w krzesła zastali wojewodzinę, synka

jej z Francuzem i pannę kasztelanę. Gospodarz gości przy sobie umieściwszy, zasiadł, półgębkiem ich zaprezentowawszy. Wojewodzina, Francuz i kasztelanka, bardzo żywo rozmawiali z sobą po francusku, wojewoda z gośćmi po polsku: z rozmowy pierwszych najmniej bacznego postrzegacz doszedłby, że żartowano sobie z przybyłych, na których padały wejrzenia ze śmiechami tem przykrzejszemi, że im towarzyszyła mowa obca i niezrozumiała.

Kasztelanka, na którą pan Kornikowski wlepił baczne wejrzenie, wskazując ją Tadeuszowi, była wcale niepowabną postacią. Lat jej trudno było odgadnąć, bo są istoty co nie mają młodości i nie starzeją, a do nich właśnie należała panna kasztelanka: śniada, sucha, nie ładna, nie brzydka, z wyrazem złośliwego szyderstwa na twarzyczce wykrzywionej, nieco ułomna, bo jedno ramię miała niższe, minę okazywała pańską, dumną i zgóry poglądała na wszystkich. Tadeusz odrazu uczuł, że nie było tu ani przystępu, że naraziłby się na śmieszność, jeśliby się ku niej posunął. Stolnik zdawał się być innego zdania i wpatrywał się w nią bacznie. Obiad zeszedł na dwóch rozmowach oddzielnych, a goście wstali głodni, bo był źle zgotowany i z dziwnych potraw i przypraw się składał. Sam wojewoda nalewał z butelki jednej wino sobie i Francuzowi, z drugiej kwaśny jakiś octowaty napój gościom. Przecież się skończył, wstali, a wojewodzina zaraz się usunęła do swoich pokojów, gospodarz, ziewając, powiódł panów braci do sali. Nie długo tu zabawiwszy, postrzegłszy, że zaczyna

drzemać, pożegnali go i wynieśli się, nie czekając dłużej.

— A co? panie Tadeuszu, prawda, że królewna?

— Ani przystępu! panie stolniku, wysokie progi na moje nogi!

— Co to ani przystępu! gadasz waść! czemu ni spróbować?

— Czuję, że to byłoby napróżno.

— A ja ręczę, że się uda! panna niemłoda, nieładna, niebogata, pójść za Siekierzyńskiego, za majątnego i młodego! łaskę jej robisz! co tu niepodobnego?

Tadeusz ruszył ramionami.

— A ja jutro jadę do pałacu i pomówię z wojewodą!

Stolnik nie pojmował, żeby się mogło nie udać, i pewien siebie, prosił o ranną audjencję magnata, który mu, rad, że swą wielką ważność okaże, obiecując protekcję przyszłemu deputatowi, oświadczyć kazał, że o dziesiątej go przyjmie.

Na ten raz pan Kornikowski przypuszczony został do gabinetu, w którym stosy papierów, not, gazet, listów, świadczyły o wielkich, ważnych zajęciach statysty. Wojewoda powstał od stolika i prosząc go siedzieć, gotował się słuchać, ale nie pomału się zdziwił, gdy stolnik począł:

— Darujesz mi, JW. pan i łaskawy dobrodziej, jeśli co nie do rzeczy powiem i niespodziewaną uszy pańskie uderzę propozycją... Szczęścia próbować każdemu wolno, a stary przyjaciel rodziny Siekierzyńskich, która starożytnością swą i lustrem

mało ma w kraju równych, pragnąc splendor dawny odświeżyć, chwyta się!...

— Ale o cóż chodzi, o deputację wszakże?

— Nie, JW. panie, deputacja była tylko, iż tak rzekę, pozorem dla bliższego przypatrzenia się przedmiotowi myśli naszych. JMPan Siekiera Siekierzyński, którego naddziad, jak to JW. panu wiadomo. — Wojewoda ruszył ramionami.

— Którego naddziad piastował godność *supremi belli ducis*, a dziadowie *Castellane autus et Palatina magna cum laude gesserunt*...

— Cóż tedy, stolniku?

— Pan Siekierzyński między szlachtą koronną *memorja gestorum* swych przodków, *fulgens*, zamierza znaczną odziedziczywszy fortunę, wstąpić w święty stan małżeński i dożywotnią przyjaźń z osobą iak on rodu znakomitego...

— Szczęść mu Boże! — rzekł wojewoda — ale cóż ja mu na to poradzić mogę?

— Jakto? JW. pan nie widzisz, do czego ta mowa moja zmierza?

— Prawdziwie, dotąd, stolniku, ślepy jestem.

— JW. kasztelanka...

— Jakto? — porwał się z krzeszła wojewoda — jakto? — i roześmiał się tak szczerze, tak szeroko, tak głośno, tak ogromnie, że z przedpokoju wpadł sługa, śmiechem niezwykłym obudzony.

Stolnik osłupiał; wojewoda się upamiętał, wstrzymał wesołości wybuchy i rzekł, ocierając łzy.

— A! stolniku! stolniku! pozwól, niech to żonie mojej powiem, bo nie wytrzymam!

Kornikowski, nieco zmiarkowawszy, że na śmiech zarobił, ale nie mogąc pojąć, w jaki sposób, ust nie otworzył, gdy pan wojewoda wyleciał z pokoju i pobiegł do żony. Po chwili w pokojach dały się słyszeć śmiechy niesłychane, i nierychło powrócił gospodarz, umiarkowawszy się trochę. — Daruj mi — rzekł do starego — ale tak niespodziana i dziwna propozycja...

— Czem-że dziwna? JW. panie! — obrażony rzekł stolnik.

— Pozwalam, że pan Siekierzyński czy Siekiernicki, jak go tam nazywasz.

— Ależ Siekierzyński! — z gniewem dodał szlachcic.

— Pozwalam, że jest najśliczniej urodzony, ale ta jego ilustracja zbyt dawna i coś zapomniana, mam dwóch ekonomów tego nazwiska, jak-że chcesz, żeby kasztelanka...

Stolnik pochwycił czapkę, skłonił się i już był w progu, słowa więcej nie rzekłszy; wojewoda wydał mu się jeśli nie szalonym, to postrzelonym przynajmniej. Powróciwszy do gospody, nie chciał się wypowiadać z sukcesów kroku swego przed Tadeuszem, kazał zaprząć kolaskę i wyjechał z miasteczka. Ale w Siekierzynku zasiadł sam w okularach robić kopję drzewa genealogicznego Siekierzyńskich, na czterech arkuszach sklejonych opłatkiem i dokonawszy tej wielkiej pracy, wysłał z nią umyślnego do wojewody.

— Niech zobaczą, przekonają się i żałują — rzekł w duchu dumnie. — Darowałbym im, gdyby

o pieprzu wiedzieli, ale poniewierać i lekceważyć Siekierzyńskich! nie wiedzieć, co oni znaczą! to głupota i barbarzyństwo! Nie dziwię się, że kraj upada, gdy pamięć najzasłużeńszych ginie w narodzie.

Gwałtownie rozgniewany na wojewodę, udał się do Czerczyc dotknięty do żywego i trzy dni na podagrę ciężko odchorował.

Pan Tadeusz równie z nim przemyślał o ożenieniu, ale nie brał się do niego; byli życzliwi i nowi przyjaciele, co mu swatali różne panny, ale ich prosapja nie przypadła do smaku ani stolnikowi ani Siekierzyńskiemu; chcieli oba wielkiego, bardzo wielkiego imienia. — I nie spieszył się nasz bohater do ołtarza, a ile razy wspomniano mu ożenienie, kobiety, wzdychał dziwnie i zdawał się z jakąś myślą, z jakimś wspomnieniem pasować. Sam sobie zostawiony, ponury był i zasępiony; nic mu nie smakowało, a w przyszłość patrzył jak skazany na żywot ciężki, w którym niema ani nadziei, ani uśmiechu pogody. W początku pobytu na wsi, w czasie procesu, zajęcie, walka, ciągłe jej zmiany, zajęły go tak żywo, że się zdawał oswajać z położeniem swoim; teraz w miarę jak spokojniejszym był i na wsi gospodarzem tylko został, nigdy uśmiech weselszy ust mu nie rozwiązał, nigdy czoło się nie rozchmurzyło. Zdawał się żałować przeszłości? czego? nie wiem! tak często żałujemy kłopotów i trosk przebytych nawet! czując, że z niemi uroniliśmy nieodzyskaną część życia! Stolnik napróżno starał się go rozruszać, rozbawić i pokrzepić, wreszcie spluwał mrużąc:

— To te nieszczęśliwe zgubiło go kupiectwo i sumienie go gryzie! sumienie! plama niestarta! byłem pewien, że to uczuć musi prędzej później! Gdyby się ożenił.

Ale gdy mówiono o ożenieniu, coraz chmurniej Tadeusz spuszczał czoło i uparcie milczał.

— Cóż *tandem* będzie? — rzekł raz stolnik — myśl asindziej, myśl, nie bierzesz się, nie szukasz, a latka płyną... Jeśli dziś niełatwo co znajdziesz, cóż dopiero potem?

— Panie stolniku! — rzekł, zbierając się na odwagę Siekierzyński — wszak szlachcic, który się żeni bodaj z... mieszczanką (wymówił to z nieśmiałością), nie traci przez to szlachectwa sam, ani jego dzieci, owszem, nadaje żonie.

Stolnik porwał się na spuchłe nogi, wlepił w niego oczy wielkie zaiskrzone, padł na krzesło i, stukając ręką:

— Co mi to waćpan prawisz znowu? Ha! ha! widzę co się święci! Coś lubelskiego za pasem!

— Ja się pytam.

— A po kiego djaską byś się pytał, gdyby co nie było w tem?

— No, a gdyby i było?

— Jeszcze tylko tego ci braknie! — burzliwie krzyknął pan Kornikowski, chwytając się za głowę i z rozpaczą dodał. — Idź i czyń co ci się podoba, ale wyprzyj się mnie, mojej znajomości i opieki i imienia ojcowskiego i *originis suae*. Tak! tak! prochy ojców poruszysz w grobie, popioły dziadów zadrzą na ciebie! Ostatni! ostatni z imienia, coby

splendor i lustr stemmatu swego miał podnieść, co-
by winien dźwignąć *ex oblivione* imie szanownę, za-
grzebać je chce i nową okryć plamą! Nie dość li
tych pieniędzy *in tam vili mercaturae statu* zapraco-
wanych, któreby dłoń piec powinny, chcesz jeszcze
dać dzieciom swym matkę mieszczańkę... Jeśli to
uczynisz, wiedz, waćpan, że *nomine et auctoritate*
parentum wyklnę cię!

Dokończywszy perory stuknął stolnik po krześle
i zdyszany zamilkł, spoglądając, jaki też uczyniła
skutek na umyśle Siekierzyńskiego.

On stał zbladły, zmięszany jak winowajca.

— Panie stolniku, — rzekł, — nie myślałem o tem
i nie myślę, niepotrzebnie się unosisz, inny *casus*
wywołał moje zapytanie.

— Jakież? jaki?

— Wszak-ci to pan Zamszycki ożenił się z Wir-
manówną, warszawskiego kupca córką.

— Pan Zamszycki! ale cóż to za szlachcic? —
rzekł stolnik — pan Zamszycki rękoma dziada swe-
go skóry na zamsz wyprawiał.

— *Tandem* szlachcic.

— Skartabellat! mości panie! nie sztuka! nie
sztuka, niech się żeni z kim chce, ale Siekierzyń-
ski! Waćpan nie znasz coś winien imieniowi swemu!

— Ależ ja nic nie myślę!

— Czegożeś pytał?

— Aby się dowiedzieć, co będzie z Zamszyckimi?

— Co będzie? będą taką kiepską szlachtą jak
i byli, bo niezawodna rzecz, że ożenienie z ko-
bietą niższej kondycji nobilituje ją *de facto* jeśli nie

de jure; albowiem co nie szlacheckie, tego i sam Pan Bóg nie uszlachci, chyba czas, chyba wieki...

Stolnik wymówił to z taką pewnością i wiarą w prawdziwość słów swoich, że gdyby nie to, że jeden go Siekierzyński słuchał, byłby na śmiech zarobił.

Z niedowierzaniem wpatrywał się długo jeszcze w Tadeusza, jakby go badał, i pomimo zapierania się jego, pozostało mu jakieś podejrzenie na sercu. To jeszcze przyspieszyło starania o najrychlejsze ożenienie, i jakoś w kilka tygodni odebrał pan Siekierzyński kartelusik od stolnika, zapraszający go do Czerczyc, dla pomówienia w ważnym interesie.

Zwykł był zawsze pana Kornikowskiego jak ojca słuchać i zaraz do niego pośpieszył. Był to majowy ranek, a stolnik niecierpliwy już siedział w ganku, choć chłodny wietrzyk powiewał, i czekał pupila niespokojny widocznie. Zaraz odprawił ludzi, chwycił go za rękę i cicho szepnął:

— Mam! mam!

— Co panie stolniku?

— A żonę, żonę, żonę dla asindzieja, *ut sic!*

Tadeusz smutnie na niego spojrzał i usiadł, czekając relacji.

— Człek czasem szuka, szuka daleko a pod nosem nie widzi — mówił pan Kornikowski — właśnie o dwie mile nie dalej, w Smarzewie, jest panienka jakiej nam potrzeba.

— A nie będzie tam jak z kasztelanką?

— Nie mów mi waść o tym głupcu wojewodzie, wszyscy ci magnaci nowej kreacji to trutnie i pę-

cherze nadęte... To zupełnie co innego, szlachecka córka, ale doszedłem, że to szlachta godna Siekierzyskich... Tarłówna, mosanie, Tarłówna! Wiesz waść, że Tarłowie byli *Comites*, familja wielka! Mówią, że wygaśli, ale jako żywo, jest odłam tej rodziny... Tarło, ojciec mojej panny, mieszkał w Smarzewie, miał pięciu chłopów, umarł i zostawił trzy córki, trzy Tarłówny! Wystaw sobie, żywa dusza i oni sami nie wiedzą, co znaczą, a to szlachta, a nawet imieniem magnaci... Panienka nie tak bardzo młoda, lat dwadzieścia pięć, druga dwadzieścia i trzy, trzecia dwadzieścia, wszystkie gładkie i gospodynie wielkie... Starszą oczywiście wziąć potrzeba, bo młodszej przed nią nie wydadzą, taki zwyczaj i święty zwyczaj, niema co mówić.

— Ale, panie stolniku!

— Co to za ale? Uboga? hę? Znajdź-że sobie bogatą, ale Tarłówna! ha! Tarłówny na drodze nie znaleźć! *raritas*, precjoz! Nowy lustr i splendor. Więc z południa jedziemy, jużem słówko puścił w ucho matkę, rozpatrzysz się i spodziewam, że to pójdzie jak po maśle, tylko mi proszę brać się zżawo...

Długo jeszcze stolnik dawał naukę Taudeuszowi, który uparcie milczał, a posławszy za nowym kontuszem i strojem do Siekierzynka, sam świetnie przybrany, wywiózł pupila, nie czekając, tego samego dnia do Smarzewa.

My ich uprzedźmy tutaj i zapoznajmy się z panią Tarłową i jej córkami. Domek ich stał w wiśniowym sadzie na końcu wioski, ubożuchny, schlud-

ny, czysty i zdawał się mówić do przejezdnych i gości:—dobrze mi tutaj! — Czyste było podwórko, choć gospodarskie, bo pełne drobiu, płótna, nici, ostawione obórkami, stodólkami, chlewkami. Małe to było wszystko ale czyste, porządne i zewsząd z ładem patrzyła zamożność, na jaką stało drobnego szlachcica. Nigdzie złamanego płotu, nigdzie odrapanej ściany, odartego dachu, kałuży i śmiećka, każde stworzeńko, co się ukazało, tłuszcuchne, błyszczące, z pełnemi bokami.—Zdaleka śpiew dołatywał rażny, i jakby zapach szczęścia, szczęścia co nie patrzy wysoko, nie żąda wiele, a jak zielony bluszcz rozściela się potulne po ziemi.

Wieczorami widziałeś panią Tarłową, niestara jeszcze niewiastę w czepcu białym, w fartuchu, u którego paska ogromny pęk kluczy wisiał, krzątającą się z córkami koło gospodarki. Trzy jej córki, jak trzy krople wody do siebie podobne, śliczne dziewczęta, choć ich piękność nie bardzo uderzyła stolnika, smukłe były jak topole, rumiane jak jabłka, wesołe jak ptaszki. Kochały matkę nade wszystko na świecie, a tak im było dobrze z nią i przy niej, że gdy o nie kto się starał, zwykle mówiły z uśmiechem:—O jeszcze czas! jeszcze czas!

I tak pierwsza Józefa doszła lat dwudziestu pięciu, bo stolnik dobrze wiedział lata, zajrzawszy do metryk dla pewności, dwie drugie dwadzieścia przeszły. Miały dosyć ubogiej szlachty, co się o nie starała, bo je wszyscy znali, jak były pracowite i pocziwe, ale im tak ciężko rozstać się było z matką. Nawet najstarszej podobał się podobno

niejaki pan Zeligowski, który o nią trzy razy się oświadczał, ale ona go tak prosiła, żeby poczekała, iż się usunął i bywał tylko czasem u nich jak przyjaciel domu.

Rozkosz bo to była patrzeć na to życie spokojne wdowy Tarłowej i jej córek, tak ciche o tak jednostajne, tak szczęśliwe! Nigdy tam swargu, nigdy krzyku, nigdy chmurki na czołe, a taka pobożność, a z nią takie wesele i pokój duszny!! W niedziele panny z matką idą do kościoła, pobrawszy się pod rękę, gdyby trzy rówieśnice, z książeczkami pod pachą, ubrane czysto a skromnie; idą a na matkę poglądają, to ją która przytrzyma, to jej książkę weźmie, to osłoni od słońca, to chustką okryje... Stara aż płacze z radości i całuje córki, a one koło niej jak kurczątko szczebioczą, cisną się, chichoczą... A choć to tylko same kobiety mieszkały i młodzieży nie brakło, która do domku zaglądała, takie tam było życie przykładne, zwyczaje święte, że ktoby co na nie powiedział, byliby go sąsiedzi ukamienowali. /

Wdowa już po razy kilka wspomniała córkom o zamążpójściu, obawiała się je, broń Boże śmierci, zostawić tak same bez opieki sierotami na świecie; ale żadnej nie zamarzyło się jeszcze inne nad domowe szczęście, żadna nie chciała opuścić matki. Płakała wdowa, lecz zmuszać nie miała siły, a tak była im wdzięczna za przywiązanie. Gdy stolnik nadmienił jej o Siekierzyńskim, zamożnym posiadaczku pięknej wioski, nic na to nie odpowiedziała, prosiła tylko, żeby przyjechał, myślała, że się po-

dobąć potrafi której z córek. — Ale Tadeusz mimo wszystkiego co miał za sobą, tak był nieśmiały wobec kobiet, tak chmurny zawsze i smutny a obojętny, że niełatwo mógł której wpaść w oko. Jakoś ku wieczorowi wtoczyła się karijolka stolnika na dziedzińczyk Smarzewa, panny patrzyły przez okno na wjeżdżających i dwie pobiegły się przybrać, a najmłodsza tylko, Helenka, została przy matce, która gotowała się na przyjęcie gości.

Wszedł stary stolnik z grzecznym komplementem wysmażonym po staroświecku, przedstawując Siekierzyńskiego; powstała z podziękowaniem staruszka, a zaczerwieniona Helenka, opatrzywszy kawalera, wysunęła się co chyżej opisać go siostrze. Nierychło i one przecie nadeszły zarumienione, kłaniając się, a potem szybko kryjąc za krzeselko matczyne. — Stolnik za przybyciem ich prawić chciał i pannom grzeczności, ale ciągle się mylił, biorąc jedną za drugą, tak były do siebie podobne. — Tadeusz zbliżył się do najstarszej Józefy i chciał rozpocząć rozmowę od obojętnych przedmiotów, ale widocznie szło tępo, odwrócił się ku średniej, i tu nielepiej był przyjęty; a Helenka tak się wywijala, że i mówić do niej nie mógł.

Stolnik, poglądając na to, niecierpliwił się i mówił w duchu:

— Co u kata! nie umie się przysiąc jak należy nawet! Co za młodzież, co za młodzież? ani pić, ani smalić cholewek... Ja jeszcze dziś znalazłbym rychlej dziesięć słów, niżeli on jedno we własnej sprawie! — I okiem a miną pan Kornikowski podpędzał napróżno Siekierzyńskiego.

Nie kleiło się jednak wcale, aż tu i pan Żeligowski, pretendent najstarszej przyjechał, bo mu ktoś szepnął, że tam Siekierzyńskiego powieziono. Był to młody chłopak, ogorzały od gospodarskiej pracy, domator widać, nie wykwintnie wychowany, ale wesół, rażny i śmiały. Stolnik przeczuł przez skórę, co on znaczył tutaj, wejrzawszy na matkę i najstarszą córkę, które się na widok jego zarumieniały bardzo. Z pierwszemi odwiedzinami nie wypadało siedzieć długo, odjechali więc, pozostawiając za sobą pana Żeligowskiego, a ten wieczorem upadł do nóg matce i córce, formalnie prosząc o jej rękę.

Biedna wdowa rozplakała się, nie wiedząc co na to odpowiedzieć, Józefa milczała. — Rób co ci się podoba, moje dziecko.

— Nie mogę matki opuścić, nie mogę! — z płaczem zawołała córka.

— Moja droga, nie odpychaj losu, nie rozdzielim się przecie...

— Na wszystko się zgadzam — przerwał Żeligowski — byleś mi pani nie odmawiała dłużej, czekałem długo, milczałem, cierpiełem.

— Józiu! rób co chcesz i niech ci Bóg błogosławi — wyjęknęła matka.

— Ja nie mogę porzucić mamy.

— Dziecię drogie! przecież kiedyś rozstać się musimy, a Bóg wie, kiedy i jak; potrzebujesz opiekuna siostrze i sobie, pamiętaj o tem, gorzkoby mi było umierać, zostawiając was bez podpory, bez opieki...

Odłożono do jutra odpowiedź, a Żeligowski odjechał pełen nadziei; wieczór w Smarzewie zszedł na placu, namysłach, uściskach i namowach staruszki. Córka choć kochała i szanowała swojego narzeczonego, tak się lękała wyjść za mąż! Przywykła do ciszy swojej strzechy, do słodkich pieszczot macierzyńskich, do sióstr, których serca biły tak zgodnie z jej sercem; obawiała się nowego życia... tęskno jej było za każdym kątkiem rodzinnego domku, za ganeczkiem, na którym siadywały wieczorami, za pokoikiem wspólnym, za ogródkiem, za ludźmi dobrymi, z którymi pracowały... Ale Żeligowski przysięgał, że większą część roku spędzą przy matce, że ją uczyni szczęśliwą i wolę jej spełniać będzie, matka nalegała i nazajutrz Józia dała słowo ze łzami.

Gdy w dni kilka stolnik przybył znowu z panem Tadeuszem, już było po cichych zaręczynach, i z kolei przypadały na średnią siostrę konkury Siekierzyńskiego. Ale Marja żadnym sposobem iść za mąż nie chciała i pomimo nalegań matki, która jej świetny los przedstawiała w przyszłości, ze łzami błagała, żeby nie zmuszała ją opuszczać domu. — Helenka tak młoda! Józia dom opuszcza, o! nie! nie! ja za mąż iść nie mogę, ja muszę zostać z matką!

Gdy więc stolnik, zostawszy sam na sam z wdową, pragnął od niej pozwolenia starania, odebrał z największym zdziwieniem tylko grzeczną odmowę. Z początku uszom nie wierzył, domyślał się skrytych powodów, nawet kupiectwo Tadeusza na myśl mu przychodziło, wkońcu rozgniewany odjechał,

składając winę na niezgrabstwo i zimne obejście Siekierzyńskiego.

— To zakłęcie jakieś! — rzekł — tam się nie udało, tę nam ktoś wziął z przed nosa, trzecia rekuzuje; niech-że sobie pan Tadeusz sam się stara, sam robi co lepiej, a ja ręce umywam i już więcej się w to nie wdaję.

Tak mruczając, wrócił stolnik do Czerczyc i pół roku siedział spokojnie, Tadeusz ze swojej strony siedział także jak przykuty, mało między ludźmi goszcząc.

Jakoś już ku jesieni, Jakób, stary sługa pana stolnika, przybył z listem do Siekierzynka, a pismo było w następujących wyrazach:

„Lepiej późno niż nigdy, dobre to *proverbium*, a zatem nie patrząc jak dawno i dlaczego Czerczyce z Siekierzynkiem się nie komunikują, pierwszy krok czynię zapytaniem przyjaźnem: — Co nowego u waści? czy nic ze strony *nuptialis copulae* nie słyhać? Radbym, żebyś waszmość pan pilniej o tem myślał. Ja po staremu modląc się i domu pilnując, coś tutaj niby napytałem godnego, co jeśliby projektów powziętych nie mieszało, proszę dla bliższego porozumienia do mnie jutro na barszcz, i łaskawej się pamięci polecam, zawsze *humillimus servus et amicus*

Piotr Kornikowski,
stol. nur. manu propria"

Nie mając nic lepszego do czynienia, pan Tadeusz, chociaż nie widać było w nim pośpiechu,

pojechał do Czerczyc nazajutrz. Pan Kornikowski spotkał go z miną zadowoloną z siebie i tajemniczą, posadził i, odprawiwszy Jakóba, który rad był się przyzostawać, słuchać rozmowy i do niej się mieszać, tak począł:

— No! ja stary, w domu siedzę, a jeszcze ze mnie lepszy widzę od waszmości szperacz! oj! bo-daj to naszego wieku ludzie, do wszystkiego! wy młodzi rzekłbym *fruges consumare nati*, gdybym nie wiedział, że po swojemu pracujecie. Ale co to za porównanie do nas, gdyśmy lata wasze mieli!

Tadeusz się uśmiechnął bez ochoty do śmiechu.

— Słuchaj-że, waćpan, co teraz to *certe* i *certissime* mamy pannę i co się zowie.

— Panie stolniku, nie łapmy ryb przed niewodem, czy nie pamiętasz kasztelanki i Tarłówien?

— Wypadki! *eventa extra ordinaria!* ale co teraz...

— Jak mnie, to się to jeszcze raz przytrafić może.

— Nie! nie, do trzech razy sztuka! słuchaj, waćpan: a naprzód *quo ad prosapiam*, będziesz miał ni mniej ni więcej, tylko *Opalińską!*

Rzekłszy to, stolnik zastanowił się i zdawał słuchać dźwięku, jaki usta jego wydały, z rozkoszą.

— Słyszysz waćpan — powtórzył — *Opalińską!* Ubożsi to są *Opalińscy*, nie przeczę, lecz *stemma gentilitium* też same, ród ten sam, ilustracje wielkie. Państwo *Opalińscy* stąd o mil sześć zamieszkali, mają wioskę zadłużoną, to prawda, ale córkę jedy-naczkę... Cóż waść na to?

— Kwestja czy wydadzą?

— To już waścinej głowy kłopot, staraj się, jak należy. Ja tam już byłem, dla spenetrowania intencji i z ojcem dobrym, moim niegdy znajomym, mówiłem *aperto corde*, okazując mu, że Siekierzyńcy godni Opalińskich. Trzeba, żebyś wiedział, iż i *non sine ratione*, łaskotliwi są na szlachectwo. Pierwszy to warunek dla zięcia... *nobilis origo*.

— Zdaje się, że mi nic zarzucić nie mogą.

— Byleby ich pieprz nie zaleciał — szepnął pan stolnik, ręce składając; Siekierzyński udawał że niedosłyszany.

— Ale jakież to dom, ludzie, jakiego nabożeństwa i humoru rodzice, jaka panna? — spytał Tadeusz — jeśli to nie zmęczy pana stolnika, radbym bardzo posłyszał.

— Więc słuchaj: znam ich oddawna. Opaliński sam, statysta i polityk głęboki, trzykroć był deputatem na sejmy i inne sprawował urzędy, dwakroć komisarzem do rozgraniczenia był mianowany i w trybunale zasiadał, to dość powiedzieć, człek publiczny, i na usłudze publicznej fortunki ojcowskiej nadwerężył. Postawa Ulissa, mowa Cicerona, *togatus* nawet, gdy do stołu z rodziną siada, znać w nim człeka publicznego, ciągle zaprzątzonego myślą poważną. Z tego powodu zdawszy gospodarę na jejmość i wielkie mając rozchody, nadtracił ojczystego. Jejmość Rawiczówna także urodzona pięknie, włada w domu wszystkim i rozporządza, matrona poważna i godna tak zacnego męża, białogłowa stateczna. Córka młoda jeszcze, skromna

i surowo wychowana, po swojej myśli nic nie robi, więc tu do rodziców potrzeba więcej obrócić staranie niż do niej. Zresztą dom zacny *omnimodo* i szanowany, a długi, które majątek obciążają, wstydu im nie robią, boć fortunki dla próżności i dla pokazania się nie strwonili, ale uczciwie na posługach kraju nadwerężyli swego. Jest wszelkie podobieństwo, że JmPan Opaliński dostanie starostwo. Żeby napróżno zawodu nie mieć, wozilem z sobą wasze drzewo genealogiczne, rozpatrzył i z uwagą i rzekł: — Niech-że poznam osobiście pana Siekierzyńskiego. A zatem pojedziemy.

Jak rzekł stolnik, tak się stało, pojechali i po okropnych wertepach drugiego dnia stanęli u karczemki pana deputata, w Zalesiu, gdzie kille podróżne przemienili na strój wytworniejszy: stolnik swoje odświętne suknie, a Tadeusz nowo sprawione wykwintne przywdział odzienie, które był z Warszawy sprowadził. Pomimo lat trzydziestu kilku, wyglądał jeszcze świeżo, młodo i przystojnym był mężczyzną; wiek podobnym go bardzo uczynił do ojca, głowę tak nawet nosił i ręce jak skarbnikowicz zakładał. Przypasawszy sadzoną starą karabelę do pasa, siadł stolnik z pupilem do kolaski i zajechali przed ganek. Dwór w Zalesiu był staroświecki ale porządny, wznosił się na wysokiem podmurowaniu, wiodła do niego brama murowana z herbami i godłami rodziny. Trochę na boku widać było w lipach kapliczkę drewnianą z maleńką kopułką i krzyżykiem. Ogromny na słupach sparty ganek wiodł do sieni przestronnej, z której do sali

ciemnawej od ogrodu weszli goście, a tu zastali deputata przechadzającego się po niej z listem w rękę. Był to mężczyzna pięknego wzrostu, z głową podgoloną, szlachetnych rysów twarzy, w których nieco dumy patrzyło, ostatek włosów siwoszpakowatych, zaczesanych do góry, na wierzchu głowy strzępił się rezolutnie; barczysty, zbudowany mocno, nie zdawał się mieć lat więcej nad pięćdziesiąt kilka. Snać z pracy marszczki wczesne wystąpiły mu na czoło i pokrajały czerstwe a rumiane jeszcze policzki. Ujrawszy stolnika, postąpił ku niemu, zmierzył oczyma Tadeusza i prezentowanego sobie przyjął z powagą i wyższością grzeczną. Zasiedli, a jak bywało, zaraz się *de publicis* rzecz poczęła, a że to materia nie przegadana, dobrą godzinę zajęła i ani się postrzegli gdy zmierzchło, i sama pani z córką weszły po podaniu świec.

Pani miała też postać surowo-poważną, a córka ze spuszczonej oczyma jak przepłoszona wyglądała przepiórka. W rysach deputatowej znać było przywykłą do panowania niewiastę, a ze spojrzeń męża w tę stronę niespokojnych i błagających, poznał Tadeusz, że ster domu spoczywał w rękę niewieściem. Panna Izabela jak siadła obok matki i utopiła oczy w posadzkę, tak ich się podnieść nie ośmieliła, tylko ukradkiem i to niepostrzeżenie, wyprostowana zajmując miejsce swoje, jak drewniana laleczka. Tadeusz nie znalazł ją ani piękną, ani brzydką i nic o niej powiedzieć sobie nie umiał. Była to istota nieznacząca, nie uderzająca niczem,

bez wdzięku młodości, bez życia, bez ruchu, coś martwego i zaniemiałego. Czy ją Bóg tak stworzył, czy wychowanie uczyniło, ciężko było poznać nawet zdaje się, że ciekawości nie miała, bo oczy jej ledwie parę razy obojętnie się podniosły i obojętnie odwróciły od przybyłych. Deputat tymczasem rozprawiał o podobieństwie wojny z Turkami i *de probabili* onej *eventu*; o wieściach od rakuskiej granicy, a nawet o sumach neapolitańskich, które był wyliczył dokładnie i memorjał o nich przygotował wielce ciekawy.

Deputatowa zgóry jakby z tronu mówiąc powolnie i cedząc słowa wielce dobrane, rozmawiała z panem Tadeuszem; wyprostowana, sztywna, poważna i nudna nazabój! Nie możemy zaprzeczyć, że i stolnik i Tadeusz, gdy się do snu rozeszli i sami pozostali w narożnym pokoju, odetchnęli jak po ciężkiej pańszczyźnie, po tym wieczorze ceremonialnym, który nie był już szlacheckim, a jeszcze pańskiego nie doszedł. Stolnik wszakże kazał admiirować Siekierzyńskiemu rozum i elokwencję ojca, wspaniałą powagę matki, wdzięk skromny córki. Tadeusz milczał, jakieś wspomnienie przelatywało mu po głowie, tęskne wydobywając z piersi westchnienie. Pokładli się spać, a stary Kornikowski bił Muzułmanów we śnie i jechał z poselstwem do Carogrodu o pokój wiekuisty traktować. Siekierzyński śnił o Lublinie i spojrzenie Ludwisi na schodach kamienicy w Grodzkiej ulicy przeszływało go nawskroś, bijąc sercem odmłodniałem.

Nazajutrz zatrzymani grzecznie pozostali, a dzień

przewlókł się podobny wczorajszemu wieczorowi, wydając się wiekiem. Stolnik im też się nudził, tem więcej się unosił, żeby Tadeusz tego nie poznał, powtarzając co chwila: — Opalińska! mości dzieju! Opalińska! — Trzeciego dnia zaproszeni, by odwiedzali Zalesie, wyrwali się przecie, odetchnęli i odjechali. Długo milczeli w drodze, aż stolnik wreszcie niepokojącą go przerwał ciszę słowy: — —A cóż, panie Tadeuszu? nieprawdaż? dom poważny, zacny, godny, jakich mało. Ojciec statysta i polityk, matka istna rzymska matrona, córka pełna pudoru i skromności niewieściej, słowem *hoc erat in votis!* znaleźliśmy czego żądali! — Pan Tadeusz słabo odparł Kornikowskiemu, nie unosząc się zbyt niemi pochwałami.

— Ani słowa — rzekł — dom bardzo szanowny, ludzie zacni...

— Deputat trochę zanadto mówi o rozbawieniach, w których komisarzował — rzekł stolnik, śmiejąc się — ale cóż to szkodzi?

— Zapewne! — obojętnie odpowiedział Tadeusz.

— Matka trochę za serjo i za poważna, godziłoby się też kiedyś i roześmiać.

— Tak, toby nie zaszkodziło.

— Córka ma minkę trusi, ale tem lepiej.

— Dlaczego, panie stolniku? — zagadł Siekierzyński.

— Pytasz mnie asindzi dlaczego? dlatego, że skromność jest kwiatem młodości, *flos juventutis pudicitia*.

— Szkoda, że tak mało ma życia, mowy i ruchu.

— Wolałbyś fertyczną! no! a ja wolę powolną; kto się bardzo rusza, często za daleko się posunie, bezpieczniej w miejscu zostać. No... ale jak-że się podobali?

— Dosyć.

— Tylko dosyć?

— Czyż *dosyć* nie dosyć? — spytał Tadeusz.

— Wolałbym *bardzo*, ale i na tem przestaję! — rzekł stolnik.

Po tej rozmowie krótkiej, usposobieni do snu, obaj podróżni mrużyć oczy zaczęli, i do Czerczyc drzemiący przybyli. Nie rychło wybrali się w drugą podróż, i Tadeusz nie śpieszył wcale, ale stolnik go przypilnował, i mimo dręczącej go pedogry, sam się z nim wybrał, aby być pewniejszym odwiedzin, które zresztą odbyły się jak pierwsze. Deputat siedział na krześle, perorując *de rebus publicis*, deputatowa mało mówiła cedzonym sposobem, córka nic wcale. Spytana przez pana Tadeusza o coś raz i drugi, odwołała się do matki, a matka po dojrzałym namyśle odpowiedziała za nią bardzo wytrawnie.

Stolnik, pomimo uwielbienia jakie miał dla państwa Opalińskich, drugiego dnia począł ziewać i choć zręcznie się kułakiem zakrywał, Siekierzyński postrzegł ten symptom nudów, których i sam doznawał. Cały dzień upływał jednakowo, na jednostajnej gawędzie, w jednych nawet salki owej miejscach, gdyż tu i deputat, i pani, i córka mieli swoje krzeselka uprzywilejowane i z nich się nie ruszali. Przy trzeciej bytności, stolnik swat oświad-

czył państwu Opalińskim żądanie pana Siekierzyńskiego starania się o rękę i dożywotnią przyjaźń JM. panny Izabeli. Na co odpowiedziała sama deputatowa, zabrawszy głos za siebie i męża, iż wielki im zaszczyt czyni staranie tak godnego kawalera, ale otwierając mu dom swój, decyzję dalszą pragną zachować do lepszego poznania pretendenta. Poczem pani Opalińska poczęła się rozpytywać stolnika o substancję Siekierzyńskiego, stan jego interesów i *curriculum vitae*.

Zapłonił się, choć stary, Kornikowski, gdy do żywota pupila jego przyszło, i musiał manewrować bacznie, by się z pieprzem nie spotkać; deputatowa wyprostowana słuchała, potrząsała głową i niczem nie okazała, co myśli. Gdy ukończył, skłoniła się, popatrzała na ręce swoje, potem na sufit, potem na podłogę i odeszła. — Panu Tadeuszowi otwarty odtąd był dom w Zalesiu, ale do niego zbyt zapalczywie nie uczęszczał i napędzany przez stolnika, niekiedy tylko zajrzał na krótko, przysiadł się do Izabeli, za którą zawsze odpowiadała mu matka, pokarmił rozmową deputatą i, ogromnie ziewając, odjeżdżał. Te konkury tak były utrapione, że wreszcie postanowił się formalnie oświadczyć i wołał ożenić, niż dłużej z panną Izabelą przez usta matki konwersować o pogodzie, słocie i nabożeństwie w parafjalnym kościele.

Stolnik ucieszony, że do tego przyszło, pewien pomyślnego skutku swego poselstwa, przygotowany do sukcesów, wyjechał do Zalesia, na palcu mając zawczasu pierścień z soliterem, który chciał

ofiarować od siebie pannie Izabeli. Na twarzy jego malowała się radość i uspokojenie, a wchodząc do znajomej salki zaleskiego dworu, tak był wypogodzonego oblicza i roztargniony, że nie postrzegł, iż chmurniej jego daleko niż zazwyczaj i z pewnem zakłopotaniem przyjęto. Deputat wprowadzie ujął go za rękę serdecznie, ale na długi komplement, pełen aluzji, odpowiedział sucho, krótko i ogólnie; deputatowa zaś, zagryzając wargi, dostojęństwa swego i godności pełna, ledwie raczyła kiwnąć mu głową i odwróciła się do okna. Panna Izabela nie ukazała się i krzeselko jej pozostało próżnem.

Przyzwoity czas dawszy na przygotowanie i spoczynek, na zebranie myśli, pan Kornikowski wystąpił wreszcie z oracją swatowską; zdumiało go, że słuchano jej w głuchem a chłodnem milczeniu, a gdy skończył i pokłonił się, w rzeczach domu tyczących się, panująca i decydująca pani deputatowa, lekko pochyliwszy głowę, odezwała się dyktatorsko:

— Gdyśmy w dom nasz JMPanu Siekierzyńskiemu, prowadzonemu przez wacpana dobrodzieja, uczęszczać dozwolili w celu starania się o względy nasze i córki, nie było to wszakże żadnem z naszej strony zapewnieniem sukcesu tych starań.

— Tak! sukcesu tych starań! — powtórzył wedle zwyczaju deputat, który w domowych sprawach zonie potakiwał.

— Aniśmy myśleli czynić dla widoków naszych najmniejszej wioleńcji afektom i skłonności córki naszej.

— Skłonności córki naszej! — kiwając głową rzekł deputat.

— Przeto też — kończyła jejmość — nie możesz nam W. Pan dobrodziej mieć najmniej za złe, jeśli dziś przekonani, iż serce i uczucie Izabelki naszej zwróciło się ku innej osobie...

— Tak, ku innej osobie — mówił deputat.

— Widzimy się z żalem w konieczności podziękowania W. Siekierzyńskiemu za okazany nam szacunek, a razem proszenia go, aby nam przebaczył, iż propozycji jego przyjąć nie możemy.

— Przyjąć nie możemy! — echem dodał deputat.

Stolnik osłupiał zupełnie i stanął jak wryty, nie rozumiejąc nic, nie mogąc wierzyć uszom swoim.

— A zatem — mówiła sama pani — daruj nam, stolniku.

— Daruj nam, stolniku — przemówił deputat.

— Ha! — rzekł pan Kornikowski — wola Boża, ale niech-że wiem, kto tak szczęśliwy, iż się umiał państwu zasłużyć przed nami.

Deputatowa zmieszała się, potrząsła głową i dawała znaki mężowi, aby imienia nie wyjawiał, ale po czasie, bo pan Opaliński już je wypuścił z ust niezręcznie, za co mu pogrożono na nosie.

— Pan Piątecki.

— Co! Piątecki! syn wychrzty! — wyrwało się stolnikowi.

Deputatowa zaczerwieniła się nadzwyczajnie, deputat cały zmieszany schwycił za rękę Kornikowskiego. — To fałsz, mości dzieju! to niegodna kalumnja!

— Jakto kalumnja! kiedym nieboszczyka tatka do chrztu trzymał — rzekł stolnik odważnie. — No! daj Boże szczęście państwu, a ja tu już niepotrzebny, do stópek się ścielę.

Oboje państwo bez ruchu pozostali w swoich miejscach, gotując się do walki domowej, gdy pan stolnik trochę zemstą swą pocieszony, ale zawsze w gruncie gniewny, siadł do kolaski i spiesznie odjechał. Przybywszy do Czerczyc, nie posłał zaraz do Tadeusza, a ten się też nie dowiadywał do niego, snąc mu do tego szczęścia niebardzo było pilno, i spotkali się dopiero w kilka dni potem w kościele. Miarkował Siekierzyński z tego, że się stolnik nie spieszył, iż niebardzo pomyslną otrzymał odpowiedź; pan Kornikowski zaś, bojąc się zmartwić pupila, a wstydząc się za zawody, których był okazją, zwlekał z przyznaniem się do rekuzy nowej. Ale kryć jej dłużej nie było można, zeszli się u księdza proboszcza na bigosie i zrazach po sumie.

— A co, panie stolniku?

— Względem czego?

— Jak tam poszło w Zalesiu?

— A w Zalesiu! zachciałeś! doszedłem, że to są Opalińscy nie z tych prawdziwych, ale innego herbu i nie tak przedziwna szlachta, możemy im dać pokój.

— Serjo! ale czyż się to godzi?

— Ja to ułatwię.

— Stolniku! przyznaj się do harbuza.

— Ale nie! nie! któż to waści powiedział?

— Nietrudno zgadnąć.

— To nie tak było! podstawilem tam sam Piąleckiego, żeby nas wyręczył... to neofita, jemu i taka szlachta dobra.

Tadeusz roześmiał się.

— Czego się asindziej śmiesz? To cię nie martwi?

— O! ani trochę!

— Proszę! a ja się bałem, żebyś się nie rozchorował.

— O! co o to, możesz być pan spokojny.

— Ale cię to przecie od tentowania szczęścia *in matrimonio* nie odstręcza?

— I nie zachęca! — rzekł Tadeusz.

— Co do mnie — przerwał stolnik — widać, że nie mam szczęścia do swatowstwa, trzeba temu dać pokój, rób sobie, waćpan, co chcesz. Jedną tylko mam prośbę, pamiętaj na ród swój i obowiązki jakie na ciebie wkłada. Żeń się zresztą z kimkolwiek, byle ze szlachcianką doprze urodzoną, nie myślmy o Tarłach i Opalińskich, o kasztelankach i tym podobnych specjałach; ojciec waścin miał zacną i godną kobietę, chociaż Pilecką. Aleć prawdę i Pileccy niczego! z Jagiellonami się zetknęli! zapominam!

Tadeusz umilkł i nic nie odpowiedział, stolnik rychło umknął do Czerczyc. Gryzły go niepowodzenia srodze, rad był widzieć żonatym pupila co najrychlej, a dokoła nikogo nie mógł znaleźć stosownego; bał się zaś jak ognia, aby Tadeusz, idąc za jaką serdeczną skłonnością, nie zniżył się do związków z rodziną świeżego lub wątpliwego szlachectwa.

» Tadeusz zdawał się ani myśleć o ożenieniu, choć pusto było we dworze na Siekierzyнку, choć tęskne tam wiódł życie. Dorota, która władała domem, podstarości, co za niego gospodarzył, bo Siekierzyński koło roli się nie znał i nie umiał wcale zarządzić robotą w polu, dwóch sług i woźnica, cały dwór składali. Brakło nawet rezydenta, o którego gdzie indziej tak łatwo, a choć się stręczył Bajdurkiewicz, zbyt nim gardził Tadeusz, żeby się ten na tem nie poznał.

Dobre to było stworzenie ów rezydent dawniejszych czasów, najpracowitszy z próżniaków, najpotrzebniejszy z przyjaciół i dla kawałka pieczeni na dobrowolną zaprzędany niewolę. Niech sobie kto chce na rezydentów wyrzeka, był to ród dziś wygasły ludzi bardzo pocziwych i potrzebnych. Czego rezydent nie robił? czego nie słuchał, nie cierpiał, a zawsze z twarzą pogodną, z obliczem wesołym, z gadką na ustach, z ukłonem. — Za pryncypała swego gotów był skoczyć w wodę, byle nie głęboką, w ogień, byle przygasły, pokłócić się gorąco, potuzać nawet ze słabszym. Chciałeś go do towarzystwa, toś go miał każdej chwili, dniem i nocą; nie żądałeś go, odchodził bez gniewu, gotów wrócić na zawołanie. Psy układać, zegarki naprawiać, dzieci wodzić na przechadzkę, grać na pozytywku kanarkom, na drumli do improwizowanego tańca, skakać kozaka z panną garderobową dla zabawy gości, opowiadać wesołe dykteryjki, kontentować się okrojną kością pieczeni i gąszczem krupniku, kto lepiej umiał nad niego; kto pokorniej stawał w kątku,

siadał ciszej na złamanem krzeselku, cierpliwiej dął mieszkciem w kominek i drzwi zamykał za każdym wchodzącym, nad poczciwego rezydenta! Było to zaparcie się siebie i poświęcenie uosobione! Nigdy *ja* z ust się biedaka nie odezwało, jego *ja* to był pryncypał, gospodarz, protektor; starał się sam być jak najszczuplejszym, jak najmniej zawadnym, zawsze szedł naostatku, zawsze nawet sługom ulegał. Szkoda nam dawnych czasów rezydenta! Ileż to dworów posyłało go po nowiny, robiło przez niego interesa, których wzięciem na barki był dumny; ile panien wydał za mąż, ilu ożenił kawalerów, ile pieniędzy natropił; ile się napocił za sprawą pańską, a za to wszystko miał jakiś kątek w oficynie, łojową świeczkę wieczorem, ostatnie miejsce u stołu, często szyderstwa, rzadko podziękę i wiele od sług do znoszenia!

Tadeusz tak był biedny, że i podobnego rezydenta nawet nie miał; pan Józefat Węgiel, który parę razy go odwiedził i po parze dni bawił, nie wiem czemu nie upodobawszy sobie w Siekierzynku, na dłuższy pobyt zostać się nie chciał. Goście też jak w początku często przybywali, tak później, gdy pan Tadeusz rzadko obwiedzał sąsiadów, w rece-remonjach z nim będąc, omijali go i krzywili nosy. Słowem, pusto było i tęskno, i smutno w domu pana Tadeusza; ale jemu z myślami zdawało się w tem osamotnieniu miło i dobrze; nie pragnął więcej, nie szukał nic innego, jak ojciec chodził milczący i dumal.

Kilka tylko razy zrywał się do Łublina, jechając, ale stolnik go zawsze wstrzymywał — po niego djab-

ła! poco? daj, waść, pokój! radbym zapomnieć, żeś tam był kiedyś! unikaj, waść, tego przekłętą miejsca.

Posłuszny Siekierzyński, choć go to kosztowało, słuchał starego przyjaciela i starzał na wsi w okamgnieniu. W kilka lat poczał szron wczesny pobiełać mu skronie i stolnik, który żeby nie pedogra, zdrów był i czerstwy, ujrzawszy to, niepomału się zafrasował.

— Żeń-bo się, waść! — mówił — żeń się sobie z kim chcesz! byle ze szlachcianką, bo coś mi zaczynasz szpakowacieć przed czasem, z niczego jak z nudów... A zresztą czas bo waszeci, żeby na nim dom nie wygaś, masz obowiązki, niech-że na pogrzebie twoim tarczy nie gruchoczą z waścinej winy.

— Sam wiesz, panie stolniku, żem się starał.

— Ale to trzeba jakoś żywiej się brać... co u licha!

— Nie widzę nikogo.

— Już waści powiadam, byle szlachcianka, byle dobra szlachcianka, więcej nie żądam...

Tadeusz spuścił głowę, westchnął, nic nie odpowiedział.

Coś w kilka miesięcy potem, stary Jakób na terlicy odwiecznej, przycwałował do Siekierzyńka z listem, który stolnik drżącą nakreślił ręką, w kilku tylko słowach.

„*Periculum in mora*, proszę jutro zjechać do Czerska, gdzie i ja się zwlekę, sprawa pilna i dobra, a pójdzie jak po maśle. *Ad videndum et componendum, amicus. P. K. mp.*”

Tadeusz, nie mogąc wybadać z człowieka, poco go wzywano do miasteczka, pospieszył i u Icka Szklarza znalazł stolnika, który przez okno wyglądając, już na niego oczekiwał.

— Otóż co teraz to nie ujdzie na sucho i jak mi Bóg miły, już się waść ożenisz!

— A to potoś mnie wezwał, panie stolniku?

— A pocóżby u licha, zjechał tu do sprawy spadkowej dawny mój towarzysz szkolny i najlepszy przyjaciel, którego, prawda, lat dwadzieścia nie widziałem, aleśmy zawsze *amiciissimi*. Pan Sebastjan Marżycki, godny człek i szlachcic karmazyn, prawda, że Marżyccy nie byli na krzesłach, nie posiadali starostw, ale od lat czterechset filjacja nie przerwana, zacnych ludzi i koligacji uczciwych. Pan Sebastjan Marżycki ma syna i córkę, lat dwadzieścia i dwa; słuszną, zdrową, przystojną, podobać ci się musi, a słowo mi dał, że ją wyda za waści... Już teraz chybabyś sam nie zechciał. Weźmij, waćpan, na siebie kontusz porządniejszy, każ zawołać cyrulika, żeby cię ogolił i ruszajmy. Tylko przestrzegam, że spoi, nim od progu do ławy dójdziesz.

— Ale ja pić nie mogę!

— Musisz pić, kochanku, mnie jak męczy pedogra, a dla twojej przyjaźni piję i pić będę.

— Ślicznie się zaprezentuję!

— To nic, taki obyczaj domu, na to nie ma remisji... musisz pić i upić się. Pan Marżycki mówi, że szlachcic dla kompanji powinien pić, choćby duszą rzygnał.

Tadeusz się skrzywił i głową pokiwał.

— Ale zato córeczkę mamy jak w worku.

— Radbym ją zobaczył... czyż ona tu jest?

— Al i syn i ona i z całym domem, bo tu z rok posiedzą pewnie.

— Więc każesz, stolniku?

— Ubieraj się i ruszajmy! niema rady, póki żyję, ożenić cię muszę...

Stolnikowi tak było pilno do Marżyckiego, że się nie dał staranniej ubrać Tadeuszowi, i pociągnął go z sobą do zajezdnego żydowskiego domu, w którym rozposażył się stary jego szkolny przyjaciel. Zdaleka hałas zwiastował kwaterę pana Sebastjana, już ożywioną gośćmi, których z całego pościągano miasta na śniadańko przyjacielskie. Byli tam prawnicy, prawników znajomi, znajomych krewni, krewnych sąsiedzi i t. p., bo panu Marżyckiemu chodziło o tłum i o hałas, i to dopiero nazywał zabawą. Nic to nie szkodziło, że ciasno było dla przybyłych, że się mieścili jak kartofle w garnku, dusili i popychali, że przyjęcie było niewykwintne wcale, bo od bigosu, kaszy, zrazów i flaków, od starej wódki, miodu i piwa; wesołość i braterstwo stanowiły wszystko. Jakoż wesoło było i bratersko bardzo: ściskali się znajomi i nieznajomi, prawili sobie komplementa ci co się raz pierwszy w oczy widzieli, jednali zwaśnieni, zaprzysięgali dozgonny afekt nie wiedzący swojego nazwiska; pan Marżycki chodził, zbliżał, wносił toasty i śmiał się wesoło czy było z czego czy nie było.

Rumiane, błyszczące lice pana Sebastjana, który głową wszystkich przenosił, jak księżyc wchodzący, świeciło nad zgromadzeniem, osadzone na ogromnych szerokich plecach i pokryte czarną gęstą, chociaż ku skroniom przerzedziałą czupryną. Białe zęby, nieustannie na wierzchu, dobrze odbijały od rumianych ust i ciemnego wąsa jego. Miał na sobie granatową kapotę i biały pikowy żupan pod spodem, w ręku kielich, a w drugiej butelkę, z którą spotkał wchodzących, i zaraz pił zdrowie stolnika i Siekierzyńskiego, co taką aplauzów wywołało wrzawę, że z drugiej izby ukazała się postać niewieścia, domyślająca się widać, że ktoś nowy przybył do grona gości. Ciekawem okiem zmierzył ją Tadeusz, bo na niego mrugnął stolnik: była to dorodna, piękna czarnobrewa, nie pierwszej młodości, ale świeża i żywa i widać śmiała a rezolutna. Ubiór jej skromny bardzo, niedawno przybyłą ze wsi okazywał, trzymała w ręku kluczyki, a oczyma mówić się zdawała: — Jeszcze jeden truteń! czyż ich było mało! — Ruszyła nawet ramionami; poczem znikła.

Pijatyka wściekle wrzała w całej izdebce, a nowoprzybyli trzeźwi jeszcze, dziwnie się wydawali wśród zarumienionych, ożywionych i już niezmiernie czułych gości co wcześniej poczęli śniadańko. Pan Sebastjan był wszędzie: wszystkich zaklinał, by pili, prosił na klęczkach, całował ledwie nie po rękach, dusił w szerokich objęciach, wykrzykiwał i, nie mogąc na kim wymóc spełnienia kielicha, używał w ostatku wykrzyku zwykłego: — Pod kpem!

mości dzieju, kto nie wypije!—Nie dali się też bardzo prosić Mazurowie i wychylali kielichy raźnie, tak że już kilku do ścian się przyparli, inni na ławach szukali podpory, inni pod ręce się brali, spodziewając się więcej sił w towarzyszu, a znajdując tylko też co u siebie nóg niepiewność i głowy zawroty.

Śniadanie znikło w mgnieniu oka, a toasty trwały niewyczerpanej różności, pod tysiącem pretekstów wznawiane. Stolnik, obawiając się ataku pedogry i pana Sebastjana zarówno, przyjmował pełne od niego, ale je zaraz bardzo zręcznie wylewał na doniczkę z Karolinką, która stała w oknie; Tadeusz z pijanymi odmieniał kielichy, coraz to próżnego dostając, a mało kosztując w istocie. Wszyscy, prócz naszych dwóch panów, byli pod hełmem, a gospodarz, który każde zdrowie sam pierwszy wnosił, zaczerwieniony był tylko i ochoczy, ale nie pijany wcale; o jego głowę nie takie opierały się już ucztym!!! Z szczególną był grzecznością i uprzejmością dla pana Tadeusza, którego wreszcie wzięwszy sam pod rękę, wprowadził do drugiego pokoiku, gdzie siedziała panna Klara, zajęta jakąś robótką, z miną rezolutną ale posępną: w progu jeszcze zmierzyła oczyma pana Siekierzyńskiego od stóp do głowy, i gdy ojciec go jej zaprezentowawszy, samych pozostawił, wskazała mu stołek przeciw siebie, czekając, by rozmowę począł.

Ciężko to przyszło panu Tadeuszowi, ale gdy raz usta otworzył, Klara uchwyciła nić i sama ży-

wo rozmawiać poczęła, śmiało rzeško i dowcipnie wyśmiewając pijaków i usiłując przekonać się wiadać, czy pan Tadeusz nie pozwolił sobie także nad miarę. Szczęściem nie miał sobie do wyrzucenia ekscesu i przytomny był zupełnie, co zdawało się bardzo zadowolnić pannę Klarę. Gdy ta rozmowa się ciągnie coraz bardziej ożywiona, w szparze drzwi zagląda oko stolnika, usiłujące czytać, czy się sobie młodzi podobali; a wrzawa pijana, zmieniając coraz wybuchy swe, z głośnej staje się głuchą, niewyrozumiałą, niekiedy tylko przerywaną krzykiem donośnym; nareszcie rozchodzą się niektórzy, milkną drudzy, a kilku niedobitków i niedopitków już siedząc, trącają szklankami, dopełniając miary potrzebnej do utraty sił i przytomności. Pan Marżycki jeszcze tu przewodniczy, jeszcze zachęca, jeszcze dolewa i woła:

— Jak mnie kochasz! lub: pod kphem, mości dzieju!

Po długiej dość rozmowie Siekierzyński wymknął się z alkierza, a stolnik, czyhający nań, złapał go w sieniach.

— A co panna? *ut sic?* — spytał.

— Panna! ledwieśmy się poznali, panie stolniku!

— Ale niczego? nieprawdaż?

— I miła i rozsądna... tylko ojciec.

— Co! ojciec! śmiałybyś co powiedzieć na ojca! mojego starego przyjaciela? to złote serce! dusza anielska!... szlachcic całą gębą.

— Lecz pocóż tak pije i pić każe!

— Albo to co złego? he! mospanie! — zawołał trochę podochocony stolnik, podrzucając czapkę —

u waściów to młodych wszystko złe czemu nie podołacie! Przy szklance wychodzi prawda na wierzch... *in vino veritas*, a *in cerevisia* także, *in aquavita* podobnie, że o innych trunkach nie wspomnę; przy szklance się objawia braterstwo, łączą się ludzie z sobą i jednoczą... pijatyka podnosi umysły (*sub intellegitur* mierna), rozpala uczucie, *exaltat hominem*.

— Co? stolniku, chwaliłbyś pijatykę?

— Czemu nie! czemu nie! kto nie pije, snąć coś kryje! a kto kryje, robak mu sumienie ryje... O! co się okazuje, a zatem pić potrzeba, by się okazać czem jest, a gdy bracia proszą, cygan da się powiesić... Nie bądź waść pijakiem.

— A więc pomówimy jutro, a ja dziś stolnika na kwaterę odprowadzę.

Po drodze pan Kornikowski usiłował na pochwałę pana Marzyckiego różnych dobywać argumentów, ale nie wszystkie mu się udawały; powróciwszy do domu, uczuł potrzebę spoczynku i nie obudził się aż nazajutrz rano, gdy pan Sebastian już do drzwi jego stukał. Jakkolwiek było wcześniej, podano zaraz wina i zaproszono Tadeusza, którego chciał uściskać Marzycki, za wczorajsze odwiedzi-ny dziękując.

Można łatwo zgadnąć, że nierychło wstali od stołu, a stolnik z bolącą nogą nazad w łóżko odległ po traktamencie, gdy gościa dwóch ludzi odnieśli na kwaterę. Tadeusz, ruszając ramionami, patrzył na to ze wstrętem, ale cóż miał robić? Pan Kornikowski odjechać mu nie dawał: pchał go koniecznie do panny Klary, asekurując, że byleby się

decydował, na siebie bierze ukończenie interesu matrymonjalnego.

Dwa tygodnie upłynęły w takim życiu nieznośnem, dwa tygodnie wrzawliwe, w ciągu których codzień prawie po kilka godzin spędzał Tadeusz z panną Klarą. Klara za wcześniej pani siebie i swej woli, — gdyż ojciec i brat zajęci byli nieustannie zawiązywaniem przyjacielskich u kielicha stosunków — była raczej niewiastą już dojrzałą niż dziewczicą. Nawykła sama kierować sobą, nie miała bojaźliwości panieńskiej, ani przesadnej delikatności piętnastoletniej z klasztoru wychodzącej dziewczeczki; mowa jej, ruch, uśmiech, krok każdy okazywał w niej charakter wyrobiony, nieugięty i stały. Gospodyni zawołana, pracowita, zabiegła, gdy ojciec interesa robił na piwie i winie, brat biegał za sprawą, ona myślała z czego dać im pić, jeść i skąd wziąć pieniędzy. U niej były kasa, rachunki, przy niej zarząd cały, korespondencja z ekonomem i trośka o jutro na jej głowie. Nie miała ona wdzięku kobiety, ani ją zaprzętała piękność lub chęć podobania się; myślała o życiu, biorąc je ze strony zimnej, smutnej, ubogiej, kłopotliwej. Nie było też w niej nic czemby się podobać mogła, prócz rozsądku chłodnego, prócz rzutu oka na świat wytrawnego i zdrowego. Mowa jej była raczej męska niż kobieca, przyjęcie śmiałe, lubiła szydzić, a żartowała rubasznie i wcale nie oglądając się, co na to ludzie powiedzą. Zrazu zdziwił się jej Tadeusz, potem podobała się otwartość jej niezwykła, w ostatku zajęła go i pociągnęła niepojętym sposobem.

Chodził do niej codziennie, przesiadywał długo, spoufalili się łatwo i wkońcu bez żadnej ogródki i długich przygotowań rzekł jednego wieczora:

— Pani się musisz domyślać poco mnie tu pan stolnik sprowadził: jakie są starszych projekty! co też pani na to?

— No! a pan? — spytała — toć mnie się pierwszej objawić ze zdaniem nie uchodzi!

— Co do mnie, byłbym szczęśliwy, gdyby projekty przyszły do skutku. Byłbym szczęśliwy! — wymówił pocichu i jakby te wyrazy niestosowne sparzyły mu usta, westchnął ku Lublinowi z żalem stłumionym.

— Przyznam się panu, żeś mi się dosyć podobał — odpowiedziała Klara — nie lubisz pan ucztować to pierwsza zasługa, bo mnie te biesiady kością już w gardle siedzą. Jesteś młody jeszcze, przystojny, rozsądny, majątny mówią, czegoż mogę więcej żądać.

— Bardzo dziękuję, więc mogę...

— O poczekaj, poczekaj, pan! — zawołała Klara. — Ale pan mnie nie znasz i nie wiesz, co bierzesz na kark! Naprzód wcaleśmy nie bogaci, a nawet myślę, że wkrótce ojciec przy zięciu osiąść będzie zmuszony, a co zatem idzie i pijatyki nasze przejdą do pana. Po mnie nic nie weźmiesz krom małego porządeczku po matce, ale to niewielka rzecz, kochany panie. W dodatku i ja nie taką może jestem, jaką się wydaje, przywykłam być panią w domu.

— I będziesz nią u mnie.

— Pracuję, ale po mojej głowie i nikogo nie słucham, jestem dosyć uparta...

— Panna Klara się obmawia.

— Nie, panie Siekierzyński, szczerą prawdą, tak jest! Naostatek, choć mnie to wyznanie kosztuje, powiem panu, że mam lat trzydzieści.

— Ja jestem starszy.

— Tak, ale na kobietę i to dosyć. Zechcesz —
mnie pan z temi wszystkimi wadami i złościami?

Tadeusz się roześmiał, kłaniając, ale z trąsobl-
wem wewnątrz uczuciem.

— I z ojcem i z bratem? — dodała Klara.

— Choćby z nimi!

— Trzeba to sobie zgóry powiedzieć, bo wkrótce
spadną na pana, zdaje mi się, że wielkie nadzieje
z tego procesu na niczem spełzną. Otóż widzisz
pan, że nie tak to pożądaný związek, jakbyś my-
ślał. A teraz powiedz — mi szczerze i otwarcie,
co masz i jakie są bogactwa, o których nam stol-
nik tak szeroko mówi?

Siekierzyński, wypłacając się wzajemnością, wy-
spowiadał się szczerze ze wszystkiego, opuścił tylko
z życia epokę lubelską, o której w kilku słowach
napomknął.

— Ha! kiedy sam sobie tego życzysz — odezwiała
się Klara, podając mu rękę — mów pan z moim
ojcem, ja się chętnie zgadzam, bo w istocie to dla
mnie nadspodziane i tak szczęście!

Wieczorem dowiedział się Stolnik z niewysłow-
ioną radością, że się młodzi porozumieli i, na-
tarłszy czuprynę i wąsów, poszedł do Marzyckie-
go, którego zastał z Pancerzyńskim na konferencji
w cztery oczy nad butlem węgryna.

Nie wytrzymał, tak go nowina w język paliła i przerwał czytanie kompromisarskiego dekretu, odprowadzając na bok pana Sebastjana.

— No — jestem tu formalnym swatem i przychodzę do ciebie.

— Niech-że cię uściskam i napijmy się, napijmy się! panie Pancerzyński, zdrowie stolnika!

— Ale posłuchaj-że Sebastjanie! posłuchaj, coś powiem! Oto przychodzę prosić o rękę twojej córki dla JMPana Siekierzyńskiego.

— A ja, jeśli ona sama się zgodzi na to, *benedico* i zapijemy tę sprawę! w ręce twoje i w gardło moje... zaśmiał się Marżycki radośnie.

— Mamy więc przyrzeczenie?

— I błogosławieństwo! i błogosławieństwo!... — dodał Marżycki — a pijmyż kwartowym! gdzież jest mój kochany zięć przyszły? serce moje za nim tęskni, niech go zobaczę, uścisknę i choć raz upoję w tak uroczystej *imprezie*!

Posłano po Tadeusza, zawołano panny Klary, a ojciec spytał jej o postanowienie bez ogródki.

— No! Klarciu kochana—oto pan stolnik nurski, mój przyjaciel serdeczny, czyni nam honor, prosząc o rękę twoją dla godnego Tadeusza Siekierzyńskiego, nie chcę cię tyranizować, mów bez ceregielów, czy na to przystajesz lub nie, oddaję to rozsądkowi twemu i inklinacji do rozstrzygnięcia.

Panna Klara nie zmieszała się wcale i odpowiedziała ojcu zimno, wyraźnie, jasno, że przyjmuje pana Tadeusza.—Stolrik, uradowany, pocałował ją w rękę i, biorąc kielich, krzyknął w zapale:

— Zdrowie Siekierzyńskich i ich potomków! zdrowie rodu zacnego Marzyckich i Siekierzyńskich, niech Bóg błogosławi—pij do kroćset, panie Pancerzyński!

Zagrożony kulawy adwokat chwycił za szklanekę i podniósł ją do ust. Trzeba było widzieć stolnika! twarz jego jaśniała, oczy śmiały się, usta drżały i kontusz w ruchach cały zdawał podzielać radość swojego pana. W samą porę nadszedł i Tadeusz paść do nóg pannie i ojcu, a ledwie się podniósł, już mu kielich w ręce tkano, już go Marzycki obsekwował i zaklinał, by pił a pił do dna. Każdy, kto wszedł, musiał państwa młodych przyszłych sukcesów i szczęścia *ominalny*, jak mówił Kornikowski, wychylić *vivat*!

Gdy się to dzieje w Czersku, a wieść stugębna rozchodzi się po okolicy o zaręczynach pana Siekierzyńskiego z Marzycką, Wichułowie, którzy w nowo nabytej części wioseczki za Czerskiem mieszkali, dowiadują się także o tem. Pan Ksawery pogardliwie splunął, gdy mu o tem doniósł arendarz dawny, co się przeniósł z Siekierzynka do nowej jego karczemki, i milczkiem zbył żyda. Tymczasem wypadło mu jechać do Lublina dla jakiegoś interesu i kilka tygodni go nie było. Marzyccy odjechali do domu dla przygotowań do wesela, które, jak być miało huczne, łatwo zmiarkować. Siekierzyński dom odnowił i restaurował. Stolnik, zamówiwszy sobie, że po drodze państwo młodzi do niego wstąpią w Czerczycach, z tarcic stawił dużą salę przy domu na ich przyjęcie; a Jakób jego

kręcił się, wietrząc kilimki, dywany i makaty stare po kufrach zatęchłe, któremi ściany i ławy obijać miano. U Marżyckich przybory do wesela były nie-małe także, bo całe sąsiedztwo sproszone zostało na miesiąc wprzód; trzy antały wina sprowadzo-no, miód domowy rozwodzono świeżo syconym, tworząc różne jego gatunki, piwo butelkowano, wódki nalewano na owoce i słodzono, a nawet gdańskiej puzderek dwa sprowadzono z Warszawy dla dostojniejszych gości. Nie mówi się tu o cie-lętach, baranach, zwierzynie i kłapouchych stwo-rzeniach, które paść miały ofiarą wesela, ani o ty-sięcznych innych addytamentach, kondymentach i zdaleka sprowadzonym kucharzu.

Dość, że wszystko w porze było gotowe, na miejscu i dobrane, a Klara, poglądając na cuda, których dokazała, uśmiechała się z wyrazem ra-dosnego triumfu. Pan Sebastian przechadzał się od lochu do lochu, kosztował win i miodów, próbo-wał ich z przybyłymi i zawczasu snuł sobie o kolei puharów projekty, mając zakończyć garncowym, zwanym Sapiehą, który od lat kilku stał niemyty w kominie, a teraz błyszczał rysunkiem Bachusa, subtelnie na szkle wyrzniętym.

Lecz któż opisze, co się działo ze stolnikiem, powtarzającym sobie od rana do wieczora: — Nie zejdzie ród Siekierzyńskich! Nie skończy się na nim! ożenię go! ożenię!! jeszcze tydzień, jeszcze tydzień, a poprowadzę go do ołtarza i — chyba Bóg nie łaskaw — dożyję potomka! Czuję się w si-lach poczekać jeszcze na niego! Nie zejdzie ród

Siekierzyńskich! a mnie to będą winni! gdyby nie ja, nigdyby się nie ożenił.

I stolnik najpierwszy pospieszył dniami kilku przed weselem do Marzyckiego, wioząc z sobą i obrusy i sreberko i sprzętów trochę, któremi sądził, że się na taką frekwencję gości przysłuży. Tadeusz przybył w wigilię dnia ślubu piątką tarantów dobranych prześlicznie i powozem nowym, z Warszawy sprowadzonym umyślnie; za nim jechała bryka piątką kasztanów i mniejszą czwórką siwych mierzynów zaprzężona. Woźnice palili z bata zamazyście, a pan Sebastian w ganku czekał z kielichem zięcia ukochanego.

Czemuż tak smutnie, tak ponuro siedzi w bryczce pan Tadeusz, czemu twarz mu się nie wyjaśniła, czoło nie rozchmurzyło, owszem na widok dworku mgłą zasłży oczy, coś ucisnęło serce i jakby wspomnienie jakieś wzruszyło go do głębi, chwycił się za pierś, podniósł oczy, westchnął i rzucił się w brykę, jakby krył od oczów.

Ale nie czas wspominać, smucić się, żałować, potrzeba się weselić, krzyk w ganku — Vivat! i pan Sebastian chwyta zięcia w uścisk silny, a nad głową jego unosi *vitrum gloriosum*, pełne złocistego płynu. Stolnik płacze z radości, a Klara w oknie ramionami ruszyła. Tadeusz wysiadł poważny i uszedł od głośnych przywitań do narzeczonej.

Wieczorem już rozpoczęła się hulatyka, bo część gości z dalszych stron zjeżdżać się poczęła; do późnej więc nocy brzęczały kielichy i pan Marzycki chodził od jednego do drugiego, ściskając,

tak że się kilka razy i przyszlęmu zięciowi dostało. Stolnik, niepomny pedogry w dniu poprzedzającym tak wielki dla niego wypadek, pił z innymi nazabój i dzień świtał, gdy się reszta, dotrzymująca placu gospodarzowi, po kwaterach rozwlekła.

Przy rannem śniadaniu jakoś wstrzemięźliwiej znajdowali się wszyscy, odkładając do wieczora formalną hulankę. Gości było mnóstwo i niebardzo dobrane towarzystwo, bo począwszy od możnych sąsiadów, aż do drobnej braci szlachty, kto żywna zaproszenie pana Marżyckiego się stawił. Nawet starosta, największy dygnitarz w sąsiedztwie, raczył zaszczycić wesele bytnością swoją i rozpierał się w najszerszem krześle, najgłośniej ze wszystkich dowodząc...

Zmierzchało, gdy panna Klara w białej atlasowej sukni z bukietem rozmarynowym, w wieńcu takimże, pod którym dukat, kawałek cukru i medalik święcony włożono, weszła prosić ojca i starszych o błogosławieństwo. Pan Tadeusz w białym także żupanie, w jasnozielonym aksamitnym kontuszu, przy szabli suto sadzonej, z czapeczką pod pachą, wszedł wiedziony przez druchny, schylić się do kolan panu Sebastjanowi, oczekującemu tego obrzędu z rękoma założonemi na piersiach i pocieszenie upoważnioną miną, przybraną z musu do okoliczności. Ołtarz był przygotowany w sali, ksiądz przyodziany w szaty, świece gorzały jasnym płomieniem i uroczyste milczenie, jak przed każdym wielkim wypadkiem, poprzedzało wybuch żalu i radości, łez i powinszowań, gdy drzwi z traskiem się

rozwarły i dorosły mężczyzna, czarno zarosły, barczysty, lichy odziany, wpadł hałaśliwie do komnaty i zwrócił na siebie uwagę wszystkich. W początku myśląc, że to gość nowy, posunął się ku niemu gospodarz, ale nikt go nie znał. Stolnik tylko i Tadeusz pobledli.

Był to Ksawery Wichuła z zakrwawionem okiem, rozdętą nozdrzą, rozwianym włosom, nagle ukazujący się w spokojnem towarzystwie z twarzą widocznie gniewem zapaloną i wargą od złości i niecierpliwości drżącą. Na widok jego tak każdy przeczuł jakąś katastrofę, że wszyscy oniemieli, przerażeni cofnęli się od niego i oczekiwali tylko piorunu, który groził niechybny.

— Panie Marzycki — zawołał donośnym głosem Ksawery Wichuła, podnosząc głos — nie znasz mnie pan?

— Nie mam honoru... prawdziwie, ale bardzo mi miło...

— Są tu tacy, co mnie znają — powiódł szyderskim okiem po gościach — jestem Ksawery Zabawa Wichuła, obywatel Czerski do usług i przyszedłem w sam czas spytać pana, czy masz intencję wydać córkę za mieszczanina?...

— Co to jest? — wybąknął gospodarz.

— Ten, którego Wpan masz nazwać swym zięciem — kończył Wichuła, zowie się po szlacheczkę, jest synem szlachcica, ale lat dziesięć, tak, lat dziesięć kupczył i sprzedawał w Lublinie, grosza się dorobił frymarkiem i szlachectwo utracił.

Stolnik padł, słysząc te wyrazy, na krzesło, a od Tadeusza wszystko co żyło odstało, jak od zapowietrzonego, panna Klara zdjęła z palca pierścioneł zaręczyn i ze wzrokiem pogardliwym rzu-

cila go na ziemię. Marżycki załamał ręce, gwar straszny podniósł się zewsząd, a z tłumu poskoczył Tadeusz oprzytomniony z szablą dobytą na pana Ksawerego, ale ten nie dobywając swojej, spojrzał tylko na niego i rzekł:

— Z waszmością nie pójdę, chyba na kije, bo do tej szabli, którą nosisz, prawa nie masz!

To powiedziawszy, Wichuła wymknął się ze ścisku otaczającego i zniknął, a za nim wyrwał się zapalczywie pan młody i obaj w ciemnościach z oczu wszystkich utonęli.

Lecz któż odmaluje, co się działo ze stolnikami! Ledwie żyw na zapytania, na wymówki, na krzyki Marżyckich odpowiedzieć nie umiając, kazał konie zaprzęgać, Jakóba wołać i wyjeżdżał, płacząc, po nocy.

Napróżno opamiętawszy się pan Sebastjan wybiegł za nim na ganek, prosząc go, żeby się zawrócił, pan Kornikowski niemy odpychał go tylko ręką i stał oparty o słup zmartwiały, powtarzając tylko machinalnie:

— Ostatni z domu Siekierzyńskich! ostatni z domu Siekierzyńskich!

Więcej z niego wydobyć nie było można.

Tłum gości pocichu, ukradkiem rozjeżdżał się, nie chcąc ojca strapionego rozżalać przypominając mu upokorzenie zebraniem, a w godzinę ledwie kilku poufalszych zostało i już *consolatio afflictorum* kielich powoli krążyć poczynął.

Panna Klara w swoim pokoiku rzewnie płakała, kobiety ją trzeźwiły, a ona je odpędzała ze srogiem wejrzeniem, z jakąś dziką rozpaczą, powtarzając: — Mieszczanin! kupiec! -- I śmiała się szydersko z uczuciem, którego nikt dotąd w niej nie widział.

Pieszko, bez czapki, w weselnym stroju, nieprzytomny przywlókł się Siekierzyński nie do domu, ale do dworku swojego w Lublinie. — Jak zaszedł? co go tam wiodło? w jaki sposób sto razy nie zatrzymano go w drodze? nie wiem. To pewna, że nie biorąc posiłku, nie spoczywając prawie, w kilka dni po opisanych wypadkach zjawił się w progu swojego dworku i upadł bezsilny na schodkach, głowę składając na zbutwiałem drzewie.

Kobieta, która od niego najmowała ten domek, poznała go z twarzy i przeniosła do izby, a sama pobięła za lekarzem. Chory dziwacznie z gorączki wygadywał, wzrok miał obłąkany i targał się co chwila do szabli, której bogata tylko pochwa u boku jego wisiała jeszcze. Ze słów jego nic zrozumieć nie było można, uśmiechał się, obwinał, rwał, mijał, zlorzeczył, śpiewał, modlił się i płakał.

Rozeszła się wieść po mieście o dziwnem tem przybyciu Siekierzyńskiego i przez doktora dostała się do klasztoru jezuitów, a nazajutrz zrana ksiądz sawery siedział u łóża chorego. Stan jego był desperowany, gorączka bowiem coraz się wzmacniała. Lekarz przesilenia jej szczęśliwego wcale nie oczekiwał. Jezuita napisał do stolnika i posłał go, ale ten powrócił z wieścią, że pan Korzeniowski sam był ciężko chory i przybyć nie mógł, przynajmniej kilka.

W tym samym czasie stan Tadeusza szybkimi krokami zbliżał się do końca, a rzadkie chwile jaśniejsze i przytomne przerywał głębokiem i rozpaczliwem milczeniem spływającym z oczu. Ksiądz sawery napróżno chciał zajrzeć w głębię jego duszy, ale ten katolik wyznał mu grzechy, jako człowiek wierzący o swoich boleściach, śmierć przychodziła w miarę jego krokami.

Ostatniego dnia, z wieczora, kilka słowy wezwwał jezuitę, żeby do niego poprosił kupca Michała Balcera, a w godzinę potem wrócił ksiądz z wiadomością, że umarł od roku. Tadeusz uśmiechnął się boleśnie i więcej pytać nie śmiał; w milczeniu czekał śmierci zapowiedzianej, zdając się ją wyzywać. Lecz stan ten rozpaczliwego konania przeciągnął się dłużej, niżeli spodziewać się było można i dni kilka jeszcze przebolał chory sam jeden, pragnąc i nie mogąc skończyć.

Ostatniem zjawiskiem w chwili zgonu był stolnik, którego wniesiono do izby; przywłókł się on ratować wychowanka lub pożegnać go; chciał mu czynić wyrzuty jeszcze, ale skarga skończyła na jego ustach i lży się tylko nieme z oczu puściły.

Widząc go bez mowy, bez ruchu, wółtrupem, stary przyjaciel rodziny wyciągnął ręce i wymówił tylko: ostatni! ostatni!

Ale ostatni w tejże chwili żyć przestał.

Pan Piotr Kornikowski, stolnik nurski, przeżył jeszcze Siekierzyńskiego o lat pięć, rzadkie mając chwile przytomności, najczęściej siedział w swoim krześle zadumany, nic nie mówiąc, a gdy usta otworzył, powtarzał tylko nieustannie: ostatni z domu Siekierzyńskich! ostatni z domu Siekierzyńskich! — Drzewo genealogiczne i kilka starych portretów z Siekierzynka dostały mu się w spuściznę, wisiały one w sypialnej jego izdebce do końca; wpatrywał się w nie całemi godzinami i w wolniejszych od smutku chwilach opowiadał smutne dzieje dwóch ostatnich pokoleń, które pochował, kończąc zawsze westchnieniem i słowy:

— Ostatni z domu Siekierzyńskich! ostatni!

Hubin, Czerwiec, lipiec 1850



